

KORSARZ.

NARZECZONA Z ABYDOS.

MAZEPPA.

NIEBO I ZIEMIA.

BOOKS & PAPERS

1875

ALMERE J. COHEN

1602 20 7500

TLÓMACZENIA

ANTONIEGO EDWARDA

ODYŃCA.

WYDANIE DRUGIE.

TOM III.

KORSARZ.

NARZECZONA Z ABYDOS.

MAZEPPA.

NIEBO I ZIEMIA.

WARSZAWA.

Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa.
1874.

8164 / 2



~~66219~~
66219

Дозволено Цензурою.
Варшава, 3 Сентября 1872 г.

Wydawnictwo w Warszawie
ul. Janicki

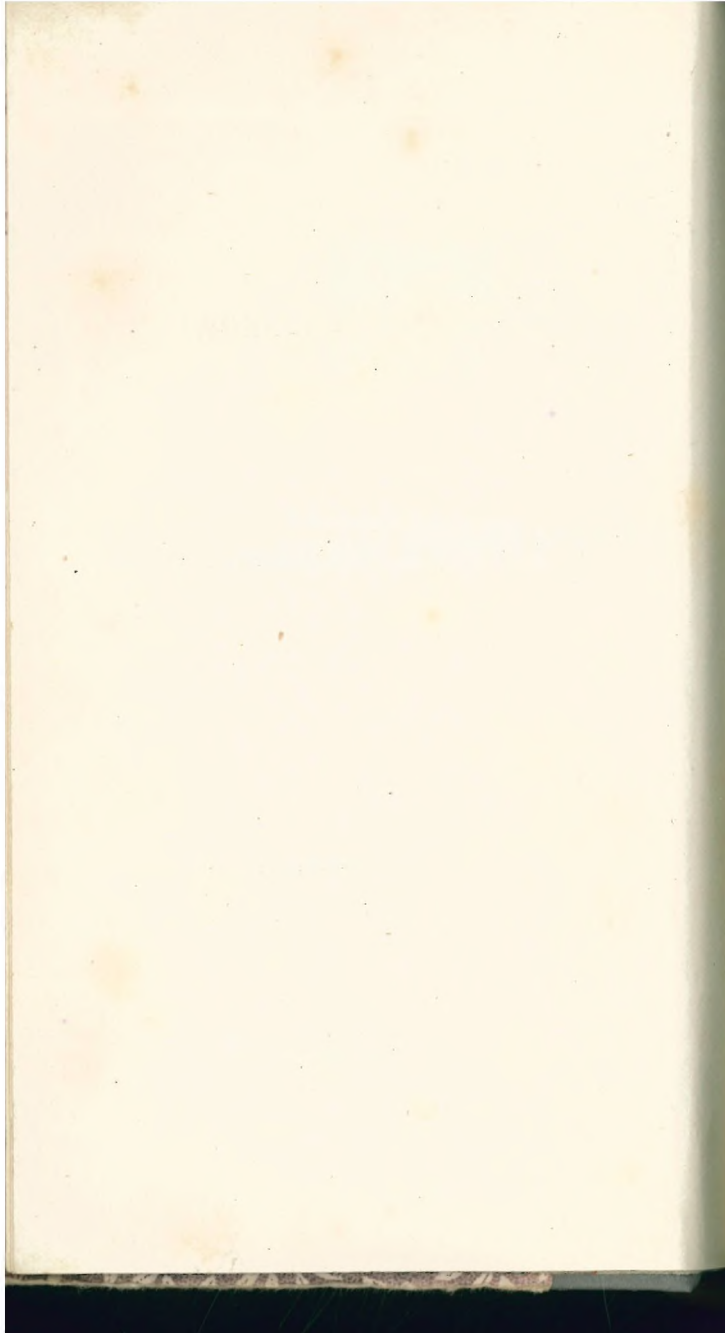
Ozeionkami Gazety Lekarskiej.

JULJANOWI KORSAKOWI

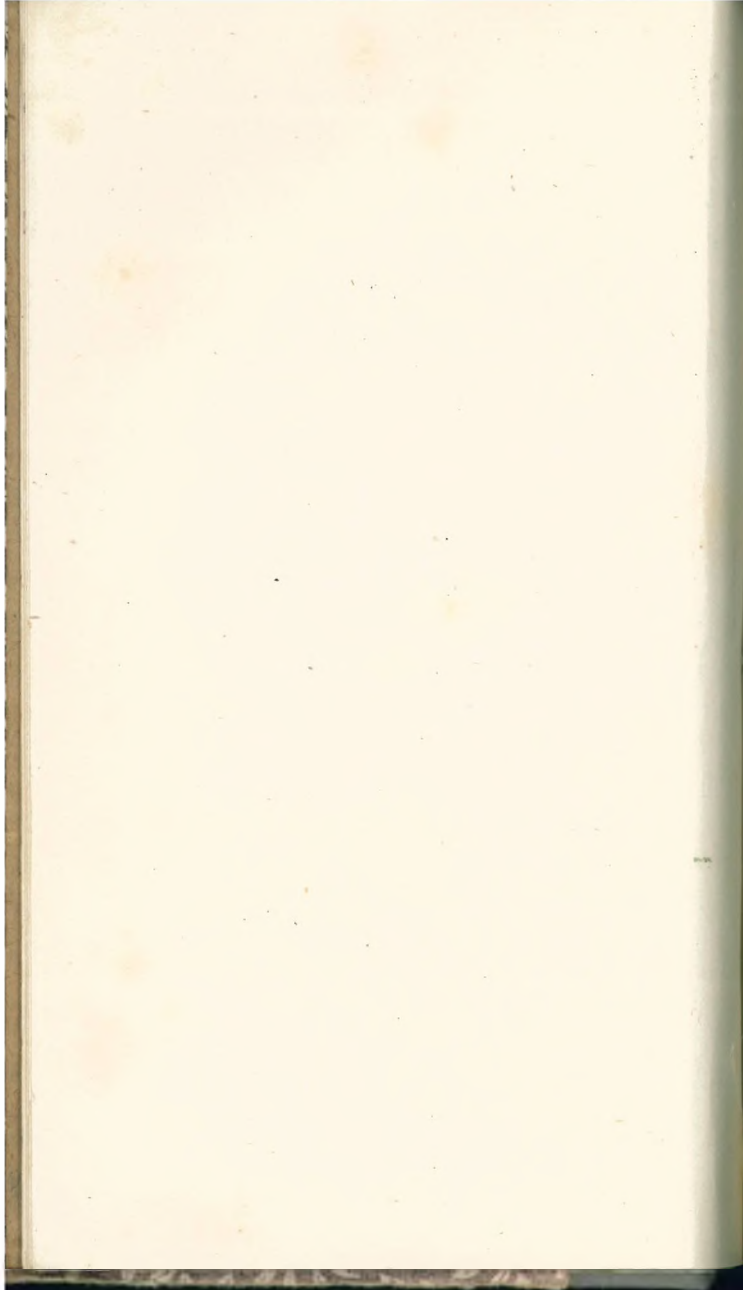
NA PAMIĄTKĘ NIEZMIENNEJ OD DZIECIŃSTWA PRZYJAŹNI.

POŚWIĘCAM

A. E. O.







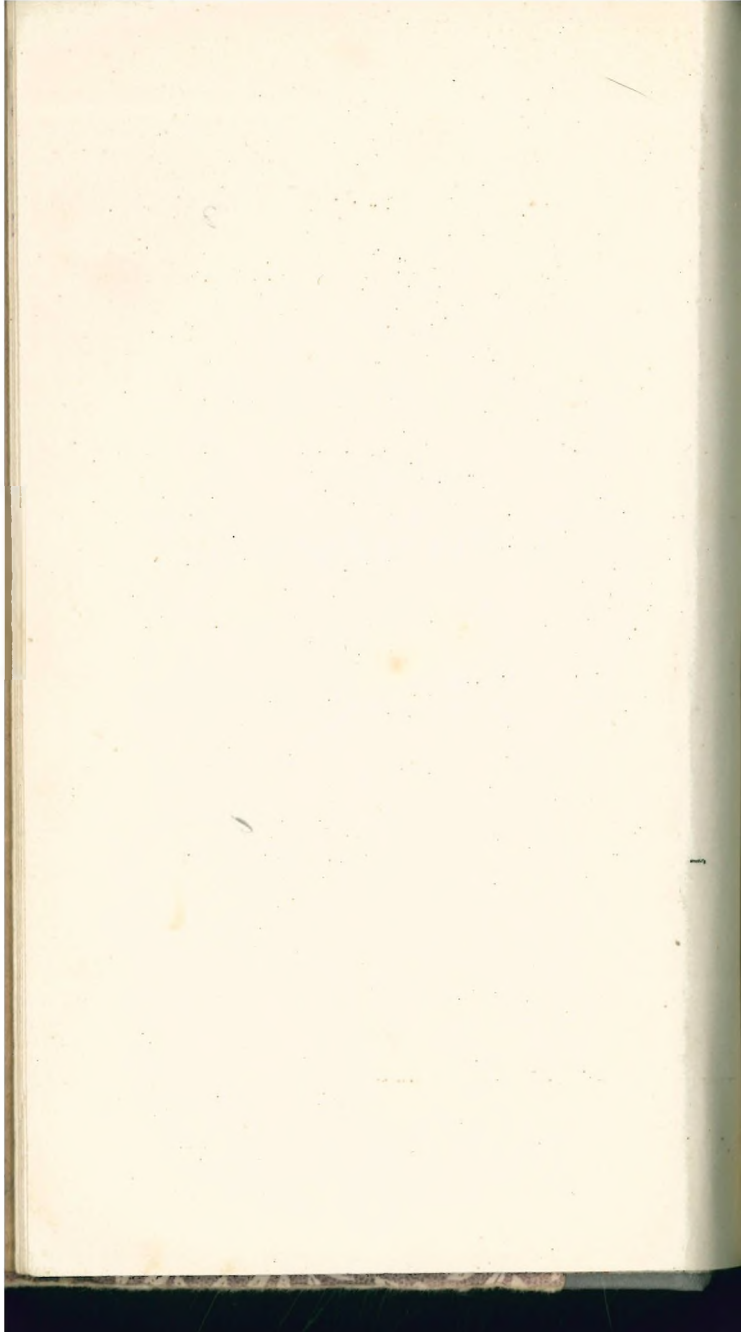
KORSARZ.

POWIEŚĆ

LORDA BYRONA.

— „I suoi pensieri in lui dormir non ponno.

Tasso. Canto. X. *Gerusalemme Liberata.*



PIEŚŃ PIERWSZA.

—, Nessun maggior dolore,
„Che ricordarsi del tempo felice
„Nella miseria
Dante

I.

„Na modrych głębiach jasnej morskiej wody,
Jak ona z wiatrem, buja duch swobody;
Jak burza nad nią, grzmi nasza potęga.
Gdzie wiatr, gdzie fala, gdzie miecz nasz dosięga.
— Tam dom nasz, państwo, łup naszój odwagi!
Mórz i flot berłem jest maszt naszój flagi.

Nam w dzikiem życiu czuć wciąż, niespodzianie,
W każdym dniu nowość, rozkosz w każdej zmianie! —
O! i któż pojmie?—nie ty zniewieściały!
Cobyś mdlał patrząc na wzburzone wały;
Nie ty pieszczochu! co wiek w zbytkach trawisz,
Śpiąc nie spoczywasz, bawiąc się nie bawisz;

O! i któż pojmie?—prócz tych samych, którzy
Płasali z falą rozigranej burzy:
Tę pełność życia, ten war krwi co pali
Serce żeglarza na bezdrożnej fali;
Tę żądę bojów, tę pewność zwycięstwa,
Ten szal, tę rozkosz wśród niebezpieczeństwa?...
Gdzie trwożni rozpacz—my tryumf znajdujem;
Gdzie słabi mdleją—my żyjem i czujem:
Czujem, jak w piersiach krzepi się i wzmaga
Duch i nadzieja, siła i odwaga!...

Nie strach nam śmierci—byle wprzód lub razem,
Wróg u stóp naszych skonał pod żelazem:
Byle wprzód z życia rozkosz wyssać w życiu!—
Gdy ginąć—cóż ztąd, w bitwach czy w rozbiciu?—
Niech bojaźliwy zakochaniec świata
Woli w niemocy długie jęczeć lata,
I w puch przed śmiercią kryje się, nim skona!
Nam łożem piasek lub trawa zielona.
Gdy strach zeń duszę dzień po dniu wywleka:
Nam cios, strzał jeden—duch wolny ucieka!

Jemu niech dziedzie pyszną złoci trumnę,
Radzi że umarł, niech stawia kolumnę;
Po nas łzy płyną—krótko, ale szczerze,
Gdy nas w swe głębie ocean zabierze.
Nam ku czci nawet w biesiadniczym kole
Puchar pamięci zaiskrzy na stole;
Nagrobkiem dla nas zabrzmi chwała mężstwa:
Gdy pozostali dzieląc łup zwycięstwa,
Wspomną poległych, i rzekną ze łzami:
„Szkoda, że mężni nie dzielą go z nami!”—

II.

Taka pieśń brzmiała na wyspie korsarzy,
Wkrąg przy ogniskach ponadbrzeżnej straży,
I bijąc echem o chropawe głązy,
Jak one twardy był ton i wyrazy,

Leżąc na piasku rozrzuconą zgrają,
Ci ostrzą bronie, ci piją lub grają,
Probują strzelby, handlują łupami.
Nie patrząc nawet na krew, co je plami.
Brzmiały szczęki siekier ciosających łodzie:
Ów marząc patrzy po dalekiej wodzie,
Ów czyha rychło ptak mu w sidła wleci.
Mokre na słońcu rozwieszają sieci:

A każdy coraz pogląda ku morzu,
Czy gdzie nie dójrzeć żagla na przestworzu,
Lub wspominając ostatnią wygraną,
Radzą z kąd znowu świeży łup dostaną. —

Zkąd? wódz niech myśli! — im tylko przystało
Ufać, iść za nim, i uderzać śmiało. —
Któż jest tym wodzem? — Od brzegu do brzegu
Imię się jego jak piorun rozlega,
To dość — o resztę nie troszczy się rzesza.
W bitwach on tylko z ich tłumem się mięsza,
Zresztą sam zawsze; — krótkie jego słowa,
Lecz wnet co wyrzekł, dłoń spełnić gotowa.
Nie lubi gwaru; nigdy z nimi społem
Nie zasiadł wesół za biesiady stołem,
Śmiech ni żart nigdy ust mu nie umili:
Lecz mężny — męztwu hardość wybaczyli.

Próżno go kolej pełnego kielicha
Wabi w przechodzie: on z wzdardą odpycha;
A jego ucza!—najlichsi z czeladzi
Wzajemby z wzdardą odepchnąć ją radzi.
Jadło, chleb suchy; napój, czysta woda.
Zbytkiem nie częstym, owoc lub jagoda,
A i tych nawet ze wstrętem dotyka,
Jakby związany ślubem pokutnika.
Ale im żądze zmysłów trzyma srożej,
Rośnie w nim dusza, i siła się mnoży.
„Płyn tam!”—wnet płyną;—„rób to!”—wnet zaczęto;
„Za mną, i naprzód!”—poszli, i łup wzięto.
Tak skory rozkaz, skorsza jego ręka:
Każdy drząc słuca, lecz pytać się lęka.
Szyderycy uśmiech, wzrok i twarz surowa,
Karca zuchwalca za niewczesne słowa.

III.

„Patrz! żagiel, żagiel!—Nastawcie lunety!—
„Zkąd?—czyja flaga?—czy zdobycz?”—niestety!
Nie zdobycz—jednak cieszą się weseli:
Z masztu czerwoną chorągiew ujrzeli.
„Nasza łódź, nasza! powraca z wyprawy!—
Dmij w pełne żagle, dmij wietrze łaskawy!
Nim słońce zajdzie, zawinie do brzegu.—
„Patrz, patrz, jak lekka! zda się płasa w biegu.
Jak wzdyma skrzydła!—jak buja wspaniale!
Z szumem przed sobą prze kipiące fale.
Weszła w zatokę—patrz! idzie jak żywa,
Zda się żywoły do walki wyzywa!

Możeż się lękać burz, bitew, lub trudu,
Pan takięj łodzi, wódz takiego ludu?“—

IV.

Skrzypią powrozy, krzyczą robotnicy,
Opadły żagle — łódź drga na kotwicy.
Spuszczają czołno:—w podwójnym szeregu
Siedli wiosłarze i pędzą do brzegu.

Wkoło na piasku tłum zebrany czeka,
Poznaje, woła, i wita zdaleka.
O! słodkie głosu przyjaznego dźwięki!
O! słodki uścisk przyjacielskiej ręki!
Gdy wita w porcie żeglarza z wyprawy,
Gdy na bezpieczny brzeg wiedzie go z nawy;
Słodkie łzy, uśmiech, słodkie zapytania,
Gdy pocałunek odpowiedzi wzbrania!...

V.

Wieść się rozbiegła, tłum rośnie z pośpiechem,
Gwar, ciżba, wrzawa, przerywana śmiechem,
I głosy kobiet znać w cichszėj rozmowie:
Imię kochanka, męża, w każdym słowie.
„Czy zdrów? czy żyje? czy na brzeg wysiądzie?
Czy dziś, czy jutro zabawi na lądzie?
Gdzie był? co robił? czy bił się walecznie?
Mniejsza, co zyskał? gdy wrócił bezpiecznie;
Lecz czy nie ranny? dla czego nie z wami?
Czyż on nie wiedział że czekam ze łzami?“—

VI.

—„Gdzie jest wódz?—ważne przywozimy nowiny.
Spieszmy! czas nagli, drogie są godziny.—

Dzięki wam, bracia, żeście braciom radzi!
Lecz niech nas Żuan do wodza prowadzi.
Wrócim za chwilę—zostańcie tu bliscy,
Wnet, co kto zechce, dowiecie się wszyscy.“—

I poszli, kędy na najwyższej górze
Zamek ich wodza wzbija się nad morze,
Śród bujnych krzewów i kwiatów pachnących,
Gdzie tysiąc źrójów, świeżością dyszących,
Srebrzy się szemrząc po złomach granitu.
Poszli pod górę—dochodzą do szczytu.

Któż to nad brzegiem przepaścistej skały,
Wsparty na mieczu, spogląda na wały?—
To on! wódz! Konrad!—sam, jak zwykle—myśli.
„Idź naprzód, Żuan! powiedz żeśmy przyszli.
Okręt nasz widzi;—powiedz, że go prosim
O posłuchanie, ważną wieść przynosim.
Idź! my nie śmiemy; wiesz jak się wnet zżyma,
Gdy mu kto nagle stanie przed oczyma.—

VII.

Przystąpił Żuan—Konrad spójrzył srogo,
Wysłuchał, skinął, że się zbliżyć mogą.
Przyszli—ukłonem witają zdaleka.
Powitał wzajem—na słowa ich czeka.
„Wodzu! przynosim list od Greka szpiega,
Co nas o łupach i wrogach ostrzega.
Ważność tych wieści sam wódz niech oceni.
My też...“— „Już dosyć!“—zmilkli zawstydzeni.
Wziął list—ciekawi poglądają z boku,
Wrażenia wieści dojrzeć w jego oku.

Zgadł myśl—czytajac twarz zwrócił na stronę,
Może by ukryć uczucia wzburzone.
Skończył—na świstku coś pisze.—„Żuanie!
Gdzie jest Gonzalwo?“—Włodzi.—„Niech zostanie!
Nieś mu ten rozkaz!—Wy nie stójcie dłużej,
Każdy na miejsce, gotów do podróży!
Na waszój nawie sam z wami dziś płynę.“—
—„Dziś, wodzu? w nocy?“—„Dziś w dzień, za godzinę.
Wiatr będziemy mieli.—Minuty nie zwlekać!
Wziąć mój płaszcz, pancerz—u portu mię czekać!
„Ty weź mą trąbkę i strzelbę opatrzij!
Zamek źle spuszcza—oczyść go i natrzyj!
Wezwać płatnerza! niech mój miecz bojowy
Natoczy ostro i da mu hart nowy.
Rękojeść zwłaszcza niech szerzej rozkuje:
Ta broń mię gorzej niż bitwa morduje.—
Śpieszcie! na hasło że czas już odpłynąć,
Dać ognia z działa i żagle rozwinąć!“—

VIII.

Kazał—posłuszni odeszli w pokorze.—
Nie w smak im znowu puszczać się na morze,
Gotowi jednak:—Konrad sam prowadzi.
Dokąd?—któż pyta gdy on co uradzi?—
Dziwny ten człowiek dumy i milczenia,
Którego nigdy śmiechu ni westchnienia
Nikt z nich nie słyszał; ktorego zdaleka
Sam widok, twarz ich bladością powleka:
Rządzi ich duszą, z tą sztuką władania,
Co zmusza, mami, lecz sądzić zabrania.

Cóż jest ten urok, że mu nikt z korsarzy,
Choć szemrze, zajrzy, oprzeć się nie waży?
Co w nich dlań wzbudza tę cześć, posłuszeństwo?—
Potęga myśli, duszy czarnoksiężstwo!

One go wzniosły, gdy i los mu sprzyja.
Tém on ich wolę pod rząd swój podbija.
Walczy ich ręką, sam jak mistrz sprężyny:
Gmin dziełem jego własne mniema czyni.

Jest, było, będzie—to bieg świata tego,
Wielu pracować musi dla jednego.
Lecz niech nieszczęśnik, co w trudach umiera,
Nie zajrzy temu, co owoc z nich zbiera!
Niechby znał ciężar, co wielkość nań zwała—
O! jakże lżejsza niższych cierpień szala!—

IX.

Nie na wzór świata dawnego mocarzy,
Szatanów w czynach, lecz bogów na twarzy,
Konrad nie w sobie nie ma nad człowieka.
Blask czarnych oczu émi smutna powieka.
Twarz ogorzała, skroń wzuiosła i blada,
Włos kruczy bujno pierścieniami spada.
Krzepki w ramionach, lecz kształt nie olbrzymi,
— Ani się wzrostem wyniósł nad innymi.

— We wszystkim jednak biegły wzrok badacza
Znajdzie coś, co go od gminu odznacza.

Patrząc nań, wszyscy dziwią się i śledzą,
Że tak jest, czują; lecz czemu? nie wiedzą.—

Nieraz z brwi groźnych, z drżenia ust, lub z czoła,
Znać dumę, której poskromić nie zdoła.

Głos jego wdzięczny, serce jednak ziębi :
Więcej niż mówi, znać że tai w głębi.
Szybka gra rysów nagle się mieniających,
Wabi ciekawość, lecz mięsza patrzących,
Jakby w tym duszy posępnym pomroku
Kryły się czucia zbyt straszne dla wzroku.—
Tak o nim sądzą—prawdy nieświadomi.
Wzrok jego śmiałość dostrzegacza gromi,
A i któż wzajem oka mu dotrzyma,
Gdy nań raz w pełni zaiskrzy oczyma? —

Umie on sztukę—gdy ciekawość skryta
Mniema że z twarzy myśl jego wyczyta —
Umie on sztukę, że wnet zamiar zgadnie,
I sam w ciekawca duszy brodzi na dnie,
Aż zadrzeć musi, by go wzrok Konrada
Nie przejrzał całkiem, niż on coś w nim zbada.
W szyderych jego, chociaż głośnym śmiechu,
Jakby sam szatan śmiał się w jego echu,
Jest coś, co w sercu słyszających go ludzi
I gniew, i trwogę, i nienawiść budzi.
Wzrok jego gniewny, zabija Nadzieję,
Przed groźbą jego, Miłosierdzie mdleje.

X.

Wstręt ma iść na jaw złej myśli katusza,
Wewnątrz to, wewnątrz—tam pracuje dusza!
Miłość jest szczerą, śmieje się, czy wzdycha:
Ale nienawiść, lecz zbrodnia, lecz pycha,
Drgnieniem ust chyba, uśmiechem gorczy,
Zdradzą ci przepaść głębi tajemniczej.

Z gry chyba rysów, z mieniającej się twarzy,
Poznasz namiętność, gdy się w piersiach żarzy.
Lecz kto chcesz dójrzeć jój pełnię lub zmiany,
Wtenczas patrz chyba, gdyś sam nie widziany!—
Patrz! gdy wódz w nocy, z rozognioném czołem,
Załamął ręce, szybkiem chodzi kołem,
I nagle stanie, i zadrży—czy w ciszy
Śledzącej zdrady kroków nie dosłyszysz?—
Patrz, jak się dziko groźna brew nachmurza,
Gdy każdym nerwem wnętrzna miota burza.
Patrz w jego wzroku na szaleństwo ducha!
Iskrzy, mgli, krzepnie, i znów ogniem bucha.
Patrz—jeśli zniesiesz widok téj katuszy,
Jaki los jego! jaki pokój duszy!
Jak cel zawiści gminu, śród ukrycia
Pożywa owoc występnego życia!
Patrz! tam go poznasz;—lecz któż tak z badaczy
Przejrzy człowieka?— kto ducha obaczy?—

XI.

Lecz nie natura stworzyła w Konradzie
Srogięgo wodza zbojeckiej gromadzie.
Zmienił on duszę, wprzód nim czyny swemi
Wyparł się nieba, wojnę wydał ziemi.
Z młodu pan siebie, więzów świata jeniec,
Mędrzec w swych słowach, lecz w czynach szalenie.
By drzeć, zbyt mocny; by uleż, zbyt hardy;
Za chęć być dobrym—cel szyderstw lub wzgardy:
Zamiast nawzajem wzgardzić zgrają podłą,
On przeklął cnotę, jak swych cierpień źródło.

Z urągowskiem wbrew stając obłudzie,
Choć znał, zapomniał że są lepsi ludzie,
Dla których lepiej darów swych używszy,
Znalazłby szczęście, i stał się cnotliwszy. —
Lżony, gardzony, bez zgryzot nawzajem
Serce swe z ludzkim rozbratał rodzajem,
I obrał sobie, za swój cel na ziemi:

Za winy kilku, mścić się nad wszystkiemi. —

Czuł się występny—lecz dumny, rozumiał
Że nikt nie lepszy, choć nim zdać się umiał,
I gardził dobrym, jak tym, co w obawie
Czyni to skrycie, co mężny na jawie. —
Nienawidzony, wiedział, że u ludzi
Nienawiść jego strach i zgrozę budzi:
Przestawał na tém;—zimny, dziki, hardy,
Nie dbał o miłość, gdy nie bał się wzgardy.
Stronić, drzeć przed nim, potępiać go, skarżyć,
Kląć, może każdy—lecz nikt lekceważyć!

Depeą robaka—lecz któż bez bojaźni.
Kto nie pomyśli, nim węża rozdrażni?
Robak się zwinie, i nie mszcząc się kryje,
Wąż zginie, ale i wroga zabije.
Sam się nań rzuci—łamię się, passuje,
Choć nie pokona—krew jadem zatruje.

XII.

Nikt nie zły całkiem:—i w duszy Konrada
Jedno tajemnie słodsze czucie włada.
Szydzi on z drugich, że ich wikła w sieci
Namiętność godna szaleńców lub dzieci;

Sam, próżno rozum przeciw niej wyteża—
W nim nawet miłość wolę przewycięża.

Tak! jest to miłość—wzajemna—płomienna.
Jedyna dotąd, i niczém niezmienna!—
Tłum się mu branek na oczy nawija:
On ich ni stroni, ni szuka—lecz mija.
Nie jedną piękność w mocy swojej trzyma:
Żadnej słodsze mi nie uczył oczyma.
Tak, jest to miłość!—jeżeli myśl tkliwa,
Stateczna w probach, w każdej chwili żywa,
Której samotność, świat, szyderstwo ludzi,
Ani, co większa, sam czas nie ostudzi;
Której ni zmienne fortuny igrzysko
Nie zaćmi smutkiem—póki *Ona* blisko;
Która w boleści, w gniewie, ni w niedoli,
Cierpkiego na *Nią* słowa nie dozwoli,
I bez pociechy woli znieść katusze,
Niż ich podziałem zasmucić *Jej* duszę:
Jeśli myśl taka, niezmienna, nie płocha,
Jest tém, co zowią kochaniem—on kocha!
Występca, zbrodzień, z każdej cnoty zboczył,
Przeciw téj jednej w niczém nie wykroczył;
Ona, gdy wszystkie zgasły po kolei,
Świeci mu jeszcze, jak gwiazda nadziei.

XIII.

Zaczekał nieco—brew marszczy ponuro,
Aż śpiesząc z braćmi *Żuan* znikł za górą.
„Straszna wieść!—tyłem niebezpieczeństw przebył,
Cóż jest, żem nigdy jak dziś smutny nie był?—

Źle wróży serce — ale się nie boi,
Ni mię tak ujrzą towarzysze moi. —

Idziem śmierć spotkać: — lecz gdybym tu zwlekał,
Pewniejbyś śmierci i hańby doczekał.
Dziś, gdy plan pójdzie, los wzmoże w potrzebie,
Przybędzie płaczu na naszym pogrzebie! —

O! niech spokojnie, niech śpią rozmarzeni,
Przyśpieszę dla nich świt takich promieni —
Wiej tylko wietrze! — tak jasnych i ciepłych,
Że aż krew zawre w ich sercach zakrzepłych! —

„Czas do Medory! — Milcz, milcz serce moje!
Nie mogąc siebie, czyż ją uspokoje? —

Jednak jam śmiały! — Lecz tu wszyscy śmieli,
Gad, gdy się broni, równą śmiałość dzieli.

Zwierząt nie ludzi godna jest odwaga,
Gdy ją strach śmierci lub chęć łupu wzmaga.
Gardzę jęj chwałą! — Cel godny mój dumy

Był, uczyć garstkę, jak zwyciężać tłumy.
Wódz ich, nie dałem krwi ich marnie płynąć. —

„Lecz dziś! — dziś trzeba zwyciężyć, lub zginać. —
Ha! to los wojny! — i nie to mnie smuci. —

Lecz wieść tam wszystkich, z kąd żaden nie wróci,
Albo tu drzemiąc dać się ująć w pęta? ...

Czyż pamięć wodza nie będzie przekłętą,
Co przywiódł na to: że aby się zbawić,
Na jedną kartę trzeba wszystko stawić? ... —
Losie mój, losie! czuję dłoń twą groźną.
Zbaw, jeśli możesz — jeszcze nie za późno! —“

XIV.

Tak dumał w sobie, aż idąc ponury
 Doszedł do wieży na wierzchołku góry.
 Wstrzymał się u drzwi:— głos się ozwał w ciszy,
 Głos, co choć często, zawsze on rad słyszy;
 I taką piosnkę posepnej czułości
 Nócił z za kraty jego „Ptak piękności.“

„Żyje w mej duszy myśl-tajemnica,
 „Drży mi na ustach, gore w spojrzaniu,
 „Gdy obok ciebie patrzę w twe lica:
 „I znów się w dawném kryje milczeniu.

„Jak lampa w grobie, skryta przed okiem,
 „Myśl ta w mem sercu błyska i tleje,
 „Smutek jój blasku nie ćmi swym mrokiem,
 „Choć sam jój blaskiem nie rozjaśniaje.

„Przyjdź, gdy ja umrę, do mej mogiły,
 „Pomódl się za mnie, łzę wyléj po mnie!
 „Téj tylko myśli znieść nie mam siły,
 „Że ty, mój luby, zapomnisz o mnie!—

„Nie wstyd jest płakać zeszlých ze świata.
 „Raz piérwszy proszę—łzy i wspomnienia.
 „Będzie to piérwsza, jedna zapłata,
 „Mojéj miłości, mego cierpienia!“—

Porwał się Konrad, pchnął drzwi, i z pośpiechem
Wszedł — stróny arfy brzmiały jeszcze echem.

„Smutna, Medoro, jest twoja ballada!“ —

— „Chciałzbyś wesołej, gdy nie ma Konrada? —

Gdy ciebie nie ma, a żal miota duszą,

Tęskne się myśli w pieśniach zdradzić muszą.

Każdy ton, serca uczucia wydaje;

Lecz choć pieśń milczy, boleść nie ustaje. —

„Ach! ileż nocy, na bezsenném łożu,

Marzę jak we śnie, o skałach, o morzu!

Zmierzcha — ja myślę że niebo się chmurzy;

Wiatr ledwo szemrze — mnie słychać szum burzy.

Cóż, gdy posepném odezwie się wyciem?

Zda się, że jęczy nad twojém rozbiciem! —

Zrywam się, patrzę, czy stróże niekarni

Nie dali zgasnąć portowej latarni,

I o pogodę gwiazd pytam oczyma.

„Nastał poranek — ciebie jeszcze nie ma!... —

Jak wtedy zimno na me serce wiało,

Jak przez lzy słońce mgliste się zdawało! —

Patrzę i patrzę dzień cały — daremnie.

Konrad gdzieś jeszcze daleko odemnie! —

Wreście — postrzegam maszt, okręt — tu płynął,

Witam go, czekam; — zbliżył się — i minął.

Znów drugi! — twój był. — Powróciłeś z boju.

„O! mój Konradzie! mam-że w niepokoju

Zawsze tak czekać? — nigdyż serca twego

Nie ujmie powab szczęścia spokojnego? —

Masz dosyć skarbów — ach! więcej niż trzeba;

Znajdziem kraj miłszy, pogodniejsze nieba,

Pójdźmy!—O siebie wiész że się nie boję.—
Lecz twoje szczęście—lecz ach! życie twoje!...
Dziwne twe serce! gdy dla mnie tak tkliwe,
Tak razem srogie dla drugich, tak mściwe!...“—
—„Tak, moja luba! dziwne jest to serce.
Zwiedli je zdrajcy, zelżyli oszczerce,
Jak płaz zdeptane, lecz mści się jak żmija:
Ludzie w nie wleli jad, co ich zabija! —

„Bez żadnej znikąd pociechy, prócz ciebie,
Bez celu w życiu, bez nadziei w Niebie,
W duszy się mojej tak wiąże i splata
Miłość dla ciebie z nienawiścią świata,
Że gdy się jedna, wnet druga ostudzi:
Przestałbym ciebie, gdybym kochał ludzi! —

„O to się nie bój!—przeszłość moja cała
Ręczy, że przyszłość nie będzie się chwiała.
Lecz uzbrój serce!—raz jeszcze, Medoro!
Dziś—muszę jechać—ale wrócę skoro.“—

—„Jechać! dziś jeszcze?—ach! jam to przeczuła!...
Tak znikły wszystkie sny, com sobie snuła,
Sny moje złote!...—Lecz dziś?—być nie może!
Łódź ledwo przyszła, maż znów iść na morze?
Nie czekać drugiej?—Znużeni jej ludzie
Muszą choć chwilę odpocząć po trudzie!...—
Nie! ty, mój luby, chcesz przez to udanie
Poznać, nauczyć, jak mam znieść rozstanie.
Igrasz z mem sercem!—ono ci wybaczy,
Lecz z takich żartów blisko do rozpaczy!—

„Milez, milez, Konradzie!—nie jedziesz dziś!—wierzę.
Pójdź dzielić ze mną twą skromną wicherzę!

Nikt prócz mnie nie śmiał tknąć jej, ni zastawić.
Lekki trud wprowadzie ucztę ci przyprawić!
Owoc ten rwałam z najwyższego drzewa,
Im bliższy słońca, tém prędzej dojrzewa.
Trzy razy górę obiegłam, nim w cieniu
Najświętszą wodę znalazłam w strumieniu.
Pójdź! niech cię sorbet orzeźwi po skwarze:
Patrz, jak się iskrzy w kryształowej czarze!
Wina ty nigdy skosztować nie raczysz,
Drżysz jak Muzułman gdy puhar obaczysz.—
Nie sądz, że ganę—o! nie!—to mnie cieszy,
Że i w tém nawet różnisz się od rzeszy.

„Lecz pójdź! stół gotów; ja okna zasłonę.
Srebrna ta lampa, patrz, jak jasno płonie!
Wezwę mych dziewic—niech zaczną w około
Lub rażny taniec, lub piosnkę wesołą!—
Lubisz mą arfę—czy chcesz?—wnet nastroję.
Lub jeśli wolisz, będziemy oboje
Czytać z Arjosta Olimpii żale,
Gdy zdrajca śpiącą zostawił na skale. —
Po tobie jednak mnie byłoby smutniej!
Gdybyś dziś jechał, zrobiłbyś okrutniej,
Okrutniej nawet niż Tezeusz zdrajny!—

„Wiem, ty się śmiejesz, gdy ci Arvadny
Wyspę niekiedy wskazuję z wysoka.
A mnie myśl smutna łązy pędzi do oka:
Gdyby mnie kiedy Konrad tak porzucił?—
Aleś ty lepszy! tyś do mnie powrócił!“—
—„Wróciłem, luba, i powrócę znowu.
Zawierz miłości i Konrada słowu.

Wróćę, i rychło;—lecz teraz już chyża
Chwila rozstania na skrzydłach się zbliża.
Gdzie? po co jadę?—szkoda chwil na słowa,
Gdy je ma skończyć najgorsze: bądź zdrowa!
Odkryłbym jednak—lecz już czas zbyt drogi.
Nie bój się! wcale nie straszne są wrogi.
Tu ci zostaje straż silna, podwójna,
Będiesz bezpieczna—o mnie bądź spokojna!
Nie baw samotna, gdy ja oddalony.
Jadących ze mną poruczam ci żony.
W tém miej pociechę, że po tém zwycięztwie,
Nagrodę trudów znajdziem w bezpieczeństwie.—
„Słyszysz! dźwięk trąbki?—ha! łódź już gotowa.—
Jeden wzrok, uścisk!—raz jeszcze!—bądź zdrowa!”

Łkając na szyi zawisła rękami,
Drżące w nim serce czuje pod ustami.
On nie śmiał podnieść, nie śmiał znieść widoku
Bładości w twarzy i rozpaczy w oku.—
W całej dzikości bezładnego wdzięku,
Włos jój po jego rozesał się rękę;
Stłumiony oddech i mdłe serca bicie
Świadczą w niej tylko cierpienie i życie....

Zagrzmiał huk działa—odjazdu godzina!
Słońce zachodzi—on słońce przeklina.
Strzał drugi, trzeci;—ścisnął z uniesieniem
Niemą od żalu, proszącą milczeniem,
I drżącym krokiem zaniósł ją na łożę.
Spójrzył z rozpaczą—raz ostatni może!
Dreszcz przebiegł serce:—uczuł, że dla niego
Prócz niej na świecie nie ma miłego.

Dotknął ust, zimne;—spotkał wzrok, wpół zgasły.—
Zwrócił się nagle—drzwi z łoskotem trzasły.

XV.

„Co? już go nie ma?“—straszliwe pytanie,
Gdy kto tak nagle samotnym zostanie!
Myśl nie śmie wierzyć, że oczy nie mylą—
Przed chwilą jeszcze tu stał—był przed chwilą—
Gdzież jest?—Wybiegła obłąkanym krokiem,
Aż łzy jój wreście lunęły potokiem,
Bujne, gorące;—myślą za nim woła:
„Bądź zdrow!“—wymówić nie śmie, i nie zdoła.
Ach! bo w tém słowie—choć się chcą uśmiechać
Wiara, Nadzieja—Rozpacz tylko słyhać.

W białych jój rysach, jak w twarzy z kamienia,
Technie dziki wyraz wiecznego cierpienia;
Oczy jój modre, szkliste, bez promieni,
Jak gwiazdy we mgle błędzą po przestrzeni.
I ach! dostrzegły—to on!—już daleki!...
Wtedy raz jeszcze z pod łzawej powieki
Błysły, jak słońce z za deszczowej chmury.
Próżno! nie spójrzył, znikł w zaroślach góry.
„Poszedł!“—Jak posąg biała, nieruchoma,
Łkające piersi przyciska rękoma.
Spójrzała jeszcze—port przed jój oczyma:
Białą się żagle i morze się wzdyma.
Nie patrzy więcej—w drzwiach błysła jój postać—
„Prawda więc!—jedzie!—samój kazał zostać!“—

XVI.

Szybko wprost z góry, na głaz skacząc z głazu,
Biegł Konrad—nazad nie spójrzył ni razu.
Lecz drżał ilekroć ścieżka przed nim boczy,
By na zakręcie nie wpadła mu w oczy
Samotna jego, lecz miła mu wieża.
Zawsze go pierwsza witała z nadbrzeża,
Jak on ją z morza!—i ona w niej, ona!
Burzliwej duszy gwiazda niezamglona!—
Jeden wzrok jeszcze—a moc w nim rozbroi.
Nie śmie go ujrzyć; pomyśleć się boi.
Że mógłby zostać;—chciałby—któż mu broni?—
Zostać?—by zginąć od katowskiej dłoni?—
Nie, nie!—Raz jednak, chciał stanąć, chciał wrócić,
Na los zdać wszystko, zamiar na wiatr rzucić—
Nie!—myśl niegodna!—nie!—prawego męża
Płacz niewiast miękcy, ale nie zwycięża.—

Ujrzał swą nawę—zważa wiatr przychylny,
Zwrócił myśl ku nim—i znów w sobie silny,
Znów chyżej naprzód;—i gdy z brzegu słyszy
Wesołą wrzawę męźnych towarzyszy,
I łoskot fali, co pod wiatrem rosła,
I hasła majtków, i szybki szum wiosła:
Gdy widzi okręt—maszt niebu urąga,
Rozskrzydlił żagle, kotwicę wyciąga:—
Gdy widzi czółna, w których ludzie zbrojni
Płyną na okręt—jak wszysej spokojni!
Choć jak śnieg biało i gęściej od śniegu
Chustki żon ku nim powiewają z brzegu;

Gdy widzi zwłaszcza, jak z masztu zwieszona
Igra z wiatrami chorągiew czerwona—

Sam się zadziwił, że był słabym tyle,
W wielkim zamiarze zachwiać się na chwilę.

Żar w jego oczach, dzikość w jego duszy,
Uczuł sam siebie—nie go już nic wzruszy.

Pośpiesza, bieży—aż zbiegł gdzie równina,
Co skałę kończy a brzeg rozpoczyna.

Tam zwolnił kroku;—świeżość bliskiej głębi
Krzepi znużenie, ogień lica ziębi;

Lecz stanął raczej, by zimną odwagę

Wrócił swój twarzy, swym krokom powagę,

Wprzód nim go ujrzą.—Konrad sztukę umie,
Jak tając dumę, tłum zhołdować dumie.

Wyniosłość lica, i zimną postawę,

Co stroniąc niby obudza obawę;

I wzrok, i uśmiech, co choć serce nie zraża,

Hamuje płochosć i śmiałość przeraża;

Wszystko ma w mocy, by zgrają zaślepić,

Rozbroić opór, i władzę ukrzepić.

Lecz gdy chce ująć—z ufnością przyjaźni

Każdy wnet pierwszej zapomni bojaźni,

Niewolnik, z duszą na rozkaz gotową.

Nad dary drugich, droższe jego słowo,

Gdy jakby z serca głębi tajemniczej

Zagra do serca głos tęsknej słodyczy.—

Lecz rzadko słodycz w parze z jego duszą:

Nie dba czy zechcą, gdy co każe, muszą.

Czy podłość drugich, czy dumy szaleństwo.—

On depce miłość, by mieć posłuszeństwo.

XVII.

Wkoło broń straży brzękła czią wodzowi.
Zbliżył się Żuan.—„Czy wszyscy gotowi?“—
—„Już są w okręcie; ostatnie przy lądzie
Czółno to czeka, póki wódz nie wsiądzie.“—
„Miecz mój, płaszcz, trąbkę!“ — Miecz przypiął z nie-
[chcienia,

Trąbkę ma w dłoni, płaszcz zwiesił z ramienia.
„Zawołać Pedra!“ — Przyszedł — Konrad wita,
Pierwszemu z wodzów grzeczność należyta.
„Weźmij ten papier! — zawiera rozkazy.
Ważne — bacz pilnie na wszystkie wyrazy.
Anzelmo także, jak skoro przybędzie,
Ma je wykonać. — Straż podwoić wszędzie!
Za trzy dni, jeśli — jeśli wiatr posłuży —
Powróć. Bądź zdrów!“ — i nie zwłócząc dłużej,
Podał dłoń, ścisnął — skinął na wiosłarzy,
I skoczył w czółno z wyniosłością w twarzy.
Ruszyły wiosła — jak gwiazd droga mléczna,
Iskrzy za niemi jasność fosforyczna.
Dopłynął nawy — stoi na pokładzie.
Gwiznięto z góry — ruch w całej gromadzie.
On zważa okręt, jak lekki na fali,
Jak słucho steru — uważa, i chwali.
„Gdzie jest Gonzalwo?“ — Zbliżył się młodzieniec,
W skłónionej twarzy radości rumieniec.
Uprzejme słowo wódz już w ustach trzyma —
Czegóż się wezdrgnął? czy się gniewem zżyma? —
Ach nie! — on ujrzał swą wieżę na skale,
Wspomniał rozstanie, zgadł Medory żale,

Jeśli na okręt spogląda w tę chwilę.—
Nigdy on, nigdy nie kochał jój tyle!—
Lecz nim noc minie, wiele zrobić trzeba.

Odwrócił oczy, spójrzył w błękit nieba,
I wnet z Gonzalwem zszedłszy na spód nawy,
Odkrywa cele i środki wyprawy.

Przed nimi mappa i lampa na stole,
I kompas; w ręku cyrkiel i półkole.
Północ—czuwają; twarz obudwu groźna.

Bezsennym oczom któraż chwila późna?—

Tymczasem w żagle dał wiatr pożądaný,
Okręt jak sokół leci przez bałwany;

Sto wysp minęli sterczących granitem:
Cieszą się—celu dopłyną przed świtem.

Już przez szkła nocne liczą bez obawy,
W ciasnej zatoce natłoczone nawy

Baszy Seida; widzą, jak niedbali

Stróże przy ogniach gasnących czuwali!..—

Okręt ich kołem obiegł czaty przednie,

Wszedł, gdzie bezpieczny skryłby się choć we dnie.

Przy pustym brzegu, za skałą wysoką,

Straży ni szpiega nie dojrzy go oko.—

Konrad na pokład zgromadził swych ludzi,

Do powinności—lecz nie ze snu, budzi.

Wsparł się na poręcz, rozkazy objawia,

Rozmawia zimno—choć o krwi rozmawia.—

KONIEC PIEŚNI PIÉRWSZÉJ.

PIEŚŃ DRUGA.

„Conoscete i dubbiosi desiri?”

Dante.

I.

W zatoce Koron las masztów się jeży,
Na zamku Koron lampy błyszczą z wieży,
Tam Seid Basza częstuje żołnierzy.
Święci swój tryumf—jutro spodziewany—
Gdy zbójców zgromi i pojma w kajdany.
Tak na Allaha przysiągł swemu Panu.

Wierny przysiędze i słowom firmanu,
Zwołał swe nawy;—coraz w liczbę rosną,
Tłum coraz większy tryumfuje głośno.
O łup, o branki, przed wzięciem się kłóca,
Jeszcze nie wyszli, już pewni że wróca.
O świcie dosyć niech pod żagle wsiedą,
Przed zmrokiem zbójców port i łup zdobędą! —

Tymczasem strażę mogą spać bezpiecznie.
Nie dość jest bić się — niech marzą walecznie!
Lub gdy sen komu nie ciąży w powiekach,
Może ramienia probować na Grekach!..

O! godne czyny barbarzyńskiej dłoni!
Katować więźnia, gdy się sam nie broni;
Napaść dom Greka, sprzęt skruszyć pod nogą,
Bić — byle tylko nie zabić nikogo! —
Dziś są łaskawi — nie chcą, czy nie mogą.
Gdzie niegdzie tylko słychać jęk i razy.
Lecz to żart! — Basza zakazał obrazy.

Wzdłuż brzegu wszędzie śmiech, muzyka, wrzawy:
Kto kochasz głowę, śmieję się, dziel zabawy!
Bo dziś muzulman wesół — choć bez wina,
Wyteżył dowcip — łaje i przeklina.

II.

W biesiadnej sali, w lśniącym złotogłowiu,
W białym zawoju, wsparty na węzłowiu,
Seid wśród gości spogląda wesóły.
Skonczona uczta, odstawione stoły.
Twarz jego płonie, ogień iskrzy z oka:
Pije on, mówią, napój nie Proroka.
Nie śmieją drudzy; prawowierni, trzeźwi,
War wonnej mokki myśl w nich tylko rzeźwi.
Z długich cybuchów dym bucha wokoło,
Gdy Almy w środku tańczują wesóło.
Jutro na bitwę! — lecz dziś, w nocnej porze,
Nie dość bezpiecznie puszczać się na morze!

Na wzdętych falach sny nie tak powabne,
Jak gdy ich łoże kołysze jedwabne! —
Więc się dziś bawią;—jak błysnie świtanie,
Pójdą, bo muszą—nadzieja w Koranie!
Choć widok floty i gwar tłumnej rzeszy,
Ziemią nadzieją niemniej dumę cieszy.

III.

Ze czcią bojaźni, od wewnętrznych podwoi,
Idzie niewolnik, co w nich stróżem stoi.
Schylił się, czołem uderzył podłogę,
Nim w drżących ustach głos rozwiązał trwogę.
„Derwiz podróżny, zbieg z więzów korsarzy,
Przybył, i czeka czy się wejść odważy?“—
W skinieniu Baszy zgadł znak jego woli.
Odszedł.—Wszedł Derwiz—zbliża się powoli.
Skromnie na piersiach krzyżuje ramiona,
Krok jego słaby, żrenica spuszczone.
Trudów, nie wieku, starość znać z postawy,
Twarz jego blada z postów, nie z obawy.
Poświęcon Bogu włos spada szeroko,
Okryty czapką okrągłą, wysoką.
Długa, powiewna, rozpuszczona szata,
Obwija piersi—ozieźble dla świata.
Pokorny, jednak pan siebie, bez strachu
Spotyka oczy iskrzące wzdłuż gmachu.
Nikt nie śmie pytać, lecz wszyscy ciekawi
Co wnet spytany przed Baszą objawi.

IV.

Zkądś Derwiszu? — „Przez zbójców pojmany,
Uszedłem z więzów.“ — „Gdzie? kiedy zabrany?“ —

— „Do wyspy Scio z portu Skalanowy
Płynął nasz okręt, wioził towar handlowy.

Nie szczęścił Allah — wola jego święta!

Napadli zbójcy, nawa nasza wzięta,

Towar złupiony — myśmy poszli w pęta.

Nie miałem bogactw, śmierci się nie bałem,

Lecz tracąc wolność, straciłem co miałem. —

Długo mię gnioła przemoc świętokradzka;

Aż dziś noc ciemna i łódka rybacka

Tu mię zbawiły — tu, w opiece twojej,

Potężny Baszo! któż się zbójców boi?“ —

— „Jakże ci zbójcy? jak zbrojni? czy śmieli?

Myślisz że opór stawięby mi chcieli?

Czy wiedzą o mnie, że z jutrzejszą gwiazdą

Mam zniszczyć ogniem skorpionów gniazdo?“ —

— „Baszo! wzrok we łzach nie wiele dostrzega,

Trudna więźniowi przenikliwość szpiega.

Słuchałem tylko morskich fal łoskotu,

Ptastwu morskemu zazdroszcząc przelotu;

Widziałem tylko — ach! przez kraty ciasne,

Niebo — zbyt czyste, słońce — zbyt mi jasne;

I żeby inném czém zająć mą duszę,

Ozułem że wolność wprzód odzyskać muszę. —

Lecz z méj ucieczki znać że się nie strzegą,

Ze się nie muszą obawiać niczego.

Sposobność ujścia próżnoby mi znikła,
Jeśliby brzegów strzegła czujność zwykła.
Niebacznosc straży, jak mojej podróży,
Równie zbliżeniu twój floty posłuży. —

„Lecz Baszo! głosu i sił mi już braknie,
Trud odpoczynku, głód posiłku łaknie.
Pozwól, bym odszedł. — Pokój, pokój z wami!
Odchodzę za was modlić się ze łzami.“ —

— „Stój, stój Derwiszu! mam cię jeszcze badać.
Stój! — słyszysz? każe — musisz odpowiadać.
Usiądź! wieczerzę przyniosą ci słudzy,
Nie będziesz pościł, gdzie uczują drudzy.
Powiesz mi potem, jak naoczny świadek,
Krótko i jasno — nie lubię zagadek.“ —

Nie wiedzieć czemu, Derwisz drgnął — i srogo
Z pod brwi zmarszczonych spojrzął jakby z trwogą.
Łaska w nim Baszy nie budzi wdzięczności,
Ni go śnać wzrusza cześć obecnych gości,
Bo przygryzł wargę, i bladość niezwykła
Jak błysk po licu przebiegła i znikła.
Usiadł w milczeniu, i w rychle na nowo
Przybrał wzrok zimny i postać surową.

Przyniesli ucztę — wykwintne potrawy.
Jakby w nich jadu lękał się zaprawy,
Zadrzał na widok, ze wzgardą odpycha —
Dziwna w zgłodniałym wstrzemięźliwość mnicha! —
— „Co ci Derwiszu? — jedz! — ust ci nie splami
Psie jadło Giaurów; tuś nie ze zbójcami. —
Co? sól odpychasz? — zgody zakład święty,
Co podzielona koi gniew zawzięty,

Sprzysięgłe na się łączy pokolenia,
I serc nieprzyjaźń w braterstwo przemienia?...“
— „Sól jest przysmakiem;—pożywieniem mojem
Sa polne zioła, woda mym napojem.
Prawa zakonu i ślub mój przed Bogiem
Bronią mi łamać chleb z bratem, czy z wrogiem.
To cię zadziwia—i może obruszy,
Lecz względy ziemskie nie zbawią mej duszy.
Ty, ni sam Sułtan nie zmusi mię niczem,
Bym dotknął uczy przed ludzi obliczem,
Bo gdy raz zgrzeszę, gniew mi Mohammeda
Do świętej Mekki pielgrzymować nie da.“—
— „Dobrze, Derwiszu! gdyś tak bogobojny,
Powiedz mi tylko—odejdiesz spokojny—
Ilu ich?—Cóż to? ha! to nie jest zorze!
Co za meteor? co za blask na dworze!
Patrzcie! nad portem jakby ognia morze!—
Pożar! do broni! śpieszcie! pożar! zdrada!
Flota się pali! a jam tu—o! biada!
Przeklęty Derwisz!—przyszedł w sidła zwabić,
Giaur, szpieg przebrany!—pojmać go i zabić!“—

Porwał się Derwisz na wybuch płomieni,
Nagłą w nim zmianą zbledli przerażeni.
Porwał się Derwisz—nie już w mniszym stroju,
Lecz jak wojownik gotowy do boju.
Rozdarł swą szatę, czapkę zerwał z skroni:
Pancerz na piersiach, szabla błyszczy w dłoni!
Hełm niski, lśniący, nad nim czarne pióro.
Twarz się zezerniła, oczy ogniem gorą.

Jak na zjawisko piekielnego ducha
Pierzchły z serc Turków męztwo i otucha.
Tłoczą się, biegną, wśród zgiełku, wśród gwaru —
Tu blask pochodni, tu łuna pożaru!
Krzyk, hałas, groźby, przekleństwa i jęki,
Huk trąb i bębnow, i oręża szczyki
Grzmia po powietrzu — jakby z mocą wściekłą
Całe na ziemię wyparło się piekło.
Złękłe, zdumione, obłąkane strażę,
Patrzac na morze, na niebo w pożarze,
Nie widzą pana — nie słyszą, co każe.

Próżno wre Baszy wściekłość rozdąsana:
„Pojmajcie szpiega! pojmacie szatana!“ —
On ujrzał popłoch — cofnął krok rozpaczny,
Którym się na śmierć miotał nieobaczny,
Gdy pośpiech braci, wcześniej niż zalecił,
Niż wydał hasło, pożarem zaświecił.
On ujrzał popłoch — trąbkę do ust złożył,
Dźwięk krótki, ostry, trzykroć się powtórzył.
Odpowiedziano. — „Wy tu, bracia mili!
Mogłżem posądzać, w niebezpiecznej chwili
Że mię umyślnie samym zostawili?...“ —
Rzekł, miecz i ramię puścił w krąg szeroki,
Jakby chciał pierwszój powetować zwłoki.
Przestrach we wrogach, męztwo w nim podwaja. —
Pierzchła przed jednym rozpłoszona zgraja.
Toczą się głowy po krwawej podłodze,
Nikt nie śmie dostać: żołnierze i wodze,
Nieufni w dłoni, zaufali w nodze.

Seid ostatni w pierzchających tłumie,
Grozi, klnie, błaga—wstrzymać ich nie umie.
Mężny—sam jednak spotkania unika:
Strach uolbrzymał siłę przeciwnika.
Spójrzył z rozpaczą gdzie flota się pali,
I rwąc swą brodę, wściekły wybiegł z sali.
Nie czas już czekać:—przełamano wartę,
Bramy pałacu runęły wyparte.
Wpadają zbójcy.—Próżno trwoga blada,
Próżno pokora na kolana pada,
U nóg zwycięzców próżno składa miecze:
Przeszli—krew wrząca strumieniami ciecze.
Pędzą, gdzie znowu brzmi trąbka Konrada,
I jęk ginących tryumf zapowiada.
Wpadli—okrzykiem witają weseli:
Śród stosu trupów zwyciężcę ujrzeli!
Miecz trzyma w górze, ogniem iskrzą oczy,
Jak syty tygrys w krwi rozlanej broczy.—
Krótka rozmowa: „Flota już w perzynie!“—
—„Dobrze! Lecz Seid musi zginać.“—Zginie!“—
—„Za mną, i naprzód! z ogniem i żelazem!
Płonie port—czemuż i miasto nie razem?“—

V.

Skorzy na rozkaz—każdy żagiew chwyta,
Miasto i zamek jedną luną świta.
Z dziką rozkoszą Konrad się uśmiecha:
Wezdrgnął się nagle—jakiż słyszy echa?
Ha! to jęk niewiast!—jak dzwon na pogrzebie
Wstrząsł sercem jego—tak twardem w potrzebie.

„Harem się pali!—za mną! do obrony!
Śpieszcie! pomnijcie --i my mamy żony.
Na nie ach! spadnie krew niewiast;—pomnijcie!
Nie krzywdzić żadnej, kto stoi o życie!
Śmierć nieść mężczyznom—lecz pomoc kobietom!
Ach! jam zapomniał!—lecz czyż Bóg przebaczy
Sprawcy niewinnych śmierci i rozpaczy?—
Idź kto chcesz za mną! ja choćby sam, idę
Odeprzec od nas tej zbrodni ohyde!“—

I skoczył w ogień po^o wschodach runących,
Wyłamał otwór we drzwiach gorejących;
Po rozpalonych kamieniach podłogi,
Śród kłębow dymu i iskier pożogi,
On, i w ślad za nim śpieszący bez trwogi,
Wpadli—porwali—każdy na swych rękach
Unosi jedną—nie myśląc o wdziękach,
Ośmiela, cieszy, błaga, uspakaja.
Zna cześć piękności Konradowa zgraja.
Nie iść w ślad wodza najdzikszy się sroma,
Ratuje słabość—krwawemi rękoma.

Lecz któż jest? któż jest ta piękna i blada,
Ta najpiękniejsza w objęciach Konrada?—
Postać niebianki, tronu godne lica,
Anioła godne!—Któż jest ta dziewica?—
Pani harem—Baszy niewolnica.

VI.

Krótko wódz spójrzył na wdzięki Gulnary,
Krótko ośmielał niosąc przez pożary,
Krótko pożegnał; — nie czas stać spokojnie! --

Gdy litość chwilę sfolgowała wojnie,
Wróg niescigany zaczął się ozierać,
Zwalniać krok, stawać, zwracać się, opierać —
Widzi to Seid — widzi i poznaje,
Przed jaką garstką pierzełły jego zgraje.
Wstydy się błędu — wstyd wściekłość w nim drażni,
Gdy widzi dzieło zbyt skorój bojaźni.
„Alla il Alla!“ okrzyk zagrział w gminie,
Każdy jak wściekły, pomści się, lub zginie.
Ogień za ogień, krew za krew niech płaci! —
Lecą do boju, po trupach swych braci.
Znów szcęk, wrzask, ciżba — wre bitwa straszliwa.
Szczęście jak nagle wezbrało — odpływa.
Zwycięzcy tłuszcą ściśnieni zuchwaleczą,
Już nie o tryumf, o swe życie waleczą.
Ujrzał wódz — pojął, zgadł niebezpieczeństwo.
Słabnie przed tłumem siła — choć nie męstwo.
„Jeszcze raz, za mną! rozbić zgraję trwożną!“ —
Kupią się — biegną — uderzyli — próżno!
Wszystko stracone! — wróg ciaśniej otacza,
Nikt ujsć nie zdoła, lecz nikt nie rozpacza.
Jeszcze są w szyku! — ha! już przełamani,
Już rozpierzchnieni, ujęci, zrabani!....
Kto został, milcząc passuje się w gminie,
Aż z trudu raczej niż z rąk wroga zginie;
Aż choć raz jeszcze, w konwulsyjnej pięści,
Na czasce wroga mściwy miecz zachr zęści.

VII.

Lecz nim tłum dziki wszcząwszy bój zażarcie,
Sam się na wstępne odważył natarcie,
Wraz ze swą panią, dziewicę Gulnary,
W domu mieszkańca jednéj z niemi wiary,
Z rozkazu wodza umieszczone skrycie,
Przystały bać się o sławę i życie.

Z łez i Gulnary oschło czarne oko,
Lecz smutna, mileczy i duma głęboko.
Tkwi w jéj pamięci wybawca z płomienia,
Dźwięk jego głosu, blask jego spójrzenia.
Dziw jéj, że zbójca, śród boju dzikości,
Zdał się być czulszym, niż Seid w miłości.
W pieczętotach nawet Baszy niewolnica
Czuć musi łaskę, jaką pan zaszczyca;
Korsarz niósł pomoc, osłode boleści,
Jak hołd należny godności niewieściej!...

„Zle jest — co gorsza — wiem, że próżno żądać.
Chciałabym jednak — muszę go oglądać.
Winnam mu życie moje i tych branek. —
Zapomniał o niem mój pan — mój kochanek!“ —

VIII.

I wnet go widzi — gdzie bój najzaciętszy,
Jęk najgłośniejszy, i tłok coraz gęstszy.
Sam wpośród trupów szczęśliwszych już braci,
Coła się, groźny w licu i postaci.

Każda piędź ziemi krwią za nim przesiękła.
Mięsza się pogoń, ustaje zalękła —
Aż w krwi ślizgocie krok się jego zwinął.
Zachwiał się, upadł — chce zginąć, nie zginął,
Wzięty! — Ha! zbrodnia nie ujdzie bezkarnie,
Niech tylko zemsta wymyśli męczarnie! —

Tamują rany — śmierć nie czyni zadość.
Kroplą po kropli przelać krew, to radość,
Jęki po jękach słyszeć, gdy je wyda.
To będzie rozkosz dla Baszy Seida! —
Obyż mąk rodzaj wynaleźć, wykonać.
By wcięż w nich konał, nigdy nie mógł skonać! —

Widzi Gulnara — tenże to syn meztwa,
Przed chwilą jeszcze wódz i pan zwycięstwa,
Którego słowo lub ręki skinienie
Tysiącom niesło śmierć lub przebaczenie? —
On to! — bezbronny, lecz mężny w złej doli,
Życie go tylko, że je ustrzegł, boli.
Rany ma lekkie, choć sam ciosy wabił,
Choćby całował miecz coby go zabił.
Niktże z tysięcy — jednego potrzeba —
Nie chce go posłać — mniejsza! czy do nieba?
Samże on z braci ma zostać na ziemi,
On, co śmierć spotkać śpieszył przed wszystkimi? ... —

Czuł on, co człowiek czuje, gdy na czoło
Ze szczytu upadł pod Fortuny koło:
Czuł złe, co zbroił; czuł blizkie katownie,
Czuł hardość wroga — czuł gorzko, gwałtownie.

Ale też дума, co go w głąb strąciła,
Wzmogła w nim serce, i boleść pokryła.

Wzrok pogardliwy i twarz obojętna,
W jeńcu, zwycięzcy jeszcze noszą piętna.
Ranny, znużony—lecz gdzież są w tej chwili
Coby spokojniej i mocniej patrzyli? —
Słucha bez gniewu, jak stojąc zdaleka
Podła nań tłuszcza urąganiem szczeka;
Mężni, co zblizka w boju go widzieli,
Szanują w więzach dłoń, przed którą drżeli.
Ledwo nań który z wiodącej go straży,
Żaden beze czci spojrzeć się nie waży.

IX.

Posłany lekarz—nie litość posyła —
Ma rzec, co w mękach zniesie jeńca siła.
Znalazł jej dosyć, by dźwigać kajdany;
Znalazł dość czucia, by czuć ból zadany;
Jutro więc, jutro, gasnąc na gór szczycie,
Słońce obaczy pierwsze na pal wbicie,
A rano z morza w zwykłej wstając mocy,
Ujrzy jak dotrwał w mękach całej nocy.
◆ Z mąk to najsrozsza, najdłuższe z cierpienia:
Z bolem konania łącząc żar pragnienia,
Śmierć, jedną ulgę, z dnia na dzień oddala,
Gdy już éma sępów kracze wkoło pala.
„Ach! wody! wody!“—Zemsta się naśmiewa,
Wskazuje puhar—zbliża—i rozlewa.
Próżno nieszczęśnik usta ku niej kwapił:
Skończyłby cierpieć, gdyby się raz napił.

To wyrok jego.—Odeszli strażnicy,
On został—jeden, w kajdanach, w ciemnicy.

X.

Któż uczuć jego pojałby męczarnie,
Gdy on, ofiara, sam ich nie ogarnie?
Noc, wojna, zamęt, w myślach jego duszy:
Wszystkie w niej siły mdleją od katuszy,
Wszystkimi jego uczuciami miota
Nieżałująca, rozpaczna zgryzota,
Ów wróg nasz mściwy, co mileząc w potrzebie,
Po czasie woła: „ostrzegałem ciebie!“—
Próżno!—piersź mężna, jadem jęj zatruta,
Klnie albo mileczy—dła słabych pokuta!
Przed chmurą ciosów, czyż obwód jęj tarczy
Okryciu serca wielkiego wystarczy?—
W tęj nawet chwili, gdy na wpół jak w grobie,
Całe swe życie czuje, widzi w sobie,
Żadna w niem zbrodnia nad inne grożąca,
Żadna namiętność, ni myśl panująca,
Nie émi się przed nim tak, aby swym cieniem
Resztę przynajmniej skryła przed wspomnieniem.
Nie!—okiem ducha patrzy on od razu
Na całą przestrzeń dzikiego obrazu:
Widzi rozpierchłe sny dumnej wielkości,
Skażoną chwałę, łzy, rozpacz miłości,
Znikłe nadzieje szczęścia, czeze zamiary,
Tryumf swych wrogów, kaźń swęj bliżkięj kary!...
Przeszłość się czerni, jak otchłań bezdenna,
Przyszłość, jak chmura gromami brzemienna:

Czyny i słowa, złe myśli i chęci,
Co jak ćma nocna kryły się w pamięci;
Błędy wesołe lub miłe w swym czasie,
Lecz z których dzisiaj każdy zbrodnią zda się;
I wszystkie krzywdy, któremi przewinił,
Co choć utaił, sam wie że uczynił,
Których naprawić nie ma już sposobu:
Wszystkie, jak duchy z otwartego grobu,
Wznoszą się z serca, okryte żałobą,
I groźnym palcem wołają za sobą...
Wszystko on widzi—nim zwierciadło duszy
Oekniona дума porwie i rozkruszy.

Tak! дума pokryć, odwaga znieść śmiało
Potrafi wszystko — wszystko co się stało;
Lecz któż bez trwogi?—cóż ztąd że ukryta?
Godzien jest tylko chwały hipokryta:
Nie nędznik, co się wprzód chępiąc, ucieka,
Lecz ten, co nawet widzi śmierć—i czeka;
Lub gdy weń godzi grot niechybny losu,
Bieży w pół drogi na spotkanie ciosu.

IX.

W warownej izbie, na najwyższej wieży,
Okuty Konrad na posłaniu leży.
Pałac spalony — ta wieża zamyka
Baszę, kobiety, dwór i niewolnika.

Nie wini Konrad o srogość zwycięzcę,
Sam mu los równy gotował po kłesce.
Duma sam w sobie:—strach, zgryzotę przemógł;
Lecz jest myśl jedna, której uspić nie mógł,

Któręj pomyśleć nie śmiał:— jak te wieści
Przyjmie Medora? jak zniesie boleści?...—

Wtenczas —raz tylko wtenczas— z cichym jękiem
Porwał się z miejsca, i z kajdanów brzękiem
Wzniósł nagle ręce— jakby zerwać żądał
Więzy, na które z wściekłością poglądał. —
Lecz udał meztwo, czy się w nie uzbroił:
Zaśmiał się gorzko, i gniew uspokoił.

„Teraz niech przyjdą! — niech znajdą katusze
Gorsze! niech znajdą!...— Lecz odpocząć muszę.“—
Rzekł, padł na łoże, zamknął skrzące oko,
I co bądź marzy—znać że śpi głęboko.

Noc jeszcze — północ już była minęła,
Gdy pożar floty i bitwa się wszeźdła.
Jak Konrad w planach, godna wodza rzesza
Skora w pełnieniu i w pracy pośpiesza.
Nie było złego, choć w tak krótkiej chwili,
Coby go mogąc, wrogom nie zrobili.
W godzinie Konrad — korsarz na pokładzie,
Na ładzie rycerz, derwisz na biesiadzie,
Odkryty, blizki śmierci, ocalony,
Zwycięzca, tyran, zbawca, zwyciężony,
Jeniec, w kajdanach, jak zbrodzień po wojnie
Skazany na śmierć — i usnął spokojnie!

XII.

Śpi — uśmiech w ustach, łza łśni z pod powieki,
Oddycha lekko — oby spał na wieki! —

Któż się to zbliża z łzawemi oczyma?
Wrogi odeszli, przyjaciół tu nie ma!
Seraf-li, niebios utaiwszy blaski,
Niesie mu we śnie zwiastowanie łaski?—
Nie!—choć anielska w licu piękność świta,
Ziemski to tylko jest anioł—kobięta!

Wzniesioną lampę w jednej trzyma dłoni,
Drugą jej światło przed uspijonym chroni,
By blask niewczesny nie padał na oczy,
Co z snu otwarte, wnet znów śmierć zamroczy.
W powiewnej bieli, postać jej w milczeniu,
Jak duch wiejący, posuwa się w cieniu.
Lekka, wysoka—piers tylko i lica
Mdłe światło lampy zaledwo oświeca.
Włos rozpuszczony—na białej odzieży
Jak smug ciemności, wpół na piersiach leży,
Wpół spływa z ramion;—stopa jak śnieg biała,
I jak śnieg cicho na ziemię spadała.—

Któż ona?—Sama, w nocy, mimo straży,
Jak tu wejść mogła?—jak się wchodzić waży?—
O! spytaj raczej, przed jaką przeszkodą
Zadrży kobięta, gdy jej duszę młodą
Czułość i litość, jak Gulnarę wiodą? —

Nie mogła usnąć—i gdy Basza we śnie,
Marząc o kłęsce, klnie, jęczy bolesnie,
Marząc o jeńcu, nakazuje męki:—
Wstała, i sygnet zdjęła z jego ręki,
Znak jego woli: który gdy okaże,
Wszelkie wnet przed nią rozstąpią się straże.

Przeszła bezpiecznie—nikt o nic nie bada.
Znużeni bojem strażnicy Konrada,
Zazdroszcząc więźnia spoczynkowi, sami
Wpół senni ziemię zalegli przed drzwiami.
Ujrzeni pierścień—mało się kłopotą
Kto go przynosi, gdzie idzie, i po co?—

XIII.

Patrzy zdumiona—„On śpi?—gdy z rozpaczą
Tysiące po nim, lub na niego płaczą?...
Ja sama nawet!....—Jakaż czarów siła
Tak mi go nagle drogim uczyniła?—
Zbawił mi życie, poświęcił sam siebie—
Mamże go wzajem opuścić w potrzebie?—
Nie!—chęć mu pomódz—nie dbam o sąd ludzi.—
Lecz cicho!—westchnął—poruszył się—budzi!“—

Podniósł wzrok—blaskiem zaślepione oczy
Zdają się wąpić czy sen ich nie mroczy.
Lecz ruszył ręką—głuchy brzęk okowu
Dowiódł, że żyje, i cierpieć ma znowu.—
„Któż jest ta postać? Anioł stróż z wejrzenia!
Zbyt zda się piękny na stróża więzienia. —
—„Nie znasz mnie?—jestem z tych, co czują wdzięczność
Za czyn, do jakich rzadkoś miewał zręczność.
Patrz! czyż nie pomnisz, żeś sam swą odwagą
Wyrwał mię z ognia, ustrzegł przed zniewagą?...—
Przyszłam—nie pytaj po co?—lecz nie sztydzić.
Ja cię nie mogę, nie chcę nienawidzić.“—
—„Jeśli tak, pani! jesteś więc tu jedna.
Któręj śmierć moja uciechy nie zjedna.

Tém gorzej!— smutku nie radbym ci sprawić.
Lecz dziś ich pora!—chęć, mogą się bawić.
Słuszna im jednak wdzięczność niewolnika,
Że tak pięknego szłą mu spowiednika.“—

Z najgłębszym smutkiem niekiedy się mięsza
Dziwna wesołość:—serca nie pociesza,
Choć błyszczy w oczach, łza z nich nie osycha;
Uśmiech jęj gorzki—jednak się uśmiecha,
I nieraz światu, zamiast pożegnania,
Żart płochy rzuca z wierzchu rusztowania,
Co choć nie radość, jak zda się, go budzi,
Władza drugich—lecz któż siebie złudzi? —

Co bądź czuł Konrad—jak łuna z ogniska,
Dzika wesołość w rysach jego błyska.
Mówił z uśmiechem, z szyderstwem na poły:
Wesołe słowa, i ton ich wesoły—
Znać że mu obcy; w burzliwém swém życiu
Rzadko miał porę miewać go w użyciu.

XIV.

„Korsarzu! pal twój gotów—lecz ma władza
Często gniew Baszy i wyrok zlagadza.
Chciałabym—tak jest—chęć, muszę cię zbawić.
Dziś nie!—dzień blizki mógłby nas wyjawić.
Lecz dość zyskamy, jeżeli, jak wróżę,
Czas twojój kaźni do jutra przedłużę:
Dzisiaj nic więćej nie żądaj odemnie,
Gdyżbyśmy tylko zginęli daremnie.“—
— „Ja nic nie żądam—niech się kres mój zbliży!
Sp adłem zbyt nisko, bym się bał spaść niżej.

Więc oszczędź sobie trudu, mnie życzenia
Bym jak zbieg podły uchodził z więzienia.
Gdym nie zwyciężył—mamże z braci całej
Sam, nie śmiać umrzeć, powracać bez chwały?...—
Jest wszakże jedna—o której duch marzy,
Której łzę zda się że czuję na twarzy!...
W życiu móm dotąd jedyne pociechy
Były: mój okręt, mój miecz, jój uśmiechy,
I Bóg mój niegdyś!—przeszłość to daleka!
Jam się Go z młodu, dziś On mnie wyrzeka.
Za nieczesć ojca, mściwy karze sędzia.
Zwycięzcy moi Jego są narzędzia!
Nie czas już wszakże, bym rozpacznik podły
Samolubnemi znieważał go modły!
Nie!—nie mam prawa prosić—i nie proszę.
Co zesłał, cierpię; co znieść mogę, znoszę.—
Miecz mój z niegodnej wytrącono dłoni,
Niegodnej dźwigać jak on wiernej broni.
Okręt mój wzięty—lecz ta, tak mnie droga!...
Ach! za nią jeszcze chciałbym prosić Boga.
Ona jest wszystkiem dla mnie—a te wieści
Skruszą jój serce ogromem boleści! —
Ta myśl jest dla mnie nad śmierć sroższą karą.—
Ona tak tkliwa, tak piękna!—Gulnaro!
Nimem cię ujrział, przeszły lata długie,
Żem nie pomyślał, czy są piękne drugie.“—
—„Ty więc już kochasz?—ty już kochasz inną?—
Cóż mi to znaczy?—nie, nie nie powinno!
Jednak—ty kochasz!—ach! ja zajrzeć muszę
Duszy, wzajemną kochającej duszę,

Która nie czuje, i nigdy nie czuła
Tęj czezości serca—co moje zatrzała.“—
—„Twoje?—sądziłem, że z ogniów haremu
Jam cię ratując, zachował lubemu.“—
—„Seid mój luby?—ach! nie! nie mój luby!
Niegdyś to serce, dziś już wzięte w kluby,
Długo się niegdyś ubijało we mnie,
By czuć wzajemność — niestety! daremnie.
Pragnęłam kochać, kochać jestem zdolną,
Lecz czułam, czuję—wprzód trzeba być wolną.
Jam niewolnica—cóż że z łaski pana
Na panią innych niewolnic wybrana?
Gorzkie pieszczoty, gdy je przyjąć każą,
Podlęca wierność, pod dozorców strażą;
Lecz trudniej jeszcze, gdy wstręt serce mrozi,
Udawać czułość—bo pan gniewem grozi!
Stokroć w dzień muszę w duszy mój złorzeczyć
Zimnym „czy kochasz?“—nie śmiejąc zaprzeczyć.
Bierze mą rękę—ni daję, ni bronię,
Krew w niej jak martwa, ni krzepnie, ni płonie.
Patrzy mi w oczy—niezmięszana stoję;
Ust jego żarem nie palą się moje.
Sama się sobą muszę tylko brzydzić.
Nie dość kochałam, by choć zniemawidzić.
Nie, nie nie czuję! — Odchodzi—nie pytam
Gdzie? kiedy wróci?—Powraca—nie witam,
Nie widzę prawie.—Straszliwa rozwaga,
Czuję, jak coraz wstręt i sytość wzmaga.
O! gdybyż wręście nasycon wzajemnie,
Chciał sobie miłszą wynaleźć odemnie,

I mnie zostawił — przed godziną boju
Mogłabym jeszcze powiedzieć: w pokoju! —
Lecz już się stało! — Dzisiaj jeszcze muszę
Udawać czułość — nim twe więzy skruszę.
Za smutne życie ocalone brance,
Zbawcę mojego chcę wrócić kochance:
Wrócić jéj sercu szczęście i wesele,
Jakiego sama z nikim nie podzielę. —
Bądź zdrów! — dzień świta, strażę zejść nas mogą. —
Nie umrzesz dzisiaj — okupię cię drogo. —

XV.

Rzekła, i ręce okute Konrada
Z tkliwą pokorą do serca przykładła.
Poszła, jak przyszła — jako sen przelotny.
Byłaż tu ona? — znówże on samotny? —
Jakażto kropla, jak brylant promienny,
Iśni na okowach od jasności dziennéj?
Iza to najświętsza — niewieściéj czułości —
Najdroższa perła, co z morza Litości
Nim tkliwa dusza na świat ją uroni,
Już wygładzona w Cherubina dłoni!

O! jak urocza, jak silnie zwyciężka,
W oczach kobiety, jéj Iza czarnoksiężka!
Broń jéj słabości — razem miecz i tarcza,
Jak do obrony, do zwycięstw wystarcza.
O! nie patrz na nią! — Cnota z drogi boczy,
Mądrość się zbłąka, gdy w nią wlepi oczy.
Jedna Iza w oku Egipskiéj królowéj —
Pierzchnął bohater, świat poszedł w okowy.

Lecz nie potępiać błędu Tryumwira!—
Tylu się Nieba, nie ziemi wypiera,
Rzuca się w piekło, wieczność w mękach pędzić,
By zalotnicy kilku łez oszczędzić!—

XVI.

Ranek—przez kraty na twarz więźnia pada
Dzień—co kres wszystkich dni mu zapowiada.
Dzień już bez jutra! a w nim pamięć *wczora*,
Straszniejsza stokroć, niż widok upiora!—

Wczora pan morza, wódz dzielnych zastępów!—
Dziś, jeniec wrogów—może pastwa sępów,
Kiedy to słońce, co wschodzi tak jaśnie,
Okiem już jego niedojrzane zgaśnie,
Gdy wkoło świeżość chłodu wieczornego
Ożywi wszystko—wszystko oprócz niego!... —

KONIEC PIEŚNI DRUGIEJ.

PIEŚŃ TRZECIA.

„Come vedi!—amor non m'abbandanna—
Dante.

I.

Zwolna—piękniejsze niż w dziennej kolei,
Zniża się słońce za wzgórze Morei.
Nie w mgle, jak indziej, blade, bez promieni,
Lecz jak ognisko żyjących płomieni.
Po śpiącej głębi smugiem złota ciska,
Wre zda się woda, gdy z drzeniem połyska.
Nad wyspą Hydry, nad Eginy czołem,
Bóg wesołości, spójrzaniem wesołem,
Po raz ostatni luby kraj swój darzy,
Choć w nim już dawnych nie widzi ołtarzy.
Słupem z gór wierzchu cień zstępując siny.
Port niepodbitej zaległ Salaminy.
Przez głąb wąwozów, we zwierciadłach fali,
Krwawą purpurą horyzont się pali,

Gdy na gór szczycie, jak złota korona,
Lśni jeszcze słońca jasność zawieszona;
Aż wręście blaski zagarnąwszy całe,
Utonie do snu za Delficką skałę.

Taki był zachód dnia, w którym przed wieki
Najmędrszy z Greków miał zawrzeć powieki.
Jak wtedy jego uczniowie płaczący
Drżeli o każdy promień konający,
Gdy jak to słońce, z niem razem, przed niemi
Mądrość ich mistrza zająć miała na ziemi!
— Jeszcze nie! — jeszcze! — słońce zachód zwleka,
Chwila rozstania jeszcze jest daleka! —
Lecz słońce patrząc w konające oczy,
Blask swój przed niemi i swe barwy mroczy;
Żalobę zda się po kraju rozlewać,
Gdzie dotąd Febus nie umiał się gniewać.
I nim Cytery zakryła go skała,
Puchar stał próżny — duch uleciał z ciała —
Duch, co dla prawdy śmierć i trwogę przemógł,
Co żył, i umarł — jak nikt drugi nie mógł,

Lecz patrz! mileżąca z za Hymetu szczytów
Wzbija się nocnych królowa błękitów.
Ni mgła, ni obłok, zapowiednik burzy,
Nie émi jój kształtu, ani lic nie chmurzy.
Ówdzie śród ruin, pełnym wzrostem dumna,
Blaskiem jój dawna bieleje kolumna;
Tam z okrągłego minaretów wierzchu,
Młody jój obraz połyska się w zmierzchu.

Gajem oliwne rozsadzone drzewa,
Gdzie skromny Cefiz wążki nurt przelewa;
Między cyprysy gronami stojące,
Letnich kiosków wieżyczki błyszczące;
I owa palma, samotna stróżyni
Przy Tezeusza zwalonéj świątyni,
Wszystkie koleją przynęcają oczy —
Ślepą ma duszę, kto idąc nie zoczy!

Wojnę z wiatrami Neptun zmordowany,
Do snu Egejskie uciszył bałwany.
W pręgach jasności złota i błękitu,
Leżą zwierciadłem u stóp ścian granitu.
Prócz gdzie cień wysep czerni się na wodzie,
Wszystko się w nocnej uśmiecha pogodzie!

II.

Czas do mej treści—czyż myśl od niej boczy?
O! ziemio Grecka! o! kraju uroczy!
Któż, gdy cię poznał—o czémkolwiek pienia,
Nie rad w nich twego uświęcić wspomnienia?
Kto widząc z Aten zachód twego Feba,
Ich wieczornego mógł zapomnieć nieba?—
Nie ten, co z gościa jakby syn twój ziemi.
Niezmienny miejscy, ni laty długimi,
Myślą po tobie dawne licząc ślady.
Żyje zaklęty między twe Cyklady!
Ni hołd ten obcym pieśni swój uważa.
Twą była, wyspa mojego korsarza—
Wyzwól ją z jarzma, którym wróg znieważa! —

III.

Słońce już zaszło—i jak wyspa cała,
Z ostatnim jego blaskiem pociemniała
Dusza Medory;—trzeci dzień przeminał.
Dziś on miał wrócić:—zbląkał się? czy zginął?—
Burzy nie było, wiał wciąż wiatr łaskawy.
Anzelmo wczoraj powrócił z wyprawy,
Lecz wieść jedyna, którą opowiada,
Jest, że nie spotkał okrętu Konrada.
O! gdyby spotkał!—choć krwawszych w tresei,
Innychby w skutku doczekano wieści!—

Noc, wiatr dmie zimny:—ona przez dzień cały
Z okna swój wieży patrzyła na wały,
Łudząc się widmem to masztów, to żagli.
Nie może dłużej—niespokojność nagli.
Zbiegła nad morze, i w lekkiej odzieży
Błądzi niebaczna wzdłuż płaskich wybrzeży. —
Próżno ją fala przyskająca z brzegu,
Oblewa rosą, o burzy ostrzega:
Nie dba, nie zważa, w tył kroku nie ruszy,
Nie czuje zimna—jój zimno w jój duszy!
Aż straszna pewnoś tak myśl jój obiegła,
Że gdyby wtedy kształt jego postrzegła,
Lubby ją rozum, lub dusza odbiegła.

Wtém łódka jakaś weszła do przystani.
W niej kilku ludzi—wszyscy krwią oblani,
Wszyscy Konrada towarzysze śmieli.
Uszli—jak?—sami prawie nie wiedzieli.

Widzą Medorę, poznali zdaleka. —
Zbliża się—mleczą—każdy zda się czeka
Aż drugi zacznie, sam w duszy niewieściej
Bojąc się zbytniej obudzić boleści.

Ona nie pyta—ona wszystko zgadła—
Jednak nie blednie, nie drży, nie upadła.
W dziewiczej piersi wielkie czucia żyły,
Dotąd swęj własnej nieświadome siły:
Póki nadzieja — bała się, płakała;
Straciwszy wszystko—czułość skamieniała.
I głos się w sercu z dziką oźwał mocą:
Kto wszystko stracił, bać się nie ma o co!—
Nadludzkie męztwo! jakie w sercach ludzi
Szał chyba tylko, albo rozpacz budzi! —

„Mleczycie?—dobrze!—ja nic nie chcę wiedzieć.
Nic—jedno tylko—ktoby mógł powiedzieć?...
Nie patrzcie na mnie z twarzą obłąkaną!—
Prędko i krótko—gdzie go pochowano?“ —
—„Pani! nie wiemy;—zaledwośmy sami
Z życiem ująć mogli.—Lecz jest między nami
Co utrzymuje, że wódz nie zabity,
Że jest w niewoli; że go sam ukryty
Widział pod strażą:—ranny, ale żywy.“ —

 Nie słucha więcej—wieści przeraźliwej
Nie zniosło serce:—przytomność i siła
Razem krzepnącą duszę opuściła.
Chwieje się, padła—i na wpół umarła
Możeby morze mogile wydarło,

Lecz wnet ze łzami, choć dłońmi twardemi,
Skorzy w ratunku podnieśli ją z ziemi.
Nie ma sił stąpić — na rękach ją niosą —
Skroń, piersi, morską oblewają rosą,
Aż barwa życia wróciła na lice. —
Posłali zbudzić śpiące służebnice,
I wnet, matrony zostawiwszy przy niej,
Odechodzą szukać Anzelma jaskini,
Smutnej wyprawy oznajmują skutki:
Zbyt długa powieść, na tryumf tak krótki!

VI.

Złożono radę—słowa się zatliły
Groźbą i zemstą;—nie patrzą na siły,
Powinność woła!—zda się że Konrada
Duch jeszcze z nimi na radzie zasiada.
Co bądź go czeka, poprzysięgli zgodnie
Albo go zbawić, albo pomścić godnie.
Biada niewiernym!—bo jeszcze zostali
Śmieli na wszystko i o nic niedbali!—

V.

W haremu swego głębi niedostępnej
Zamknął się Seid, i duma posepny.
Miłość, nienawiść naprzemian nim włada,
Gdy lub Gulnarę wspomni, lub Konrada.
U stóp mu siedzi piękna niewolnica,
Wzrokiem obawy patrząc w jego lica.

Mroczne;—daremnie jęj piękność i sztuka
Iskry uczucia w sercu jego szuka,
On licząc niby kaliwa różańca,
Kroplami w myślach przelewa krew brania.

„Baszo! dniem chwały dziś cię Allah darzy,
Bitwa wygrana, w więzach wódz korsarzy.
Ma umrzeć — słusznie! — wart twój nienawiści.
Lecz czyżbyś większych nie osiągnął korzyści,
Gdybyś pozwolił — sam to rozważ ściśle,
Ja radzić nie śmiem, lecz mówię co myślę —
By on wszystkimi skarby, które złupił,
Ten raz, na krótko z więzów się wykupił.--
O skarbach jego wieść cuda rozgłasza,
Radabym żeby posiadał je mój Basza!—
On znów, osłabion klęską poprzedniczą,
Z resztą swych łatwą stałby się zdobyczą.
Lecz gdy tu zginie, tamci zdjęci zgrozą
Uciekną z wyspy i skarby uwiozą.—
—„Słuchaj Gulnaro! gdyby mi za każdą
Kroplę krwi jego, dyamentu gwiazdą
Zapłacić chciano; za każdy włos jego
Dawano sztabę złota dziewiczego;
Gdyby, jak plotą arabscy bazarze,
Skarb w Salomona zamknięty pieczarze
U stóp mi sypał:—za te wszystkie dary
Jednąbym chwilą nie zwłóknął jego kary,
Gdybym nie wiedział, że raz w mojej mocy,
Ujść z niej nie zdoła, ni znajdzie pomocy.

Tymczasem myśleć kazałem w seraju,
Nad wynalazkiem nowych mąk rodzaju,
I sam rozmyślam, jakich środków użyć,
By ból powiększyć, a życie przedłużyć.“—
—„Złeś sobie, Baszo! myśl mą wytkłomaczył.
Nie chcę, nie radzę, abyś mu przebaczył.
Nie!—chciałam tylko wskazać ci sposoby
Zyskania skarbów;—gdyż co do osoby—
Choćbyś go puścił—w tym, w jakim jest stanie,
Nigdy on całkiem wolnym nie zostanie:
Sam ranny, banda zmniejszona połową,
Byleś chciał, pojmać mógłbyś go na nowo.“—
—„Mógłbym go pojmać?—i chcesz, bym dla tego
Miał go dziś puścić?—dziś już pojmanego?
Puścić psa Giaura, zbójcę, wroga mego?..
Puścić?—i może powiedzieć, na czyje
Prośby? i komu zawdzięcza że żyje?..
Chcesz bym go może nagrodził, pochwalił,
Że mnie chciał zabić, lecz ciebie ocalił?...—
Mądrze doradzasz!—Słuchaj, ja też radzę—
Co powiem, zapisz w sercu i uwadze.—
Nie wierzę tobie, kobięto!—w tej chwili
Stwierdziłaś sama, co drudzy mówili.—
Mów! czy gdy ciebie unosił z pożaru,
Ujść z nim natenczas nie miałaś zamiaru?...
Lecz nie!—milcz raczej!—ten ogień na twarzy,
Sam już cię więcej, niżbym żądał, skarży. —
Więc strzeż się, piękna! rada innych zbawiać,
Patrz, czy za tobą będzie się kto wstawiać?—

Rozumiesz? — dosyć! — Przekłeta godzina,
Gdy cię uniosło ramię poganina!..
Wolałbym gdybyś!.. — Lecz nie! wtedy pewnie
Łzami kochanka płakałbym cię rzewnie.
Dziś pan ostrzega. — Próżne twe namidła!
Wiész, że zbyt lotne umiem obciąć skrzydła;
Nie w słowach tylko grozę, i nie próżno! —
Wejdz w siebie dobrze! — pomnij! bądź ostrożną! —

Powstał, i dumnym oddał się krokiem,
Szyderstwo w ustach, gniew wisi nad okiem. —
Nieznany jemu hart niewieścięj duszy,
Że go surowość ni groźba nie skruszy.
Nie zna Gulnary — nie wiedział, co ona
Czuje, gdy tkliwa — śmie, gdy obrażona. —
W niewiarze mniema że krzywdę poniosła;
Nie wie z kąd litość w sercu jęj tak wzrosła.
Zławca — więc słusznie, że wdzięczność dlań czuje;
Branka — nad losem więźnia się lituje.
Nie śledzi dalej; — niepomna na groźby,
Na niebezpieczne znów się waży prośby.
Znów pogardzone; — aż w głębi jęj duszy
Zawział się zamiar — nie go już nie wzruszy: —
Ujdzie z Nim z więzów — lub zginie w katuszy! —

VI.

Tymczasem długie, tęskne, jednostajne,
Dzień i noc przeszły. — Konrad męki tajne
Zniósł — w strasznej walce zwątpień i bojaźni:
Gdy każda chwila zda się chwilą kaźni,
Gdy się krok każdy, co u drzwi rozlega,

Zdaje być krokiem oprawcy lub szpiega;
Kiedy głos każdy, co się ozwie w ciszy,
Mniema ostatnim, co przed śmiercią słyszy;—
On zniósł to wszystko — mężnie i spokojnie
Dotrwał w najsroźszej z sobą samym wojnie.

Gorącość bitwy, groza, wściekłość burzy,
Dreżącą wewnątrz myśl tępi lub nuży:
Lecz być samotnym, wtrąconym w okowy,
Być, czuć się pastwą każdój myśli nowój;
Patrzeć w swe serce, i drzeć, lub przed marą
Zbrodni swych przeszłych, lub przed przyszłą kara-
Tamtych naprawić, tój nie módz odwrócić;
Kląć każdą chwilę, po każdój się smucić;—
Bez przyjaciela—coby słabość wspierał,
Coby rzekł ludziom, żeś mężnie umierał;
Śród nieprzyjaciół — co wiész, że potwarzą
Jak całe życie, śmierć twoję znieważą;
W obec mąk—które choć duch widzi śmiało,
Nie wiész, nie zgadniesz, jak je zniesie ciało,
A jednak czujesz, że jęk, że łza jedna,
Skazi twe męstwo, wrogom tryumf zjedna;—
Gdy ci zbyt sroga surowość człowiecza
Nadziei nawet zbawienia zaprzecza —
A raj twój ziemski—pewniejszy niż w niebie,
Ta, którą kochasz, daleko od ciebie:—
Oto są myśli, w których duch Konrada
Miota się, błąka—ale nie upada;
To są męczarnie, które musiał znosić —
Zniósł—źle czy dobrze? nie uległ—już dosyć.

VII.

Przeszedł dzień pierwszy—ou miał być dniem kary;
Zszedł drugi, trzeci—nie widać Gulnary.

Lecz co przyrzekła, stało się;—nie wróżył
By w mocy Baszy jutra nawet dożył.

Idzie dzień czwarty—przeminął, a z nocą
Ciemność i burza przyszły z całą mocą.

O! jak mu luby szum, ryczenie morza,
Gdy zapienione wre u ścian podnoża!

Porwał się—słucha—jakby z wiatry społem
Duch jego bujał nad dzikim żywiołem. —

W takich on nocach, na wzdętych bałwanach,
Po rozhukanych latał oceanach,

Zawisał w chmurach, i z dumnym uśmiechem
Spadał w otchłanie—ciesząc się pośpiechem!...—

Dziś, głos tak znany, jak na pośmiewisko,
Wola, niestety! próżno, choć tak blisko! —

Świszcząc dnie wichur; po nad dachem domu
Toczy się w chmurach huk ciągłego gromu,

Bucha nań łuna błyskawic tysiąca: —
Blask ich dla niego weselszy od słońca!

Wdarł się ku oknu—przez kraty wyciąga
Okute ręce—błaga czy urąga? —

Wzniósł je ku niebu, ku chmurom—i razem
Przyzywa gromu klątwą i żelazem. —

Próżno!—kłębami chmura się przewala,
I poszła dalej.—Ucisza się fala,

Huk coraz słabszy, oddala się, głuszy,

Ustał—uciekło—martwość w jego duszy!

Uczuł samotność, i serce zatwardził,
Jakby ostatni przyjaciel nim wzgardził.

VIII.

Północ—przed drzwiami usłyszał stapanie.
Krok lekki—coraz pomknie się, i stanie.
Skrzypła pod kluczem klamka zardzewiona.
„Ona!“—przeczuło serce—tak, to ona!
Anioł stróż jego! jakie bądź jój grzechy,
Miła mu, piękna, jak Anioł pociechy!—
Lecz dziś w niej zmianę widzi wzrok Konrada.
Krok bardziej drżący, twarz jój bardziej blada.
Spójrzała dziko—w tym wzroku wyczytał
To słowo „umrzesz!“—i o nic nie pytał.

„Tak! dziś masz umrzeć!—lecz jest sposób, który,
Który nie gorszy niż pal i tortury!“—
—„Ja go nie widzę—umiem znieść cierpienia,
Com rzekł, powtarzam—Konrad się nie zmienia.—
Lecz zkąd chęć w tobie ocalić zbrodniarza,
Gdy go świat cały potępia, spotwarza,
Gdy, jak bądź srogie ma być ukaranie,
Sam znam, że słusznie zasłużyłem na nie?“—
—„Zkąd ta chęć we mnie?—ty mię pytasz o to?—
Któż mię wybawił, ustrzegł przed sromotą?—
Zkąd ta chęć we mnie?—tak ci więc z mąk długich
Oślepla dusza na uczucia drugich,
Że chcesz bym sama—chociaż wstydem płonę,
Zrywała z serca skromności zasłonę?—
Tak jest!—pomimo twych zbrodni, ja czuję
Wielkość twój duszy; dziwię się, lituję,

Kocham cię!—Nie mów! ja wiem że daremnie,
Że kochasz drugą, że kocha wzajemnie,
Że może czulsza, piękniejsza odemnie!—
Lecz gdzież jest?—czemu cierpień twych nie dzieli?—
Czemu się na to, co ja, nie ośmieli?—
Gdybym ja była twoją — o tój dobie,
Byłbys już wolny, albo ja przy tobie! —
Żona korsarza! samym go wyprawić!...—
Czemże ta pani ma się w domu bawić?—

„Nie marszcz brwi! nie czas gniewać się za słowo,
Gdy miecz na włosie wisi nad twą głową.—
Jeśli chcesz działać—jeśliś działać zdolny—
Masz, weź ten sztylet—pójdź, a będziesz wolny!“—
— Mam iść? — zaprawdę, w brzęczących okowach
Piękniebym stąpał po ich sennych głowach!—
Patrz! zapomniałaś widzieć o mym stroju.

A z tём narzędziem cóżbym zrobił w boju?“—
— „Nieufny człeku! — przekupiłam strażę;
Chciwie zapłaty, uczynią co każe.
Dość wyrzec słowo, a więzy twe spadną.—
Myślisz że sama przyjść tu mogłam snadno?—
Czas choć był krótki, użyłam go godnie,
Na twój ratunek—choć może na zbrodnię.—
Zbrodnię? — nie! — nigdy zbrodnię się nie wyda
Śmierć prześladowcy. — Pójdź, zabij Seida!—

„Cóż to? tyś zadrzał? — zkał ci ta obawa?—
Jam też nie była ni dzika, ni krwawa,
Aż on sam jadłem zatrzał moje duszę! —
Skrzywdził mię, zelżył — pomszczoną być muszę.

Obwinił o to, czém dotąd gardziłam —
Tak, choć pod strażą, ja mu wierną byłam. —
Śmieję się! ty możesz — on nie miał przyczyny,
Nie! — jam się jeszcze nie czuła do winy.
Chciałam cię zbawić, krwiąbym okupiła,
Lecz nie wiedziałam, że to miłość była.
On to rzekł pierwszy — zawistny szyderca!
Sam on myśl zdrady wrzucił mi do serca.
Jam nie kochała jego, lecz nikogo
Kochać nie śmiałam. — Kupił mię — zbyt drogo,
Bo niekupione serce biło we mnie.
Znosiłam jednak — aż mi sam niekzemnie
Urągać, wmawiać nie zaczął zamiaru,
Żem chciała z tobą ujsć podczas pożaru. —
To fałsz, wiesz dobrze; — lecz wróżby zawiści
Skrzywdzone serce prędj, późniěj ziści. —

„Nie sądz, że dla mnie spóźnił tve męczarnie,
Nie! — prosić nawet nie mogłam bezkarnie.
Na to on tylko czas těj zwłoki łożył,
By tobie cierpień, mnie żalu przymnożył. —
Mnie tęż on grozi! — czas jakiś łaskawie
Ku swěj mię pańskiěj zatrzyma zabawie,
Lecz nasycony, dość by skinął wzrokiem,
Wór się rozdziawi — śmierć w morzu głębokiém! —

„Jaż mam za cacko służyć do pieszczoty,
Nim czas łudzacěj nie zetrze pozłoty? —
Nie! kocham ciebie — poprzysięgłam zbawić,
By ci choć wdzięczność w pamięci zostawić.
Lecz gdyby Seid nie był mię znieważał,
Nie krzywdził sławy, życiu nie zagrażał —

A wiem do czego okrutnik jest zdolny —
Wtedy!..—i wtedy musiałbyś być wolny,
Tak! — lecz krwi jego nie chciałabym przelać.—
Teraz, jam twoją! — chcę twój los podzielać,
Słuchać co każesz, i pełnić w pokorze.—

„Ty mię nie kochasz, nie znasz, gardzisz może —
Nie przetom jednak gorsza, zem jest szersza!
Pierwsza to miłość—i nienawiść pierwsza! —
O! gdybyś kiedy wiary mej doświadczył!
Wtenczasbyś może pojął, i obaczył
Miłość, co płonie w sercach niewiast wschodnich!—

„Ona ci świeci blaskiem gwiazd przewodnich,
Ona wskazuje wolność!—Jeśliś gotów,
Pójdź!—w porcie na nas czeka łódź Majnotów.
Lecz w izbie, którą przejść nam trzeba właśnie,
Spi Seid — uderz! niech na wieki zaśnie! —
Bledniesz?“—

„Gulnaro! przed śmiercią nie bladłem,
Nie czułem dotąd, że tak nisko spadłem! —
Seid jest wróg mój — mściwie i zażarcie
Ścigał nas, szkodził—lecz walczył otwarcie.
Myśmy też przyszli, moc jego osłabić,
Pomścić się braci, i zabójcę zabić.

Przyszliśmy z mieczem, nie z nożem;—ten, czyja
Dłoń niewiast broni, śpiących nie zabija!—

„Nie na tom, pani, z ognia cię ratował:
Nie chciéj, bym czynu dobrego żałował! —
Odejdź!—bądź zdrowa!—uspokój swą duszę!
Dzień wnet zabłyśnie —ja wprzód spocząć muszę.“—

— „Śpij, śpij! o wschodzie ockniesz się na palu!
Umrzesz jak zbrodzeń: cel wzgardy nie żalu.—
Słyszałam rozkaz, widziałam zebrany
Lud, rusztowanie, pal już zaciosany —
Reszty nie ujrzę — nie zdołam cię przeżyć. —

„Korsarzu! trudnoż wznieść dłoń, i uderzyć?—
Rozmyśl się!—miłość, nienawiść, zniewaga,
Twe bezpieczeństwo tój śmierci wymaga.
Bez niej ucieczka na nic się nie przyda,
Ujść nie zdołamy pogoni Seida.—

„Pójdź! niech go słuszna nie minie zapłata,
Za moje młode, pohańbione lata,
Za krzywdy twoje, za krew braci twojój!—
Pójdź, pójdź!—cios jeden wszystko zaspokoi.—

„Co?—jeszcze nie śmiesz? — Więc ja się odważę!—
Ujrysz, co ręka kobiety dokaże.—
Straz przekupiona—wychódź ztąd czem prędejj!—
Ujrzym się wolni—albo nigdy więcej!“—

IX.

Rzekła — nie czeka, nie chce odpowiedzi.
Znikła — on drżący oczyma ją śledzi.
Wlokący łańcuch w węzeł zebrał w ręku,
By i szedł wolno, i nie wydał brzęku.—
Drzwi otworzone — wyszedł; — strażę zdjęte,
Pusto i ciemno — przejście wązkie, kręte.
Nie wie gdzie idzie; ręką ścian się trzyma.—
Blask jakiś mglisty mignął przed oczyma:
Czy światło dzienne? — wierzy i nie wierzy.
Iść czy nie? — poszedł; — chłód rzeźwiący, świeży,

W twarz mu powionął;—czuje woń poranku.

Wnet na otwartym ujrzał się kruzganku—

Odetchnął wolno, spójrzył wkoło siebie. —

Ostatnie gwiazdy bledniały na niebie,

Wschód się zajmował brzaskiem;—wtém z uboczy

Blask, jakby lampy, uderzył go w oczy.

Z samotnej izby blask się ten przeciska —

Drzwi wpoł przemknięte—wpatruje się zbliśka:

Światło jest wewnątrz, lecz przy niém nikogo.—

Usłyszał szelest, i cofnął się z trwogą.

Szybkiemi kroki, bielą otulona,

Postać wybiegła—stanęła—to ona!

Dłoń jej bezbronna, krew szat nie plamiła —

„Dzięki jej sercu, dzięki!—nie zabiła!“ —

Spogląda na nią: obłęd w jej spójrzeniu,

Jakby je w jakimś utkwiała widzeniu!...

Stanęła—baczniém nasłuchuje uchem:

Cichość dok oła!—konwulsyjnym ruchem

W tył odrzuciła włosy, co po całej

Twarzy i piersiach w nieładzie spadały:

Znać że musiała nachylać się nisko,

Na jakieś straszne patrząc widowisko. —

Zwraca się—wzrok jej spotkał się z Konradem.—

Cofnął się przed nią.—Na jej czole bladém,

Nad brwią—nieznaczna—której pewno sama

Dójrzyć nie mogła—jedna mała plama!—

Ujrzał jej barwę—mdłość mu wzrok zaćmiła —

Pojał, zgadł wszystko—to kropla krwi była!

X

Bywał on w bitwach—w niewoli bezbronnej
Czuł blizkie męki śmierci nieuchronnej;
Wykraczał, cierpiał, i jeszcze nie zgadnie
Czy to okucie z rąk jego opadnie:
Lecz nigdy bitwa, niewola, zgryzota,
Która nim kiedy miotała lub miota,
Żadne cierpienie w całej swojej sile,
Nie przeraziło, nie wstrząsało go tyle,
Jako ta plama. ta kropla zbrodnicza! —
W niej zgasł mu urok pięknego oblicza. —
Widok krwi nieraz męstwo w nim zagrzewał,
Lecz gdy ją w boju, męczyzna przelewał! —

XI.

„Stało się!—pójdźmy!—Porwał się był z trwogą.
Lecz już się stało!—kosztujesz mi drogo!—
Pójdźmy ztąd, pójdźmy!—nie tu czas na słowa!—
Patrz! dzień już świta—łódź czeka gotowa.
Kupione straże wnet za mną pośpieszą,
Wszyscy chcą z twoją połączyć się rzeszą. —
Czyn mój w wolniejszej uniewinnię porze,
Gdy już bezpieczni wypłyniem na morze.“ —

XII.

Klasnęła w dłonie:—skryci, niedalecy,
Wbiegli jej słudzy—Murzyni i Grecy.

Zdjęli okowy na rozkaz władzczyńni.—
Znowu on wolny jak wiatr na pustyni!
Lecz w sercu jego taki smutek cięży,
Jakby z rąk na nie przełożono więzy.

Skineła—drzwi się otwarły tajemne,
Wiodą ku morzu przez przejścia podziemne.
Wyszli za miasto—przyśpieszają biegu,
Gdzie fala szemrząc srebrzy się po brzegu.... —

Konrad szedł zwolna—nie dba i nie bada
Co go ma spotkać?—swoboda czy zdrada?—
Czuje że opór na nic się nie przyda,
Jak gdyby jeszcze był w mocy Seida.

XIII.

Łódź czeka—wsiedli;—rozdęły się żagle,
Pękł sznur—łódź w pianach zaryła się nagle,
I poszła z wiatrem.—Cieszy się gromada! —
Ileż tu wspomnień dla duszy Konrada! —
Dumał sam w sobie—aż głąz nad zatoką,
Gdzie wysiadł na ład, spotkał jego oko.
Ach! od téj nocy, on, choć czas tak krótki,
Wiekowe przeżył trwogi, zbrodnie, smutki!—
I gdy cień głązu posepny, olbrzymi,
Sięgając łodzi, czernił się nad nimi,
On wzrok odwrócił, twarz płaszczem obwinał,
I stał dumając, aż ten cień przeminał.
Przypomniał wszystko — Gonzalwa, swą nawę,
Braci swych, tryumf, klęskę, więzy krwawe,

I onę—tkliwą, kochaną jedynie!...—
Wzniósł wzrok, i ujrzał—Gulnarę, zbójczynię.

XIV.

Długo w milczeniu spoglądała z trwogą
Na odwróconą twarz, zimną i srogą.
Spójrział—nie zniosła oczu jego mroźnych.
Dzikość jój wzroku zgasła w łzach—zbyt późnych!
Uklękła przed nim—dłoń łamie w rozpacz:
„Przebacz mi!—Allah może nie przebaczy:
Aleś ty sądzić powinien łagodniej!—
Cóżby się z tobą stało bez mój zbrodni?—
Karz mię, gdy zechcesz—lecz ach! nie w tej chwili,
Nie dzisiaj jeszcze!—dziś pozór cię myli.
Nie jestem taką, jakem się być zdała —
Ta noc straszliwa, ta mię obłąkała! —
Gdyby nie miłość—niewinnąbym była—
Lecz tybyś nie żył!—karz, gdym przewiniła!“ —

XV.

Krzywdzi go:—siebie, a nie ją on winił.
On źródłem zbrodni —choć jój sam nie czynił!—
Lecz mroczone, nieme, w duszy tylko na dnie
Krwawią te myśli—któż myśl jego zgadnie? —

Pod lekkim wiatrem pełny żagiel wzdycha,
Mknie łódź swobodna: — woda jasna, cicha.

Na widnokręgu, z trwogą niespokojną,
Widzą punkt, plamkę, maszt, żagle, łódź zbrojną!—
Znać że ich łódkę postrzegła zdaleka:
Wszystkie swe żagle z pośpiechem nawleka.
Olbrzymia, nakształt morskiego straszdyła,
Pędzi — nadbiega — nastawiwszy skrzydła.
Półkolem w pianach zarywszy się chyżo,
Iskrzącą ku nim zawróciła spiżą.
Błysnęło — kula świszcząc przeleciała,
Plusnęła w wodę, woda zasyczała.

Porwał się Konrad na znajome echo,
Oczy się jasną zaśmiały pociechą:
„Mój strzał! mój okręt! widzę flagę moję!—
Jam znów pan morza — i nic się nie boję.“ —

Dał znak, poznali; — z okrzykiem weseli,
Spuszczają czółno, i żagle zwinęli.
„To Konrad! Konrad!“ — ciżba na pokładzie —
Próżny głos wodzów! — w niesfornéj gromadzie
Tłoczą się, patrzą, jak z dumną postacią
Wchodzi na okręt — stanął między bracią!...
Każdy go wita usta i oczyma,
Dłoń się ich ledwo od uścisku wstrzyma.
On, wpół niepomny swéj straty i klęski,
Wita nawzajem jakby wódz zwycięzki;
Ścisnął Anzelma dłoń — i znowu czuje
Że może walczyć, i że rozkazuje.

XVI.

Umilkła radość — żal im nie pomału
Że wódz na wolność wrócił bez wystrzału.

Szli szukać zemsty — i gdyby wiedzieli
Ze dłoń kobiety spełniła co chcieli,
Cześć jój królewską niosłaby gromada.
Mniej oni trudni, niż duma Konrada;
Wszystkie im drogi dobre, gdy u celu
Łup albo zemsta na nieprzyjacielu.

Kryjąc uśmiechy, z podziwieniem w oku,
Szepcą, i ku niej spoglądają z boku:
A ona — wyższa, niższa od płci swojej,
Krwi się nie bała — ich wzroku się boi! —
Milczy — i na dół spuściwszy źrenice,
Gęstą zasłonę nawlokła na lice.
Ręce na piersiach złożone z pokorą. —
Konrad bezpieczny — w piersiach tych nie gorą
Gniew ni nienawiść — i co bądź w nich wrzało,
Serce kobiety tkliwém pozostało.

XVII.

Pojął to Konrad, i czuł mimo woli
Wstręt dla jój zbrodni, lecz żal dla niedoli. —
Co uczyniła, żadna łza nie zmaże,
W dzień gniewu swego Niebo ją ukarze.
Lecz już się stało! — on karać niezdolny.
Wielka jój zbrodnia — lecz on przez nią wolny!
Ona dla niego poświęciła siebie,
Wszystko na ziemi, i wszystko swe w Niebie!... —
Z żalem ku brance spojrział czarnookiej.
Skron jój schylona od myśli głębokiej,

Bładość marmuru piękną twarz okrywa:
I tylko jedna ta plama straszliwa,
Krew zabitego—co barwy nie mieni,
Śród tój bladości jedna się czerwieni!...

Ujął jój rękę—drżała—już za późno!—
Tak trwożna teraz, mogłaż być tak groźną?—
Ścisnął jój rękę—drżała—i dłoń jego
Osłabła; uczuł drzenie głosu swego.

„Gulnaro!“—milczy—„kochana Gulnaro!“

Podniosła oczy, z bojaźnią, z niewiarą—

Wzrok jój rozjaśniał—i jakby zemdlona

Nagle się w jego rzuciła ramiona.—

Gdyby odepechnął—on, jedna opieka!—

Byłby coś więcej lub mniej od człowieka.

Pozwolił zostać;—i gdyby nie ciemne

Przecucia serca.—straszne, choć tajemne —

Może w tój chwili ostatnia na ziemi

Cnotaby jego poszła za drugimi.

Lecz przed nią nawet grzechem się nie stanie,

Jedno tak pięknych ust pocałowanie!

Pierwsze, co płochość wykradła wierności;

Jedna nagroda—tak wielkiej miłości!

XVIII.

Brzegi swój wyspy ujrzeni o zmroku.

Każda się skała uśmiecha ich oku!

U portu słyhać zgiełk, wrzawę stłumioną,

Strażnicze ognie na swych miejscach płoną.

W zatoce szybkie ślizgają się łodzie,
Skacząc delfiny igrają po wodzie;
Krzyk nawet ptastwa, co się wkrąg rozlega,
Brzni dla nich wdzięcznie zwiastowaniem brzega.
Przy każdym świetle chcą dojrzyć postaci,
Każdy swój żony, kochanki lub braci!...—
Ach! któż tak czuje wdzięk własnej ustroni,
Jak błędny żeglarz na burzliwej toni?

XIX.

Pałą się światła wzdłuż całych wybrzeży,
Lecz Konrad światła nie widzi na wieży.
Dziwią się wszyscy, i patrzą—daremno!
W jednej Medory oknach tylko ciemno!—
W nich zwykło jaśnieć powitania hasło:
Może i teraz śmiło się, nie zgasło!..—

Rzucił się w łódkę—leniwo zbyt niosła—
Z niecierpliwością przegląda na wiosła.
Ach! onby pragnął sokolemi pióry,
Wiatrem zalecieć na wierzchołek góry!...
Słabną wioslarze—znużenie ich zoczył,
Nie czeka dłużej—i w morze wyskoczył.
Łamie się z falą—dopłynął do brzegu,
I biegł—na chwilę nie zwalniając biegu.

U drzwi zamkniętych wstrzymał się, i słucha:
Wszystko uspione—wkoło ciemność głucha!
Puka, i głośno—echo się rozlega—
Nikt nie otwiera, i nikt nie przybiega.

Puka—lecz zcicha—bo dłoń jego drżąca,
Bo w duszy jego myśl przerażająca!..—

Drzwi się otwarły—lecz przy nich nie ona,
Na której uścisk gotował ramiona!
A sługa milezy:—on dwakroć próbował,
Dwakroć chciał spytać—i słów nie znajdował.
Porywa lampę—w pośpiechu i trwodze
Z rąk mu wypadła, i zgasła przy nodze.—
Poszedł w ciemności—lampa tylko druga
Z głębi mrocznego kurytarza mruga.
Rozemknał izbę—wszystko się odkryło,
Co serce jego czuło—nie wierzyło.

XX.

Nie wyszedł, nie padł, nie płakał — wzrok wlepił, !
Zimny dreszcz serce ścisnął — nie pokrzepił.
On patrzył — boleść wzrastała tajemnie —
Czuł, lecz pomyśleć nie śmiał, że daremnie!...

Za życia ona piękniejszą nie była.
Śmierć ją jak dziecię do snu utuliła.
Zimny kwiat, tkwiący w jej zimniejszym ręku,
Trzyma z ujęciem tak żywego wdzięku,
Że zda się żartem utaiła we śnie,
Że jeszcze budzić i płakać zawczasie! —
Snieżne powieki rżęsami długimi
Ćmia — myśl się wzdryga na to, co pod niemi!... —
Tam to się naprzód pastwi śmierć niszcząca,
Gdy duszę z tronu światłości wytrąca,

I promieniste gwiazdy życia gasi:
Choć blask ich jeszcze, jak w niej, usta krasil
Zda się uśmiechem zmordowane mile,
Drzemią—nim znów się uśmiechną za chwilę!...—

Lecz biała, lekka, przejrzysta zasłona,
Zadnym na piersiach tchem nieporuszona;
Lecz włos jęj długi, utrefiony, lśniący,
Martwo na śnieżnych ramionach leżący,
Co kiedyś w pasma rozwiany promienne
Wonnością wiatry napawał wiosenne;
Lecz twarz jęj blada—nieruchoma postać!...
Ona umarła!—Maż on sam tu zostać?—

XXI.

Nie pytał o nic — cóż nada pytanie?
Umarła, widzi—wię że nie powstanie.—
Miłość lat młodych, nadzieja następnych,
Źródło chwil miłych, osłoda posepnych,
Jedyna, którą między żyjącami
Nie nienawidził, kochać mógł na ziemi:
Wszystko mu wzięte!—On zasłużył na to—
Ach! i tém srożej czuł boleść nad stratą:
Czuł bez pociechy. — Cnota ulgę znajdzie
Tam, kędy zbrodnia ni dójrzy, ni zajdzie.
Źli, dumni, cel swój co tu założyli,
Tracąc go, wszystko tracą w jednej chwili,
Choćby rzecz błahą—lecz wszystko co mielil—
Któż się bez żalu z swém szczęściem rozdzieli?—

Niejedno czoło stoickie i oko
Maskują tylko ranę zbyt głęboką;
Niejedna rozpacz stroi się w uśmiechy,
Aby darenniej nie żebrać pociechy,
Na niewetowne straty, albo grzechy!—

XXII.

Któż z tych, co czują, wysłowi katusze:
Gdy chaos cierpień zwali się na duszę?
Gdy tysiąc myśli płacze się i mięsza,
A wszystkie dręczą, żadna nie pociesza?
Gdy sercem coraz szarpią czucia nowe,
A ból ich ustom odbiera wymowę?..—
Któż to wysłowi?—Pod takim brzemieniem
Dusza Konrada łamie się z cierpieniem;
Aż zda się czułość straconej na świecie
W serce mu weszła—i płakał jak dziecię!...—
Słabość to tylko, nie pociecha była,
Wydała boleść—ulgi nie sprawiła.
Nikt łez nie widział—i w tej nawet porze
Przy świadku z serca nie wyszłyby może.
Sam je wnet otarł;—znów długo spoglądał—
Wyszedł—pociechy ni szukał, ni żądał.
Czy słońce wejdzie—ciemny mu blask słońca:
Czy noc zapadnie—noc jego bez końca!—
Nie ma ciemnoty, jak smutku pomroka,
Nie ma ślepoty, jak ponurość oka,
Co na nic patrzeć nie chce, i unika,
I idzie w ciemność—ach! bez przewodnika!—

XXIII.

Serce w nim było tkliwe: lecz skrzywdzone,
Strute zbyt wcześnie, zbyt długo drażnione,
Poszło ku złemu; — czucia były czyste:
Lecz jako rosy krople przezroczyście,
W głębi grot zimnych, niedostępnych słońcu,
Ścieły się, skrzepły, skamieniały w końcu. —

Grom kruszy skały: — serce w nim jak skała,
Śmierć je Medory jak piorun strzaskała.
W cieniu się skały jeden kwiat rozwijał,
Cień groźny innym, jemu służył, sprzyjał;
Nadeszła burza — grom zniszczył od razu
Lilii piękność i wytrwałość głązu.
Zadnego liścia nie zostało z kwiatu,
By jego życie, śmierć przypomnieć światu;
A strzaskanego głązu zimne szczątki
Leżą — już tylko grobowe pamiątki! —

XXIV.

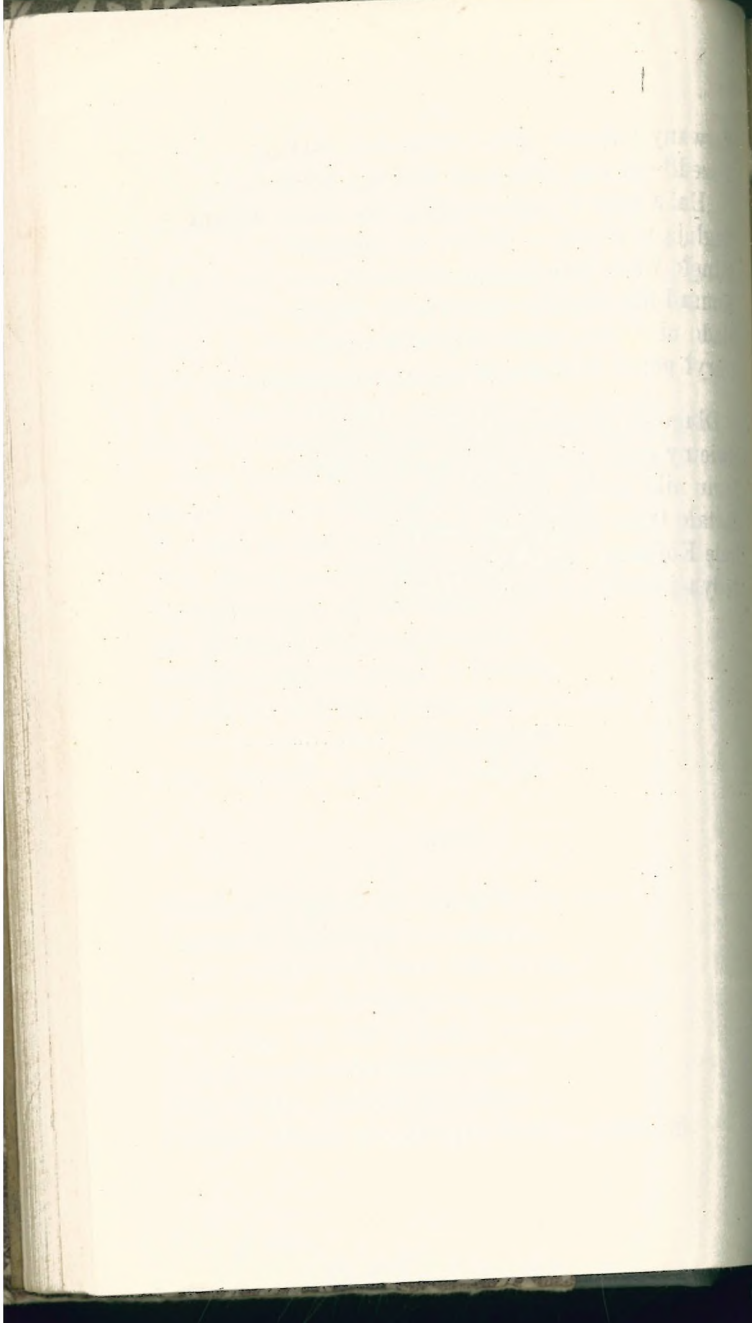
Ranek — południe — nie widać Konrada. —
Samotność jego szanuje gromada.
Poszli nakoniec. — Pusta była wieża.
Wódz znikł! — Przebiegli wyspę i nadbrzeża.
Noc — jego nie ma; — szukali noc całą,
Imię Konrada echa zmordowało.
Góry, doliny, jaskinie przebiegli —
Próżno! — Dzień nastał — przy brzegu postrzegli

Zerwany łańcuch, gdzie barka stać zwykła.
Uszedł! — z nim piękna niewolnica znikła. —

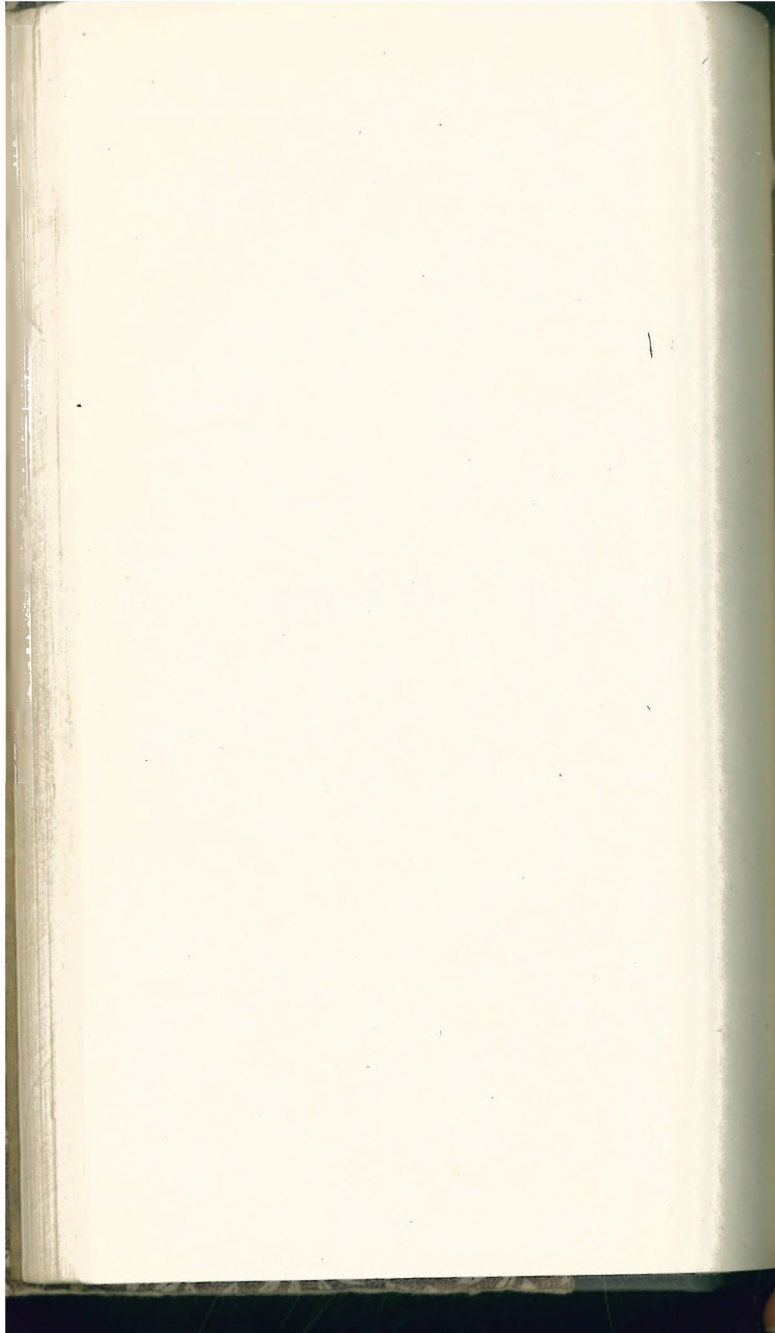
„Ha! a więc w pogoń! — wiatr ten sam co wczora!“ —
Żeglują w pogoń. — Mylna, czy nieskora! —
Minęło wiele tygodni, miesięcy —
Konrad nie wrócił — nie powróci więcej!
Śladu ni wieści, gdzie swój żal tułaczy
Ukrył przed światem, lub zginął z rozpaczy. —

Długo się wierna smuciła gromada;
Świetny grób wzniesli kochance Konrada.
Jemu nikt grobu, pomnika nie święci:
Zostało tylko długich lat pamięci
Imię Korsarza, i powieść smucąca,
Jedynéj enoty — a zbrodni tysiąca. —

KONIEC.



PRZYPISY AUTORA.



Czas w tej powieści mógłby się zdawać za krótkim na wypadki, lecz każda z wysp Egejskich leży o kilka tylko godzin żeglugi od lądu, a łaskawy czytelnik raczy sobie wyobrazić wiatr taki, jakiego ja sam nieraz w istocie doznałem.

PIEŚŃ PIERWSZA.

Str. 19 w. 19 Będziemy oboje
Czytać z Arjosta Olimpii żale,
Gdy zdrajca śpiącą zostawił na skale.

Orlando Furioso. Pieśń X.

Str. 24. w. 17. Ruszyły wiosła—jak gwiazd droga mléczna,
Iskrzy za niemi jasność fosforyczna.

W nocy, szczególnie pod cieplejszą strefą, za każdym uderzeniem wiosła, za każdym poruszeniem czołna lub okrętu, daje się widzieć pewna mdła jasność, która jak błyskawica z wody wynika.

PIEŚŃ DRUGA.

Słyszałem zarzut, że wejście Konrada, przebranego za szpiega, jest niezgodne z naturą. Być może. — Coś podobnego jednak w historyi znalazłem.

„Chcąc przekonać się własnymi oczyma o sile Wandalów, Majorian przemieniwszy kolor swych włosów, udał się sam do Kartaginy w charakterze własnego posła swojego; i Genserik nie pomalū żałował, gdy się potēm dowiedział, że podejmował i wypuścił Cesarza rzymskiego. Podanie to mo-
żnaby za zmyślane uważać; ale jest to zmyślenie, które tylko w życiu bohatera użyte być mogło.“ (Gibbon).

Że charakter Konrada nie jest całkiem w sprzeczności z naturą, najlepszym tego dowodem są niektóre podobieństwa historyczne, z którymi się już po napisaniu „Korsarza“ spotkałem.

„Ezzelin prisonnier, dit Rollandini, s'enfermait dans un silence menaçant; il fixait sur la terre son visage féroce, et ne donnait point d'essor à sa profonde indignation. — De toutes parts cependant les soldats et le peuple accouraient; ils voulaient voir cet homme, jadis si puissant, et la joie universelle éclatait de toutes parts.“

„Ezzelin était d'une petite taille; mais tout l'aspect de sa personne, tous ses mouvemens indiquaient un soldat. — Son langage était amer, son déportement superbe — et par son seul regard, il faisait trembler les plus hardis“ (Sismond).

„Gizericus (Genserik, król Wandalów, zdobywca Kartaginy i Rzymu) statura mediocris, et qui casu claudicans, animo profundus, sermone rarus, luxuriae contemptor, ira turbibus, habendi cupidus, ad solicitandas gentes providentissimus.“ etc. etc. (Jornandes de Rebus Geticis).

Pozwalam sobie przytoczyć te fakta na usprawiedliwienie mego Korsarza i Giaura.

Str. 27 w. 25. Gdy Almy w środku tańczują wesoło.

Almy — tanczniczki.

Str. 31 w. 5. Prawa zakonu i ślub mój przed Bogiem.

Derwisze dzielą się na zakony rozmaitych reguł jak mnisi.

Str. 32 w. 6. I rwąc swą brodę wściekły wybiegł z sali.

Powszechny i wcale nie nowy objaw gniewu Muzułmanów (*Patrz Pamiętniki księcia Eugeniusza na karcie 24*). „Seraskier został ranny w udo, i gniewny że z bitwy ustąpić musiał, wyrwał sobie całą swą brodę.“

Str. 34 w. 26. Krótko wódcz spójrzał na wdzięki Gulnary.

Gulnara, imię niewieście, znaczy dosłownie: kwiat granatnej jabłoni.

Str. 44 w. 9. I nie raz światu zamiast pożegnania
Żart płochy rznuca z wierzchu rusztowania.

N. p. Tomasz Morus na rusztowaniu, i Anna Boleyn w więzieniu, gdy obejmując dłonią swą szyję, zrobiła uwagę: „iż jest za nadto cienka, aby mogła mistrzowi wiele trudu przyczynić.“ — W czasie rewolucyi francuzkiej stało się prawie modą, aby ginąc pod gilotyną, jakie „*bon mot*“ po sobie zostawić. I zbiór tych wszystkich dowcipnych słówek. w ciągu całej rewolucyi rzeczonych, utworzyłby bez wątpienia książkę znacznej objętości.

PIEŚŃ TRZECIA.

Str. 50 w. 10. Mądrość ich mistrza zejść miała na ziemi.

Sokrates wypił cykutę nieco przed zachodem słońca (czasem naznaczonym), pomimo próśb uczniów swoich, aby się wstrzymał, nim słońce nie zajdzie.

Str. 50 w. 21. Lecz patrz! milcząca z za Hymetu szczytów etc.

Zmrok w Grecyi jest bez porównania krótszy niż u nas — dni są dłuższe w zimie, krótsze zaś w lecie.

Str. 51 w. 4. Letnich kiosków wieżyczki błyszczące etc.

Kioski, są to letniemieszkania Turków—Nurt Cefizu jest w istocie bardzo wązki—a Ilissus wcale bez wody.

Str. 51 w. 13. Prócz gdzie cień wysep czerni się na wodzie,
Wszystko się w jasnej uśmiecha pogodzie.

Cała strofa tej pieśni pod n. 1. jest tu może nie widać po co, i należała do innego poematu, nie ogłoszonego choć drukowanego, a była napisana na miejscu, wiosną 1811 r.—Czytelnik więc, ja sam nie wiem dla czego, musi przebaczyć, jeśli może, że ją tutaj znajduje.

Str. 55 w. 3. On licząc niby kaliwa różańca.

Kombolojo, albo różaniec muzułmański, zawiera ziarn dziewiędziesiąt dziewięć.

Str. 73 w. 19. Zimny kwiat, tkwiący w jej zimniejszym ręku.

Na Wschodzie jest zwyczaj rozsypywać kwiaty przy ciałach zmarłych, i dawać bukiet w ręce młodych osób.

Str. 77 wiersz ostatni: Jedynej cnoty, a zbrodni tysiąca.

Że uczucie honoru, które jest cechą charakteru Konrada, nie wykracza z granic prawdopodobieństwa, mogłaby tego dowieść niejako następująca historyczna wiadomość o jednym amerykańskim rozbójniku morskim z r. 1814.

Czytelnicy nasi słyszeli bez wątpienia, o wyprawie przeciwko rozbójnikom morskim w Barrataryi; że jednak nie wszyscy mogą być dokładnie uwiadomieni o położeniu, historii i naturze tego zakładu, kładziemy tu następujące opowiadanie naocznego świadka, spodziewając się, że to dla wielu czytelników obojętnem nie będzie.

„Barratarya jest to zatoka, a raczej wązkie długie ramię odnogi Meksykańskiej. Rozciąga się wzdłuż żyźnego lecz

bardzo płaskiego kraju, i aż o milę tylko do rzeki Mississipi dochodzi, 15 mil poniżej miasta nowego Orleanu. Zatoka ta dzieli się na niezliczone gałęzie, w których przed najściślejszém poszukiwaniem, bezpiecznie ukryć się łatwo. Prócz tego ma jeszcze związek z trzema jeziorami, leżącemi na południowo zachodnim jej brzegu, i łączącemi się z czwartém, także Barratarya zwaném, które przytyka do morza, i właśnie w miejscu zetknięcia się tworzy wyspę, z dwóch stron témże jeziorem, zresztą morzem oblaną. W roku 1811 wschodni i zachodni brzeg tej wyspy od strony lądu, zostały umocnione warownią przez bandę zbójców morskich, pod dowództwem niejakiego Monsieur La Fitte, niegdyś kapitana w wojsku Napoleona. Banda ta po większej części składała się z tej klasy mieszkańców Luizyany, którzy uciekający z wyspy St. Domingo, podczas zamieszkań tamże wynikłych, udali się byli naprzód na wyspę Kuba; lecz wnet z niej, z powodu wojny Francyi z Hiszpanią, wygnani, przybyli nieproszeni do Zjednoczonych Stanów i prawie wszyscy w kraju Luizyany osiedli.

Wyspa Barratarya leży pod 29 stopniem szerokości a 92 długości geogr. i słynie zdrowém powietrzem i wielką obfitością ryb wszelkiego rodzaju. Naczelnik bandy, na wzór Karola Moora w tragedyi Szyllera, obok wielu występków posiadał niektóre cnoty. W r. 1813 zuchwałość i łupieżstwa jego hordy, zwróciły na nią bacność wielkorządcy Luizyany, który aby ją tém łatwiej mógł zniszczyć, pozbawiając wodza, ogłosił 500 dolarów nagrody za głowę Lafitta, znanego dobrze mieszkańcom Nowego Orleanu, już to przez swoje z nimi związki, już to z powodu, że był niegdyś w tém mieście sławnym nauczycielem sztuki fechtowania. — Na to ogłoszenie wielkorządcy, Lafitte odpowiedział wzajemném, obiecującem 15,000 dolarów za głowę wielkorządcy. Ten naówczas wysłał oddział wojska z rozkazem zdobycia wyspy Lafitta, zniszczenia ogniem wszelkiej własności zbójców, i przywiedzenia ich samych do Nowego Orleanu. Oddział

ten, pod dowództwem dawnego niegdyś współnika i najzaufanego przyjaciela Lafitta, podstąpił pod samą wypę od strony lądu, nie widząc żywej duszy, ani słysząc głosu ludzkiego. Lecz nagle usłyszano gwiznienie, podobne do hasła majtków, i cały oddział ujrzał się otoczonym przewyższającą siłą zbrojnych ludzi, którzy nań z zasadzki wypadli. W tej okolicy, nowy Karol Moor rozwinął szlachetne rysy swego charakteru. Nie tylko bowiem darował życie człowiekowi, który go zdradził, który na życie jego i na wszystko co mu drogiem było nastawał; lecz nadto ofiarował mu taką sumę pieniędzy, iż mu na przystojne aż do śmierci utrzymanie się wystarczyć mogła, i choć ją ów z pogardą odrzucił, bezpiecznie mu do Nowego Orleanu powrócić dozwolił. — Wypadek ten i kilka podobnych, przekonały, że wyspa korsarzy od strony lądu niezdobytą była. — Postanowiono więc uderzyć na nią od morza. Z razu siła morską, przy tych brzęgach będącą, nie była dostateczną do tego przedsięwzięcia, i ze stratą przez Lafitta odpartą została. — Lecz ścigając posilki, ponowiono napad, który się naręście zupełnem zniszczeniem bandy korsarzów zakończył. — (*Z gazety Amerykańskiej*).

W dykcyonarzu biograficznym Grangera, kontynuowanym przez Noblego, w życiu arcybiskupa Blackbourne, znajduje się szczególne miejsce, które ponieważ ma niejaki związek z rzemiosłem bohatera mego poematu, nie mogę oprzeć się pokusie, umieszczenia go tutaj.

Jest coś tajemniczego w historii i w charakterze doktora Blackbourne. Pierwsza, nigdy dokładnie znana nie była: lecz biegały wieści, że był niegdyś korsarzem, i że jeden z jego braci w rzemiosle, powróciwszy do Anglii, rozpytywał się głośno o dawnym swoim towarzyszu Blackbourne, i nie chciał wierzyć, gdy mu powiadano, że został Arcybiskupem w Yorku. Ta wieść jednakże, zdaje się być tylko bezzasadną potwarzą. Jako arcybiskup, postępował on zawsze z wielką roztropnością, i jako stróż dochodów dycecezalnych na powszechny szacunek zasłużył. — Wprawdzie szeptano po-

kątnie, że zachowywał jeszcze wiele błędów młodości, i że „wielbienie dla płci pięknej trzymało nie ostatnie miejsce w liście jego słabości. — Lecz gdy przy tylu oskarżeniach, o nie istotnie przekonany nie był, wszystkie te wieści uważam tylko za skutek zawistnej złośliwości. — Bo czyż podobna, aby rozbójnik morski mógł być tak uczonym człowiekiem, jakim bez zaprzeczenia był Blackbourne? On, który posiadał tak doskonałą znajomość pisarzy starożytnych, mianowicie tragiców greckich, iż był w stanie czytać ich z równą łatwością jak Szekspira, musiał poświęcić wiele pracy nauce języków starożytnych, i mieć na to wiele czasu i dobrych nauczycieli. Jakoż niewątpliwie wiadomo, że odbierał nauki w Oxfordzie. Przyznawano mu powszechnie, że był bardzo w społeczeństwie przyjemnym, z czego nawet zrobiono przeciw niemu zarzut, mówiąc, że więcej serce niż dusz pozyskał.“ —



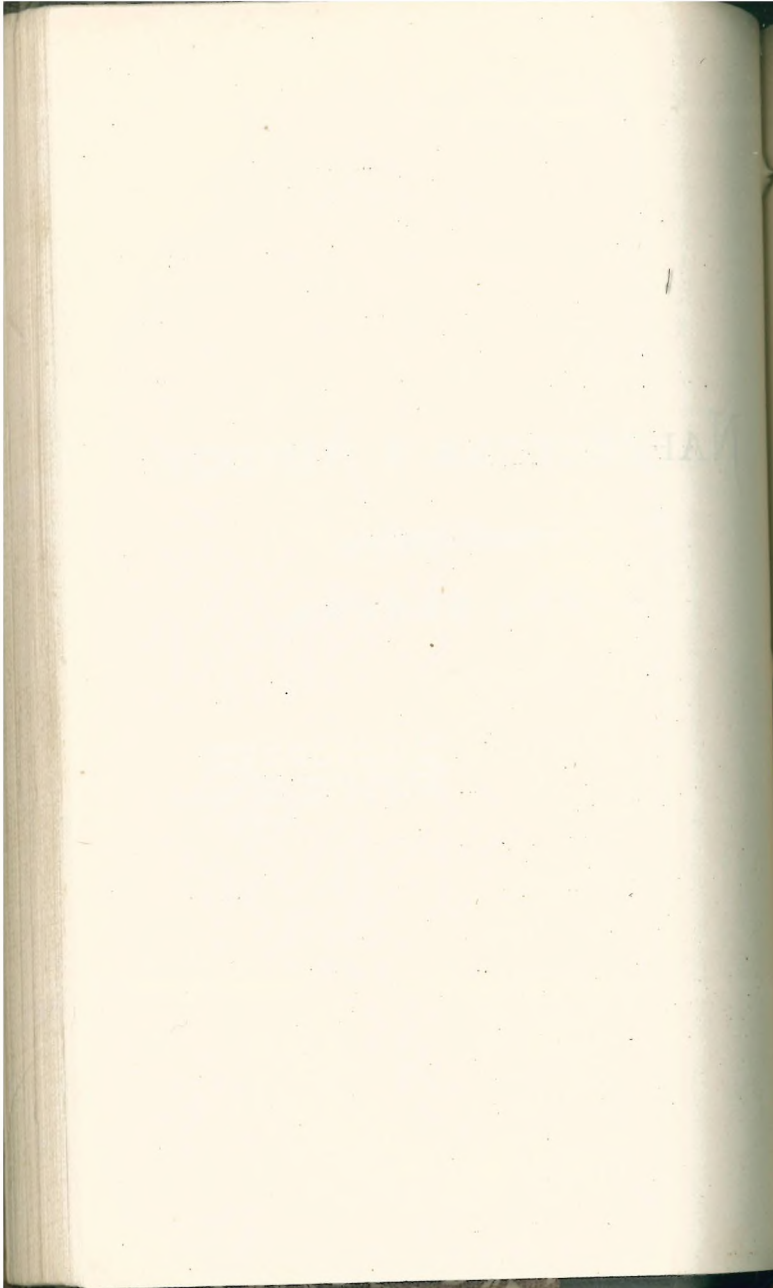
NARZECZONA Z ABYDOS.

POWIEŚĆ TURECKA

LORDA BYRONA.

Had we never loved so kindly,
Had we never loved so blindly,
Never met, or never parted,
We had ne'er been broken hearted.

Burns.



PIEŚŃ PIERWSZA.

I.

Znacie kraj, gdzie laur chwwały i cyprys żałoby,
Godłem są dni obecnych i wieków minionych?
Gdzie żałośna turkawka, i sęp krwawo-dzioby,
Powtarza dzikość panów, i jęk zwyciężonych?
Kraj cedrów w niebo rosłych, i winnic nektaru:
Kraj niewiędnącej wiosny, i wiecznej pogody;
Kędy skrzydła Zefirów, od woni ciężaru
Słabieją, przelatując różane ogrody?
Gdzie wśród gajów zieleni błyszcząca cytryna,
Dziś jeszcze Hesperyjskie sady przypomina;
W jagodach złoty balsam oliwy dojrzewa,
A w cieniu drzew jej słowik nie przestając śpiewa?
Kraj, gdzie ziemi zieloność i niebios lazury
Wależą o piękność barwy przed słońcem bez chmury,
A ocean gra ogniem najwyższej purpury?

Gdzie dziewice jak kwiaty, co noszą do tańców?
Gdzie wszystko piękne, boskie — oprócz serc miesz-
[kańców?—

Kraj to Wschodu! kraj słońca, co mu naprzód świeci!—
Możesz się tak uśmiechać na zbrodnie swych dzieci?—
Dziki, jak krzyk wiecznego rozstania boleści,
Są ich serca—i czyny—i o nich powieści.

II.

Otoczon tłumem niewolników gronem,
Lśniących od złota, i z kornym pokłonem
Gotowych służyć dworaczo czy zbrojnie,
Za orszak w domu, lub za straż na wojnie,
Jak się podoba ich Baszy i Panu:
Zasiadł Giaffir *) śród swego Dywanu.
Z brwi nasepionych i groźnego oka,
Znać że go trapi jakaś myśl głęboka.
I choć nie łatwo z twarzy Muzułmana
Wyczytać duszę—nawykłą przed tłumy
Kryć wszystkie swoje uczucia, prócz dumy—
Twarz Giaffira mroczna, zadumana,
Zdradza coś więcej, niżby wydać żądał.
Więcej, niż ścierpi aby dwór oglądał.

III.

„Chcę być sam!“ — skinął — skinieniu pańskiemu
Posłuszni tłumem ku drzwiom się cofali.—

*) Czytaj *Giaffir*.

„Zawołać do mnie dozorcę harem!” —

„Już w głębi sali, sam na sam zosiali,
Basza z swym synem; i w progu zdaleka
Wezwany murzyn na rozkazy czeka.

„Słuchaj, Harunie! skoro tłum ten cały
Wyjdzie z pałacu za bramę i wały —

„Bo biada głowie, którójby źrenice
Śmiały wzrok podnieść na Zulejki lice! —

„Córkę tu moję przywiesz z haremu.

„Dziś chcę na przyszłość ustalić jęj dolę. —

„Mów, niech pośpiesza; lecz nie mówiąc: czemu? —

„Sam chcę jęj piérwszy objawić mą wolę.“ —

— „Baszo! mém prawem są rozkazy twoje!“ —

Niewolnik innęj odpowiedzi nie ma. —

I już wychodził za sali podwoje,

Kiedy go ramię wstrzymało Selima.

Selim z potrójnym, głębokim pokłonem,

Wrócił ku Baszy, i z okiem spuszczoném,

Nieśmiałym głosem rzekł, stojąc przed tronem:

„Bo muzulmana nie ośmielić niczém,

Aby śmiał usieść przed ojca obliczem.

„Bojąc się, ojczel! abys się nie gniewał,

„Czy na Haruna, czy na siostrę moję,

„Jeśli tak rychło, jakbys się spodziewał,

„Nie zdąży przybyć na rozkazy twoje:

„Wyznam mą winę — jeśli w tém jest wina,

„Że we mnie jednym téj zwłoki przyczyna.

„Słońce dziś rano wschodziło tak jasno,

„Że — chyba starcy ujrzawszy to, zasną —

„Jam zasnąć nie mógl; — lecz w tak pięknej porze,

„Patrzeć samemu na niebo, na morze,

- „Gdy nikt nie słucho i nikt nie podziela
„Natehnionych myśli i uczuć wesela.
„Smutno jest — zwłaszcza mnie, com od powicia
„Nie nawykł znosić samotności życia. —
„Zulejkę zatém namówiłem z sobą. —
„Tyś sam dozwolił, aby każdą dobą
„Wstęp do haremu był dla mnie otwarty. —
„I nim w pół senne ocknęły się warty,
„Już my ukryci w cyprysowym gaju,
„Pojąc się wdziękiem natury i kraju,
„Zapominali o obecnej chwili
„W rymach Saiego i pieśniach Leili ¹⁾!
„Aż usłyszawszy głos bębna, postrzegłem ²⁾
„Że się zbliżyła godzina Dywanu.
„I wnet pamiętny twój woli, przybiegłem
„Złożyć cześć winną i ojeu i panu.
„Ale Zulejka dotąd błądzi w gaju. —
„O! przebacz ojeze! nie nasrożaj czoła!
„Wszakże prócz niewiast i stróżów seraju,
„Nikt się tam przedrzeć, ni zajrzeć nie zdoła.“ —

IV.

- Gniew zawrzał w Baszy: „Synu niewolnika,
„Z niewiernej matki! — bo próżno od młodu
„Szukałem w tobie, godnych mego rodu.
„Uczuć człowieka albo wojownika! —
„Ty zamiast wprawiać do boju twe dłonie,
„Zawstydzając strzelców, wyzywać szermierze,
„Ciskać dzirytem, lub ujeżdżać konie:
„Ty, Greku w duszy, jeżeli nie w wierze!

„Gotów iść wzdychać całe dni i noce,
„Gdzie jakaś woda w strumieniu bełkoce,
„Kwiat jaki pachnie, albo ptak świergoce!... —
„Niechbyż przynajmniej to słońce promienne.
„Co tak twe oczy zachwyca bezsenne.
„Włało ci swego choć iskrę płomienia.
„By i twą duszę obudzić z uśpienia! —
„Lecz nie! ty okiem patrzyłbyś nieczułym,
„Choćby tu przyszły psie wojska pogańskie;
„Choćby ich działa grzmiały pod Stambułem;
„Nie! choćby wszystkie państwa Otomańskie
„Zależć miały od wsparcia twój dłoni:
„Nie śmiałbyś dotknąć zaostrzonej broni!...—
„Precz!—niech twa słabsza od niewieściej ręka,
„Kreć wrzeczono, gdy się szabli lęka! —
„A ty, Harunie! śpiesz do córki mojej!
„Ten raz przebaczam — dla starości twojej.
„Lecz niech Zulejka raz jeszcze na nowo
„Wyjdzie z nim kiedy—odpowiesz mi głową!“ —

V.

Selim nie wyrzekł słowa—ale z twarzy,
Lecz z oczu jego łatwo myśli dociec. —
Wyrzuty Baszy i słowa szydercze
Przebodły duszę jak włócznie mordercze; —
„Syn niewolnika!—O podłość mię skarży!—
„Chce mię poniżyć!—najgrawać się waży!—
„Syn niewolnika!—Któż więc jest mój ojciec?“ —
Temi myślami wrzał w duszy, a lice
Pały ogniem, a groźne źrenice
Błysły z pod powiek jak dwie błyskawice.—

Giaffir spójrzał—i zląkł się widoku
Gniewnego syna;—poznał jak go drasło
Uragowisko—i w tym jego wzroku
Dostrzegł, lub przeczuł pierwsze buntu hasło.

„Pójdź, chłopcze!—Cóż to? nie chcesz odpowiadać?—

„O! ja znam ciebie, umiem myśl twą zbadać—

„Szkoda, żeś bronią nie uczył się władać?—

„Lecz niechno mężka urosnie ci broda,

„A wiek odwagi, albo siły doda:

„Doczekam jeszcze pociechy, jak wróżę,

„Ujrzyć cię zbrojnym — albo spotkać może!“—

I gdy to mówił z szyderczym przyciskiem,

Wzrok dumnej wzgardy utopił w Selima.—

Selim nie zadrzał—i z uragowiskiem

Tak go nawzajem przejmował oczyma,

Że Basza z trwogą obejrzał się wkoło,

I ogniem wstydu oblało się czoło.

Dla czego?—Basza dobrze czuł i wiedział

Przyczynę trwogi—lecz jój nie powiedział.

„Nie próżne, myślał, przecucia, jak widzę,

Żem nigdy jego nie ufał przyjaźni!

Zrozumiał, odgadł, że go nienawidzę.—

I...—lecz dłoń jego nie warta bojaźni!

Na łowach ledwo można go ośmielić

Potkać się z sarną, lub strzelbę wystrzelić;

Cóż gdyby z ludźmi miał toczyć bój krwawy,

Naraząc życie dla zemsty lub sławy?...

Tak!—gdyżbym zwierchniej nie ufał pokorze,

Tém mniej krwi związkom—krwi, co kiedyś może...—

Ha! lecz on nie wie o tém!... — Nie nie znaczy!
Muszę podwoić czujność dostrzegaczy! —
Giaur, pies pogański, Arab memu oku
Znośniejszy stokroć od jego widoku 2)!“ —

„Lecz otóż słyszę głos Zulejki mojej! —
On mi wzburzoną duszę uspokoi:
Miły mym uszom jak hurysek pienia! —
W niej widzę moje najśłodsze wspomnienia,
Pierwszej, jedyniej miłości zadatki:
Droższa mi nawet, miłsza od swój matki!
Moja nadzieja, chluba, szczęście moje!
Jedna, co kocham — i co się nie boję!“ —

„Witaj, ty moja! ty Peri, bogini!
Chłodna fontanna w piaszczystej pustyni
Mniej miła ustom spragnionym pielgrzyma,
Niż tyś jest zawsze przed ojca oczyma! —
Pielgrzym nie może czuć wdzięczności więcej,
Ni Prorokowi dziękować goręcej,
Jak ja dlań w duszy za ciebie ją czuję,
Jak ja mu zawsze, i teraz dziękuję.“ —

VI.

Piękna, jak pierwsza ze stworzonych w raju,
Gdy z zaufaniem, z weselem dziewiczem,
miała się patrzeć w zakazanym gaju,
Jak ją wąż okiem urzekał zwodniczem,

I blask swych oczu zaszczepiał w jęj wzroku —
 Źródło obłudy jęj płci, i uroku! —
 Miła — jak sennęj pociechy widzenie,
 Co łzy na jawie płynące osusza,
 Gdy w nieśmiertelne ubrana promienie,
 Duszę płaczących cieszy zmarłych dusza;
 Tkliwa — jak pamięć miłości niewinnęj:
 Czysta — jak wiara modlitwy dziecinnęj;
 Była dziewica, cel ojca miłości,
 Który ją witał ze łzami — radości.

Któż nie doświadczył, jak trudno słów dźwiękiem
 Dać uczuć piękność, z jęj blaskiem i wdziękiem?
 Kto nie czuł patrząc — nim niesyte oczy
 Mgła upojenia albo łza zamroczy —
 Jak wzbudzający cześć, i jak zwycięzki
 Jest niewinności urok czarnoksiężki! —
 Ona je łączy: — w nięj jednęj zebrane,
 Kwitną powaby — jęj tylko nieznanne:
 Niebieskięj łaski świętość tajemnicza,
 Pogoda myśli, swoboda dziewicza,
 Dusza — muzyka tchnąca z jęj oblicza! ⁴⁾
 I czułość, którą lada myśli wzruszą —
 I ach! oko! co samo już zda się być duszą! —

Skromnie na piersiach krzyżując ramiona —
 I piérwszém tkliwém słowem ośmielona,
 Na szyję ojca zarzucając ręce,
 Co jęj wesołe pieszczoty dziecięce

Dzielił i wzajem odpłacał, słowami,
Błogosławieństwami i całowaniami—
Zulejka przyszła.— Giaffir czuł w duszy,
Że zamiar jego miękczy się i kruszy.
Nie by się troskał o przyszłym jój szczęściu,
Czy je mieć może w wybranem zamęściu:
Lecz myśl rozstania zamysłem zachwiała —
Miłość ją wlała — Duma pokonała.

VII.

„Zulejko moja! dziecię mej miłości!
„Dziś się przekonasz, jak cię kochać muszę,
„Gdy niepamiętny tęsknot samotności,
„W jakiej twa strata pograży mą duszę,
„Sam się ojcowskiej pociechy wyrzekę,
„Aby ci męża zapewnić opiekę:
„Męża — którego, prócz chyba Padyszy,
„Nikt w państwach jego w niczem nie przewyższy. —
„Bo choć Moślemin mało o ród bada,
„Godna jest względu krew Kara-Osmana⁵⁾,
„Której potęga, z przodków przekazana,
„Dzierżonym krajem, jak dziedzictwem włada,
„I w razie wojny ma na swe skinienie
„Timariotów dzielne pokolenie. —
„Z téj krwi Osmana wybrałem na zięcia;
„Dziedzic i blizki Oglu-Beja krewny.—
„O wiek nie będziesz dbała — jestem pewny —
„Dzieckubym mego nie zwierzył dziecięcia!

„Bogactwo twemu odpowiada wianu;
„A temi śluby złączona moc nasza,
„Urągać będzie ze śmierci firmanu,
„Którego widok tak drugich przestrasza!
„I gdy najśmielszy, najmoźniejszy Basza,
„Śmie wprzód dać szyję, niż się oprzeć Panu:
„My uczyć będziemy sułtańskie Tatary 6),
„Jakić nagrody warte takie dary! —
„Teraz, Zulejko! wiesz o woli mojej,
„Wiesz wszystko, co płci twój wiedzieć przystoi. —
„Do posłuszeństwa, ojciec córkę skłania;
„Sam mąż niech żonę nauczy kochania!“ —

VIII.

Zulejka milcząc skłoniła oblicze —
Czy żeby ukryć zmieszanie dziewicze,
Czy łzy, któremi czuła że nie władła,
I twarz, co w kolej płonęła i bladła:
Gdy słowa ojca, jak strzały, przez uszy
Świszcząc leciały i więzły w jój duszy? —
Lecz ten rumieniec, ta bladość, ta żalność,
Co oznaczają? — czy wstręt? czy nieśmiałość? —

Łza w piękném oku tak słodko porusza,
Że nawet miłość z żalem ją osusza;
Skromny rumieniec tak twarz piękną kiasi,
Że nawet litość niechętnie go gasi! —
Czy to Giaffir czuł, czy nie obaczył
Łez i rumieńca; czy zważać nie raczył: —

Trzykroć w dłoń klasnął ⁷⁾—konia podać każe:
Rzucił z rąk cybuch oprawny w klejnoty ⁸⁾,
I szedł, gdzie zbrojne czekały go straże:
Janczarów, Spahów, Mameluków roty.
I wśród nich śpieszy na pole gonitwy,
Widzieć ich zręczność i wprawiać do bitwy.—
Sam Kislar-Aga, na czele rzezańców ⁹⁾,
Został na straży haremu i szajców.

IX.

Selim na dłoni wsparł czoło, i okiem
Zdawał się toczyć po morzu szerokim,
Gdzie prac się między Dardanelskie skały
Z szumem w pienne popiętrza się wały.
Nie widział jednak ni morza, ni brzegów.
Ni nawet Baszy wojennych szeregów,
Co bliżej przed nim tocząc bój udany,
To z koni twarde płatają turbany ¹⁰⁾,
To na dwie zręcznie rozbiegłszy się roty
Biją na siebie stępienemi groty,
A wrzask ich „Ollah!“ powietrze rozdzięra ¹¹⁾:—
Selim nie słyszy, nie widząc spozięra —
W myśli mu tylko—córka Giaffira.

X.

Zulejka nie śmie przerywać milczenia,
Lecz smutek myśli zdradzają westchnienia.
Selim wciąż z okna patrzył zamyślony,
Niemy, i blady, i nieporuszony.

Próżno nań siostra spogląda ciekawie:
Nie nie wyczytać w tój zimnój postawie!
Smutek jój równy—ale go pokrywa.
W sercu dla brata tehnie miłość tak tkliwa,
Że wstyd dziewiczy, sama nie wie czemu,
Nie dał jój dotąd wyznać—nawet jemu.
Terazby chciała — chce mówić — daremnie!
„Tak smutny! tak się odwraca odemnie! —
„Nie tak bywało za każdym spotkaniem;
„Czyż się raz pierwszy tak zimno rozstaniem?“ —

Trzykroć komnatę obeszła dokoła
Patrząc na niego; — on nie zwrócił czoła
Ledwo nie płacząc, pochwyliła dłonią
Urnę stojącą z róż arabskich wonią,
I wonnym deszczem prysnęła z niej wkoło
Na strop, na ściany — i Selima czoło!.. —
Krople po twarzy stoczyły się zbladłej,
I z szat złocistych na pierś jego spadły:
On się nie wzruszył, nie zwrócił baczenia,
Jak gdyby lice i pierś miał z kamienia.
„Co? jeszcze smutny? — ach! któż to wytrzyma!
„Taka nieczułość — i to od Selima!...“ —

Wkrąg gmachu kwiaty najrzadsze na wschodzie,
Kwitły w naczyniach, jak w sztucznym ogrodzie. —
„On lubi kwiaty! — może z rąk mych przyjmie?... —
„Musisz się rozśmiać, mój luby Selimie!“ —
Ledwo dziecinna myśl przyszła do głowy,
Kwiat był zerwany, i bukiet gotowy:
Z nim się po cichu zbliża niewidziana,
I u stóp brata ugięła kolana.

„Słowik tę różę przysyła za posła ¹²⁾,
„By ci pociechę i radość przyniosła;
„I sam prócz tego, jak jęj obiecywał,
„Będzie noc całą dla Selima śpiewał.
„I z wszystkich piosnek, co umie na wiosnę,
„Wybierze same wesołe i głośne,
„Z miłą nadzieją, że jak on swe tony,
„Odmieni myśli Selim zasmucony.“ —

XI.

„Co? nie chcesz nawet przyjąć mego kwiatu?—
„Jestże gdzie siostra bardziej nieszczęśliwa,
„Coby nie mogła ulgi przynieść bratu,
„Którego smutek serce jęj rozrywa?—
„O! nie patrz na mnie oczyma takimi! —
„Któż cię nademnie kocha na tęg ziemi?—
„Bracie mój drogi! — obym droższe imię
„Wynaleźć mogła! — mój luby Selimie!
„Podziel twój smutek ze mną! — lub przynamnie,
„Jeśli się gniewasz — powiedz że nie na mnie! —
„Pójdź, usiądź! głowę skłóń na piersi moje!
„Ja całowaniem twą bolesć ukoję,
„Gdy cię ni płochy żart mój nie rozśmieszył,
„Ni mój zmyślony słowik nie pocieszył. —
„Wiem, że nasz ojciec niekiedy zbyt ostry:
„Aleś ty takim nie bywał dla siostry!
„Wiem, wiem, że ciebie nie kocha jak syna:
„Ale czyż Selim o mnie zapomina?... —
„Ach! może zgadłam? — tyś jest nie rad z planu
„Owego związku z Bejem Karasmanu?... —

- „Może ku niemu masz powód urazy?... —
„Powiedz mi tylko! pomimo rozkazy
„Ojca — przysięgam na Mekki ołtarze,
„Jeśli się na nie przysięgać odważę —
„Że bez porady, bez woli Selima,
„Nikt mię — sam nawet Sułtan nie otrzyma! —
„Myślisz, że zniosę oddalenie twoje.
„Lub mogę serce rozdrzeć na dwoje? —
„Któżby nam został — jeśli się rozdzielem.
„Mnie przewodnikiem, tobie przyjaciелеm? —
„Nie, nie! dzień taki nie błysnie na niebie,
„Coby mą duszę oderwał od ciebie!
„Nie! — sam Azrael — on, którego ramię ¹³⁾
„Wszystko na świecie rozrywa i łamie.
„Gdy się na jedno z nas dwojga zamierzy,
„Uczuje litość — oboje uderzy!“ —

XII.

Ożył — odetchnął — z lic ogień wytrysnął —
Podniósł dziewicę — do piersi przycisnął.
Gniew, boleść znikła — z oczu niezwykła
Radość, jak jasność, błysła spójrzeniem,
Myśli promieniem, uczuć płomieniem.
Jak woda z gór lecąca,
Gdy ją ciasny brzeg zwięzi,
Wyrzyna się iskrząca,
Z pod wierzbowych gałęzi;
Jako piorun, gdy z góry
Ogniem błysnie w obłoku:

Tak z pod brwi téj ponurěj,
Dusza błyszczy w tém oku!—

Na dźwięk trąby koń wrzący,
Na wrzask łowów lew śpiący,
Na krzyk buntu szalony
Tyran ze snu zbudzony,
Mniej gwałtownie się wzruszy,
Mniej uczuje sił w duszy,

Jak Selim słysząc przysięgę dziewicy,
Słyszac wyznanie uczuć tajemnicy!—

„Teraz tyś moja! tyś na wieki moja!
„Bóg sam nas chyba, nie ludzie rozdwoją.
„Mojaś na wieki!—ta święta przysięga.
„Coś ty wyrzekła, oboje nas spręga. —
„Dobrze zrobiłaś! bo przez to wyznanie
„Nie jedna głowa na karku zostanie!—
„Lecz ty się nie trwóż!—póki miecz w mej dłoni.
„Żaden włos nigdy nie spadnie z twój skroni;
„Strwożyć cię nawet nie miałbym zamiaru,
„Za wszystkie skarby pieczar Istakaru!...— 14).
„Z innych się przyczyn gniew w sercu mém warzył.
„Giaffir dzisiaj zelżył mię, znieważył,
„Nikezemnym prawie nazwać się odważył!...
„Ha! teraz pora okazać mu w czynie,
„Jaka krew w synu niewolnika płynie!—
„Drżysz? — On tak nazwał! —lecz serce Selima,
„Choć się nie chełpi przed ludzi oczyma,
„Jeszeze mu w słowach i czynach dotrzyma! —

- „Ja synem jego?... — Lecz ukój twą trwozę! —
„Przez ciebie jestem nim — albo być mogę. —
„Tymczasem, pomnij! by przysięgi naszej
„Niebaczne słowa nie zdradziły Baszy! —
„Znam ja nędznika, co u Giaffira
„Ręki się twojej i wiana napięra;
„Podlejszej duszy, i skarbów niezmiernych,
„Gorzéj zebranych, nie ma kraj niewiernych.
„Chciwszy od Greka, trwożliwszy od Żyda!
„Gorszego nadeń Egrippo nie wyda ¹⁵⁾!... —
„Lecz dosyć o tém! — Okiem ni językiem
„Pomnij, tajemnic nie zdradzić przed nikim!
„Na resztę środek znajdziemy w potrzebie. —
„O s m a n a Beja, ja biorę na siebie! —
„Słuchaj, Zulejko! — raz piérwszy wyznaje —
„Słuchaj! — nie jestem, czém się być wydaje.
„Tyś mi do szczęścia otworzyła drogę —
„Mam broń, przyjaciół — zawady znieść mogę!“ —

XIII.

- „Co? ty nie jesteś czém się być wydajesz? —
„Dziwne mi dzisiaj zagadki zadajesz! —
„O! mój Selimie! zkąd ci ta odmiana? —
„Byłeś tak dobry, tak wesół dziś z rana! —
„Czém cię tak mogły wzruszyć moje słowa? —
„Że ja cię kocham — czyż to ci rzecz nowa? —
„Kocham! jak kochać nie można goręcej,
„Zawsze jednako — bo nie umiem więcéj! —
„Innego szczęścia nie wystawiam sobie,
„Jak by cię widzieć, słyszeć, być przy tobie —

I ztąd dzień lubię, a nocą się brzydzę:
Że noc nas dzieli, a we dnie cię widzę. —
I gdybym mogła na przyszłość wybierać,
Z tobą chcę tylko i żyć i umierać;
Ciebie pocieszać, doglądać, piastować,
Bawić, usypiać, uściskać, całować...
Tak, tak! jak teraz — jak teraz!... — Już dosyć!
Dosyć, Selimie! — w twych ustach żar tleje! —
Nie, nie! nie mogę! — ach! przestań mię prosić! —
Ja sama nie wiem co się ze mną dzieje!... —
Obym tak zawsze być mogła przy tobie:
Strzedz twego zdrowia, doglądać w chorobie,
Rządzić twym domem — nie trwoniąc ci mienia,
Lub dzielić nędzę — bez łez, bez cierpienia:
I wszystko czynić i pełnić z pośpiechem,
I wszystko cierpieć i znosić z uśmiechem!... —
Jedną ci tylko nie oddam usługi:
Oczy twe kiedyś niech zamknie ktoś drugi!... —
Bo wiem że umrę, mając to oglądać. —
Mogęz co więcej — ja zrobić — ty żądać?... —

Lecz, mój Selimie! powiedz mi, dla czego
Ty się tak ojca obawiasz naszego,
Aby się naszych uczuć nie dowiedział? —
Ja milczec będę — boś ty mnie powiedział;
Lecz czemużbyśmy ojcu nie ufali? —
I to mi także powtórz zrozumiałej,
Coś wprzód namienił o sobie — o broni —
O przyjaciółach. — Kto są? gdzie są oni? —

„Jabym wolała ojcę się otworzyć!
„Gniewby mię jego nie zdołał zatrwożyć. —
„Lecz za cóż gniewy?—Ach! nie! on pozwoli,
„On mię zostawi panią mojej woli! —
„Cóż w tém dziwnego, jeśli bym życzyła
„Być dla cię zawsze, jakem dotąd była?
„Że odłączona od ludzi i świata,
„Świat i mąż obcy przeraża mię trwogą?
„Że nieznająca nikogo prócz brata,
„Prócz niego kochać nie mogę nikogo?... —
„Czyżby te dotąd uczucia bez winy,
„Grzechem dziś były?—lub z jakiej przyczyny,
„Mybyśmy dzisiaj prawdy się wstydzili,
„Cośmy jak cnotę kochali i czcili?... —
„Wiész sam, Selimie! jak za fraszkę lada
„Ojciec wnet na cię w zapalczywość wpada;
„Cóż, gdybyś słuszne dał do niej powody?...
„Strzeż nas, Allahu! od takiej przygody! —
„Ta tajemnica—nie pojmuję czemu,
„Jakby grzech jaki cięży sercu memu!... —
„Tyś ją narzucił—miěj litość nademną!
„Zdejm ją—lub rozwiąż tę zagadkę ciemną!
„Lecz nie zostawuj w tych myślach i trwodze!... —
„Ach! Czokadera już widzę na drodze ¹⁶);
„Ojciec nasz wraca!... —Jak mi serce bije! —
„Czuję, że wszystko z mój twarzy odkryje. —
„Nigdy nie drżała na spotkanie jego—
„Dziś drzę—i nie wiem—ty powiedz, dla czego? —

XV.

— „Odejdź! ja sam tu spotkam Giaffira.
Będziem jak zwykle rozmawiać przy świadkach,
O dżumie, wojnie, firmanach, podatkach,
I o złych wieściach z obozu Wezyra:
Jak stojąc mężnie nad brzegiem Dunaju,
Czas nieczynnością, a lud głodem traci;
Za co mu kiedyś Giaur złotem zapłaci:
Jeśli wprzód jeszcze, za tę miłość kraju. .
Sułtan mu stryczka nie przysze z Seraju.... —
To zwykły przedmiot rozmów — i w tój chwili
O niczém inném nie będziem mówili. —
„Ale pamiętaj! że skoro o zmroku
Beben na hasło spoczynku uderzy,
Selim cię czeka u drzwi twojój wieży!—
Zakryci nocą od dozorców wzroku,
Możem bezpiecznie do jutra, do wschodu,
Błądzić samotnie śród wałów ogrodu.
Strome — szpieg na nie nie wdrze się snadnie,
A choćby wdarł się — mam sposób, że spadnie. —
Wtedy się dowiesz o losach Selima,
Czego nikt o nim ani wie, ni mniéma.--
Ty się mnie nie bój! zawierz sercu memu!—
Wiész, że mam klucze tajnych drzwi haremu...“ —
— „Ja się bać ciebie? — Z twych ust taka mowa?... —
„O! mój Selimie!...“ —
— „Nie trać chwil na słowa!
Mam klucz haremu — straż rygle odsunie.

„Umiałem wzbudzić przychylność w Harunie.
„On nas nie zdradzi — zaufaj mu śmieie! —
„Dziś ci odkryję mój los, moje cele. —
„Ale, Zulejko! — pomnij, że nie taję,
„Żem rzekł — nie jestem, czém się być wydaję.“ —

KONIEC PIEŚNI PIÉRWSZÉJ.

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Wiatr hucząc wzdyma Hellespontu wody,
Jak w owéj strasznej i pamiętnej nocy,
Gdy urągając z fal i niepogody,
Piękny, szlachetny, odważny i młody,
Kochanek w Bogów zaufał pomocy,
I sam zwiedziony nadzieją opieki,
Nadzieje lubéj omylił na wieki!—

Lecz ach! gdy ujrzał, że z wieży jej wierzchu,
Hasło jej, lampa polyska się w zmierzchu:
Cóż że mógł widzieć jak niebo się chmurzy,
Że go krzyk ptastwa ostrzegał o burzy?
Że wiatry w górze, ryk wałów u dołu,
Zdały się grozić i radzić pospołu?
On, pełen uczuć i nadziei błogich,
Nie baczył znaków, ni głosów złowrogich;

Na światło tylko kochanki spoglądał,
Gwiazdę miłości!—i innych nie żądał.
Kochanki tylko śpiew słyszał z daleka:
„Śpiesz się, mój luby! kochanka cię czeka!“—
Stara to powieść — lecz zawsze i wszędzie
Miłość ją lubić i powtarzać będzie.

II.

Wiatr dmie od morza, i w paszczę ciałniny
Prze wał po wale, pieniaący się, siny;
I noc ponurą rzuciła zasłonę,
Na pola niegdyś tyłą krwi zbroczone,
Gdzie stare grody Priama świeciły: —
Dzisiaj pustynia, gruzy i mogiły!
Jedna znikłej potęgi i chwały oznaka —
Prócz nieśmiertelnych marzeń ślepego żebraka!

III.

Oby mi jeszcze dano na te brzegi wrócić,
Gdziem raz już proch ich święty deptał stopą młodą:
Łamać się, jakem łamał, z Hellespontu wodą,
I z tobą, wieszczu Grecki! cieszyć się i smucić!
We wszystkiem widzieć ślady dzieł dawnych rycerzy,
Wierzyć, że w każdym grobie proch półboga leży:
Myśleć, że jako przed ich, przed memi oczyma,
Też góry błękitnieją, toż morze się wzdyma:
Żyć ich myślą, ich czuciem, ich wiekiem!—któż z ludzi,
Raz tak marząc, dla wieszczy wiecznej czci nie wzbu-
[dzi?—

IV.

Pomrok okrywa ziemię i morze — nim wznijdzie,
Jako dziewczę jego bogini na Idzie,
Ów księżyc, co ztąd niegdyś patrząc skrós ciemnoty,
Przeglądał mury Troi i Greków namioty. —

Nie klną mu dziś na zdradę śpieszący rycerze:
Lecz błogosławią dotąd spokojni pasterze.
Na zielonym pagórku pasą się ich trzody —
Grób to jest Achillesa! ołtarz jego chwały!
On, przed którym bił czołem Macedończyk młody ¹⁾!
Który króle wieńczyły, sławiły narody!
Grób, pomnik bohatera! — jak ciasny, jak mały!..
Dzieł jego i imienia zapomniał lud płochy;
Przez rozpadłe kamienie wiatr wydmuchał prochy;
Obcy chyba przychodziń, dumając w milczeniu,
Westchnie nad nim — i ducha wezwie po imieniu! —

V.

Późno dziś, późno księżyc rozweseli
Smutny pasterza nocleg, i ośmieli
Błądną rybaka łódź — który inaczej
Brzegów, ni drogi do nich nie zobaczy.
Chmurą się gwiazdy zakryły przewodnie,
Wzdłuż brzegów morskie pogasły pochodnie;
Z Zulejki ty!ko samotnej komnaty
Młde światło lampy miga się przez kraty.
W złotym kagańcu ta lampa się pali,
Z góry u stropu zwieszona śród sali.

Na sofach z tkani Perskiego przedziwa,
Leżą w nieładzie, ale pełnym wdzięku,
Tu bursztynowe różańca kaliwa,
Z których woń cudna rozlewa się w rękę ²⁾;
Ówdzie, w szmaragdów promienie objęty —
(O! jak zła wróżba, że go zapomniała!)
Z tekstem Koranu amulet jęj święty ³⁾,
Co go jęj matka przed skonaniem dała,
By słów wrytych mocą tajemniczą,
Świecił jęj duszy gwiazdą przewodniczą.
I bliżej przy nim, alkoran otwarty,
Złotem barwnemi połyska się karty ⁴⁾;
I dalej nieco, zwoje lżejszój treści,
Perskich poetów pieśni i powieści;
I na nich wsparta, brzmieć niemi lubiąca,
Spoczywa lutnia — rzadko tak milcząca.
Śród izby, kwiaty świeżą tchnące wiosną,
Z Japońskich naczyń, jak ze śniegu rosną,
I wszystkie zmysły czarują od razu
Barwą Kaszmiru i wonią Szyrazu. —
Wszystko, co tylko natura i sztuka,
Pięknego stworzy, miłego wyszuka,
Wszystko się zbiegło w tęj wdzięków świątyni —
I wszystko tylko smutniejszą ją czyni,
Gdy w niej nie widać kapłanki — Bogini! —
Gdzież ona? — mogłaż rzucić ją w tęj porze,
Gdy taka noc, wiatr taki, i burza na dworze? —

VI.

W szacie czarniejszej niż tej nocy cienie,
(Żadna z cór gminu równiej nie używa),
Którą ramiona i pierś swą okrywa,
Pierś, Selimowi droższą nad zbawienie:
Po krętych ścieżkach, krzewami zarosłych,
Drżąc na świst wiatru, na szum drzew wyniosłych,
Co wkoło z skrzypem chylą się ku ziemi;
W ciemności, mgłami zwiększonej morskiemi,
Z wyteżonymi przed siebie oczyma,
Niepewnym krokiem szła obok Selima.
I chociaż serce do powrotu radzi,
Choć w niem złych przeczuć potłumić nie może:
Czyż go samego zostawi w tej porze?
Czyż się ma lękać, gdy on ją prowadzi?

VII.

Doszli do groty, którą w łonie skały
Sztuka z naturą wspólnie wykowały;
Gdzie nieraz w chwilach wieczornych lub rannych,
Lub w skwar świeżego szukając powiewu,
Słuchała morza harmonii szklanych,
Lub głos swój lutni budziła do śpiewu;
Albo się ucząc z Koranu miejsc świętych,
W marzeniach, wiary prostotą natchniętych,

Roiła obraz rozkoszy niezmiernych,
Jakie raj przyszły gotuje dla wiernych.—
Gdzie duszom niewiast przybytek oznaczył,
Prorok im o tém powiedziec nie raczył;
Lecz jeśli Selim miejsce w nim otrzyma,
Czyż raj ten byłby rajem dla Selima,
Czyżby go przyjął, i w nim się weselił,
Gdyby z nią jego rozkoszy nie dzielił?...—
Jestże Huryska, któraby zdołała
Kochać go tyle—jak ona kochała?—

VIII.

Od ostatniego niewidzenia grotty
Zda się w niej jakąś postrzegać odmianę:
Może to ciemność odmienia przedmioty,
Przy świetle tylko dnia dotąd widziane?—
Z wpeł przygasłego na środku ogniska,
Mdłe ledwo światło na ściany odbłyska.
Patrzy ciekawie; — lecz czegoż tak zbladła?—
Na dziwny widok źrenica jęj padła!
W głębi stos broni! — nie broń Muzułmanów!
Zamiast janczarek, łuków, ataganów,
Znać strzelbę obcą z kształtu i oprawy!
Proste pałasze — przebóg! jeden krwawy!—
Blask się od niego odbija czerwono.—
Na stole widzi czarę postawioną,
Ach! nie sorbetem zda się napełnioną!...—
Strach ją ogarnął—chce pytać Selima,
Zwraca się—Onże to przed jęj oczyma? —

IX.

Szat swych zasłonę, rzucił na stronę —
Na skroniach jego, zamiast turbanu,
Szał okręcony, jak krew czerwony,
Dwóma końcami zwisa do stanu.
W pasie z rzemienia, z obojój strony,
Zamiast nagłowa złotych sztyletów,
Zdobnych w kamienie godne korony,
Błyszczy żelazo dwóch pistoletów.
U boku prosty miecz przypasany;
Z ramienia krótki, w fałdy zebrany,
Z rozwieszonemi na dół wyloty,
Powiewa śnieżny płaszcz Kandyoty.
Na piersiach kaftan — lecz z pod kaftana,
W srebrzyste łuszczyki zręcznie łamana,
Zbroja od pasa sięga kolana;
Dalsza w poziomém świetle ogniska,
Greckim koturnem stopa połyska. —
Gdyby nie wyraz oczu i twarzy,
Gdyby nie ogień, co się w nich żarzy,
Rzekłbyś, że prosty Galjongi Grecki ⁵⁾
Lub że na lądzie Arnaut zbojecki.

X.

„Widzisz! — nie jestem, czém się być zdawałem! —
„A teraz mojej posłuchaj powieści! —
„Jeżeli smutna — nie ja ją pisałem
„Ogniem mych wstydów i łzami boleści;

„Moja rzecz tylko—prawdę jęj okazać,
„I krwią mych wrogów dopisać—i zmasać!—
„Tyś pierwsza na jęj słuchaczkę wybrana.—
„Przysięgłaś nie być małżonką Osmana;
„Lecz gdyby usta tve dziś nie zdradziły
„Tajemnic serca, jak ci jestem miły:
„I jabym strasznych nie rozwarł skrytości.—
„Nie bierz słów moich za dowód miłości!—
„Nie!—jać jęj czynem dowiodę w potrzebie,
„Życiem dla ciebie, lub śmiercią za ciebie!—
„Tyś mi przysięgła nawzajem—dość na tęp!—
„Ja—ja, Zulejko!—nie jestem twym bratem!“—

XI.

—„Ty nie mym bratem?—Boże!—O! ja biedna!...—
„Lecz nie!—ty możesz...—jeszcze czas zaprzeczyć!...—
„Milczysz?—Więc mamże pozostać tak jedna,
„I żyć, by płakać—bo nie śmiem złorzeczyć—
„Że się sierota na świat narodziłam?...—
„Ale się zlituj nad niedolą moją!
„Mnie pozwól zostać przynamniej czém byłam,
„Siostrą, Zulejką, przyjaciółką twoją!...—
„Lecz ty mię kochać nie zechcesz już dłużej!—
„Zdawna mi serce coś jakby śmierć wróży.—
„Może ty nawet masz zemsty zamiary?
„Może mię zabić chcesz śród tęp pieczary?—
„Ach! dobrze! zbij!—lepiej raz być w grobie,
„Niż żyć tak obcą, nienawistną tobie!...—
„Ach tak!—bo teraz pojmuję dla czego
„Giaffir zawsze był z tobą tak ostry:

„On cię obraził— a jam dziecię jego! —
„Nie! ty nie możesz kochać mię jak siostry.
„Ale miej litość nad biedną dziewicą!
„Pozwól przy sobie być choć niewolnicą!“ —

XII.

— „Ty niewolnicą?— O! nie! mnie to raczěj
„Twym niewolnikiem pozostać na wieki!—
„Ale pohamuj ten zapęd rozpaczy!
„Knę się na świętość Medyny i Mekki,
„Nikt cię, nikt z mojej nie wydrze opieki! —
„I niech tak święty tekst na mém żelazie ⁶⁾,
„Na twą obronę, w niebezpiecznym razie,
„Ramieniu memu dodaje potęgi —
„Jak ja těj święcie dochowam przysięgi!—
„Tak! bądź spokojna!—choć odmieniam imię.
„Które tak było sercu twemu drogiem,
„Miłości brata nie tracisz w Selimie.
„Choć ojca twego zwać muszę mym wrogiem,
„Bliższe, niż myślisz, łączą nas ogniwa:—
„Słuchaj, i zadrzyj!— bo powieść straszliwa.
„Abdalla było imię mego ojca —
„Giaffir jego brat—i bratobójca!—
„Brat zajął bratu potęgi—i zabił,
„By urząd jego i skarby zagrabił!
„Lecz mnie sierotą zrobiwszy w powiciu,
„Mnie—nie wiem czemu—zostawił przy życiu,
„I dotąd zdradą uwodząc nikczemnie —
„Czegóż prócz zdrady ma czekać odemnie?—

„Kazał mi zwać się—i sam zwał mię synem,
„Fałsz słowa każdym okazując czynem.
„Strzegł mię—jak gdyby potomka Kaima ⁸⁾,
„Lub jak lwię młode, co kto w klatce trzyma,
„Upokorzeniem gnębiąc siłę ducha,
„By ją uczuwszy nie zerwał łańcucha!—
„Krew ojca mego wre we mnie, i woła
„O pomstę w duszy, jakby głos Anioła!
„Mógłbym się pomścić—lecz uśmierz twą trwogę! —
„Dla ciebiem wszystko przebaczyć gotowy,
„Wszystko—krew ojca, i moje okowy —
„Lecz już w nich dłużej pozostać nie mogę.
„Nie!—Lecz wprzód słuchaj!—choć w brew twój boleści,
„Muszędo kończyć ciąg strasznój powieści.—

XIII.

„Zkąd się w nich bratnia zawzięła nienawiść?
„Co ją zrodziło?—łakomstwo czy zawiść?
„Nie wiem;—lecz często pożar nieprzyjaźni,
„W gwałtownych sercach, lada skra rozdrażni.—
„Abdalla w meztwie nie znalazł równego.
„W Bośni dotąd brzmi sława dzieł jego,
„Gdzie mieczem jego zwycięzko ścigana,
„Pierzchała przed nim dzicz Oglu-Paswana.—
„Lecz o tém z inąd możesz się dowiedzieć —
„Śmierć tylko jego ja muszę powiedzieć,
„I jak to rodu mojego odkrycie,
„Dało mi wolność—choć zatrulo życie.

XIV.

Gdy Paswan-Oglu, z buntownemi tłumy ⁸⁾,
Naprzód z obawy śmierci, potem z dumy,
Wszczął bój z Padyszą: i po latach wielu
Morderczych bitew, bez skutku i celu,
Twierdze Widdinu owładał nareście:
Bracia Baszowie oblegli go w mieście.
Równi znaczeniem i z władzą podobną,
Każdy swém wojskiem dowodził osobno.—
Z dwóch stron do szturmku iść miały ich rotę;
Już obu wojskom plac bitwy wskazano,
Dla obu wodzów rozbito namioty:
Lecz ach! napróżno Abdallę czekano! —
Cóż mówić więcej? — Puchar z ręki brata,
Z jadem ukrytym, jak myśl jego serca,
Posłał Abdallę do lepszego świata —
Dóbr tego tylko zazdrościł morderca! —
Abdalla nie czuł podejrzeń bojaźni,
Znać że o bratniej nie wątpił przyjaźni.
I gdy po łowach, po dniu skwarnej spieki,
Wieczorem w łaźni orzeźwiał się z znoju;
Brat przysłał czarę chłodnego napoju —
Skosztował kroplę — i zasnął na wieki! — ⁹⁾
Jeśli ci trudno zawierzyć mej mowie —
Spytaj Haruna! — on świadek! on powie! —

XV.

„Czyn raz spełniony — i władza Paswana
Zachwiana z gruntu, choć niepokonana: —

- „Urząd, paszalik, i skarby Abdalli,
„Mordercy brata, jak bratu oddali!..—
„Nie wiesz, co w naszym Dywanie niecnota
„Dokaże mocą intrygi i złota!—
„Wprawdzie zbyt drogo tę łaskę opłacił:
„Rozsypał wszystko, czém go mord zbogacił —
„Ale wnet umiał odzyskać, co stracił!—
„Jak? spytasz może!— Patrz na te pustynie,
„Patrz na te ludy konające z nędzy!
„Z krwi, z łez ich tyran ładuje w swe skrzynie
„Stosy klejnotów i wory pieniędzy! —
„Ale dla czego mnie życie ocalił?
„Czemu nie wygnał? z ócz swych nie oddalił?...
„Nie wiem—i nawet zgadywać daremnie. —
„Może zgryzota dręcząca tajemnie:
„Może nadzieja przebaczenia winie,
„Gdy krzywdę ojca poprawi na synie,
„I wzięte jemu, mnie wróci bogactwa:
„Może cel jaki, lub powód dziwaactwa,
„Złączone z małym wazeniem méj siły,
„Uśpiły bojaźń, i mnie ocaliły:—
„Nie wiem.—Lecz przyszedł dzień zdawna żądany.
„Że nas łączące czas zerwać kajdany!
„Mściciela we mnie czuć musi zabójca —
„I ja nie mogę przebaczyć krwi ojca!—

XVI.

- „W pałacu jego, wśród haremu progów,
„Z między tych nawet, z którymi chleb łamie,

„Znam wielu tajnych Giaffira wrogów:
„Mógłbym do zemsty uzbroić ich ramię.
„Dość bym rzekł słowo, i ród mój powierzył,
„Każdyby mieczem lub nożem uderzył. —
„Lecz Harun dotąd jeden wie, lub wiedział
„Te tajemnicę;—on mi ją powiedział —
„Nie dość—o prawdzie słów swoich przekonał. —
„Z młodu w pałacu Abdalli sprawował
„Ten co tu urząd.—Harun mię wychował,
„Kochał Abdallę—widział go, gdy konał!—
„Lecz cóż mógł biedny niewolnik poradzić? —
„Zemścić się pana?—czyn już był spełniony.
„Czy mnie ocalić, chronić i prowadzić? —
„Wybrał ostatnie;—i gdy otoczony
„Niewolnikami, którzy przed nim drżeli,
„Lub pochlebcami, co łask jego chcieli,
„Giaffir łupy rozdzielał zbrodnicze:
„Przyniósł mię dzieckiem przed jego oblicze.
„I nie napróżno znać że się domagał
„Łaski, o którą na kolanach błagał.
„Przysięgą tylko związał się wzajemną,
„Kryć mnie przed światem, i ród mój przedemną.—
„Wkrótce Giaffir paszalik swój zmienił,
„I z Rumilii, z nad brzegów Dunaju,
„Gdy ją swém zdzierstwem wyssał i wyplenił,
„Jak sęp przeleciał do świeżego kraju,
„Tu, gdzie jesteśmy—w ten ogród rozkoszy,
„Co go dziś własny lud klnie, on pustoszy!—
„Sam Harun, z dawnéj niewolników zgrai,
„Przybył z nim tutaj—zyskał ufność pana:

„Widząc, jak święcie tajemnicę tai,
„Przestał się lękać że mu była znana. —
„Lecz tajemnica zbrodniarza i zbrodni,
„Cięży jak łańcuch na sercu człowieka;
„By się jój pozbyć, pory tylko czeka. —
„Skorom wzrósł—Harun uwolnił się od niej. —
„Tak Allah nieraz zbrodniarzom udziela
„Sług, wykonawców — nigdy przyjaciela.

XVII.

„Com rzekł, Zulejko! dziko razi uszy,
„Lecz dzikszą jeszcze być musi ma powieść.
„Nie radbym głębiej rozrzniać twój duszy,
„Ale ci muszę szczerości mój dowieść. —
„Widziałem drzenie, gdyś strój mój spostrzegła —
„Noszę go zdawna, długo muszę nosić!
„Ten, komuś dzisiaj na wiarę przysięgła,
„Co cię o trwałość przysięgi śmie prosić:
„Jest—hordą morskich korsarzów dowodzi!
„Bez praw—prócz miecza; bez domu—prócz łodzi:
„A których czyny, i o nich powieści,
„Nie są dla uszu i duszy niewieści! —
„Bronń tę co widzisz, ich dłoń tu przyniosła,
„Na znak mój blisko czekają ich wiosła:
„I na nich czeka ta czara na stole.
„Z niej krzepią męstwo—mniejsza! jakim płynem —
„Pijąc, nie pomną na Proroka wolę:—
„Ach! gdybyż tylko kalali się winem!

XVIII.

„Jestem ich wodzem;—czémże miałem zostać?
Gnębiony w domu niewolą i sromem,
Zniskąd pociechy niemogący dostać,
Wyśmiany, gdym jęj chciał szukać za domem:
W gnuśnej się nudzie młody wiek mój trwonił.
Giaffir miecza i konia mi wzbronił!
Choć nie raz—Allah! ty wiesz ile razy!—
W pełnym Dywanie śmiał tyran urągać,
Jakbym ja ostrza lękał się obrazy,
Lub nie miał siły wędzidła zawściągać!—
Na wojnę nawet brać z sobą nie raczył,
Na wieczną nicość, na wzgardę przeznaczyl,
Bym bez nadziei, bez siły, bez chwały,
Śród niewolników przegnuśniał wiek cały!
Gdy ty—ty! której przychylnosc i wdzięk,
Choć słabiąc duszę, słodziły jęj męki —
Na zamek Bruzy zasłana spokojny,
Gościć w nim zwykłaś do skończenia wojny!.. —
„Harun naówczas, widząc jak mię nękał,
Jak mię bezczynny każdy dzień przywalał,
Wzruszył się—kary, śmierci się nie lękał,
Więźniowi użyć swobody pozwalał;
Puszczał samego—ufny memu słowu,
Że wprzód niż Basza—w pęta wrócę znowu. —
„Próżnoby mówić, com czuł, com doświadczył,
Gdym po raz pierwszy na wolnym przestworze,
Wolném powietrzem odetchnął—obaczył
„Błękitne niebo i szerokie morze !

„Na wskrós ich dusza leciała jak strzała,
„Wszystkie ich cuda pojęła, zbadała!...
„Do czegoż wtedy nie czułym się zdolny?—
„Silny, szczęśliwy, równy Bogom—wolny!—
„Znikł z myśli obraz cierpień i katuszy—
„Świat—O! nie!—Niebo czułem w mojej duszy!

XIX.

„Harun naraił sternika Murzyna,
„Biegłego w sztuce, i wiernego panu.
„Ster nasz zwabiła wysp Greckich drużyna ¹⁰⁾ —
„Pas szmaragdowy szaty Oceanu!
„Każdą z kolei zwiedziłem tajemnie.
„Lecz gdzie—jak hordę spotkałem—i kiedy,
„Obrany wodzem, przysiągłem wzajemnie
„Żyć nim lub zginąć?—opowiem ci wtedy,
„Gdy wszystko dzisiaj zamierzone skończym,
„Odetchniem wolno, i z nimi się złączym.

XX.

„Wprawdzie, Zulejko! są to rozbójnicy,
„Równie w uczuciach, jak w zwyczajach dzieci;
„I każda wiara, i różne plemiona,
„Mają, lub mogą mieć wstęp do ich grona.
„Lecz dzielna ręka, i otwarta mowa,
„I dusza śmiała, na wszystko gotowa,
„Co na nic strachu nie spójrzy oczyma:
„I przyjaźń, którą jeden z drugim trzyma,

I wspólna ufność, i wierność bez skazy,
I posłuszeństwo na wodza rozkazy,
Ktoby mogły otworzyć im drogę
Do wyższych celów—niż ja wskazać mogę.
Wielu z nich nawet—a wszystkich zbadałem,
Znaczniejszych czucia lub myśli zapałem:
Chociaż do rady tych raczej przyzywam,
W kim większą Franków przebiegłość odkrywam;—
Wielu z nich nawet roi wyższe cele:
Sa to Greckiego Lambra przyjaciele ¹¹⁾.
Dusza ich, zamiast używać swobody,
Jakięj im żadne nie dadzą narody,
Niewolą tylko Grecyi zajęta:
I czy wkrąg masztu legną na pokładzie,
Czy wkrąg ogniska zasiądą w gromadzie,
Rozmowa zawsze: jak skruszyć jej pęta?
Jak wskrzesić z grobu ducha dawnych Greków,
I w krwi tyranów zmyć wstyd tylu wieków?...—
Pozwalam gwarzyć—i słucham zdaleka,
Jak rozprawiają o prawach człowieka,
I o wolności, której świat wygląda,
I o równości, której próżno żąda!...
Słucham z uśmiechem—i marzę sam w sobie.—
Ach! i ja kocham wolność—choć w różnym sposobie!—

„Obym mógł bujać, jak ów Patryarcha morza *),
„Lub koczować jak Tatar wśród pustyń przestworza ¹²⁾!

„Lekki namiot na brzegu, lotna łódź nad wody,
„Milsze mi są nad wszystkie pałace i grody.
„Na grzbiecie wzdętej fali, na dzikim rumaku,
„Na otchłaniach bez brzega, na stepach bez szlaku,
„Nie dbam gdzie wiatr popędzi, gdzie koń zwróci
[wodze —
„Ty tylko, gwiazdo moja! przyświecaj mój drodze!
„Ty, gołąbko pokoju! przodkuj mojej łodzi,
„I gałązkę oliwną przynieś z nad powodzi!
„Lub, gdy dla niej pokoju nie ma prócz rozbicia,
„Świeć mi przynajmniej tęczę w burzach tego życia!
„Promieniem, który pomrok nocnych chmur rozgania,
„I proroczo jutrzejsze zwiastuje zarania!

„Święte—jak Muezzina wołanie z wież Mekki,
„Na które ze czcią pielgrzym przykłęka daleki:
„Miłe—jak nota pieśni znana z lat dziecinnych,
„Wspomnieniem ich słodząca gorycz wszystkich in-
[nych:
„Drogie—jak wygnańcowi dźwięk ojezystej mowy,
„Będą mi wszystkie twoje słowa i rozmowy!
„Dla ciebie na tych wyspach wynajdę schronienie,
„Kwitnące, jako w nowo stworzonym Edenie ¹³);
„Tysiąc rąk, tysiąc piersi, tysiąc serc uzbroję,
„By cię strzegły, służyły na skinienia twoje!
„Na ich czele, przy tobie, zbiegłszy ląd czy morze,
„Łupy krajów i ludów u stóp twoich złożę!—
„Czyż się pieszczot haremu gnuśnych i jednakich,
„Zrzec nie warto dla trudów — dla rozkoszy takich?—

„Cóż, że patrząc w mą dołę, widzę — lecz nie blednę —
„Niebezpieczeństw tysiące — szczęście tylko jedno,
„Miłość twoję? — ach! ona wszystko mi nagradza!
„Niech mię los prześladowe, niech przyjaciel zdradza,
„Najczarniejszy mrok duszy ta myśl rozpromieni:
„Wszystko się odmieniło — Jój nic nie odmieni!“ —
„Niech tylko moc twa, mocy duszy mój dotrzyma,
„Niech twa miłość dorówna miłości Selima,
„Potrafić zdwoić rozkosz, smutek rozweselić,
„Pokonać, lub znieść wszystko — byle się nie dzielić! —
„Raz stargawszy me pęta, z przyjacióły memi,
„Bez trwogi wojnę całej wypowiemy ziemi,
„Wojnę ludziom! — bo wojna przeznaczeniem ludzi;
„Bo sama w nich natura żądze wojny budzi.
„Patrz! gdzie się nasycili łupem i rozbojem?
„Kraj zamienią w pustynię, i to zwa — pokojem!
„A jaż nie miałbym ufać mój sztuce lub sile? —
„Nie by ziemie zdobywać! — dość gdy jój mam tyle,
„Ile mi wkrąg potrzeba na zamach mój broni —
„Lecz by nie być ich łupem, muszę być jak oni! —
„Chcę władzy — nie co z trwogą przez niezgodę włada,
„Którój dwoistém berłem jest moc albo zdrada: —
„Nie! — ja w moc tylko ufam! — podstęp przyzwiem wręście
„Jeśli się kiedy w ludném zniewolniczym mieście.
„Tam to niebezpieczeństwo godne naszej trwogi!
„Tam twa nawetby dusza mogła zboczyć z drogi. —
„Ileż serc nierozdzielnych w niebezpieczeństw fali,
„Obłudnicy zwaśnili, zdrajcy rozerwali!
„A niewiasta im łacniej niżli mąż ulegnie. —
„Gdy los lub świat kochanka poniży i zegnie,

„Gdy szyderstwo lub potwarz utopią weń miecze:

„Trwożna o siebie próżność, wyprze się go, zrzecze,

„I wstydić się go będzie!—Precz te podejrzenia!

„Nie skażą one mojej Zulejki imienia! —

„Lecz życie jest grą losu!“ — Po cóż zwlekać dłużaj,

„Tu, gdzie nam nic wygranaj, wszystko zgubę wróży:

„Tak, zgubę! — czyż mi jutro nie masz być wyrwana

„Wyrokiem Giaffira, przemocą Osmana? —

„Lecz dziś jeszcze na wieki zbędzim tój obawy.

„Niech tylko wiatr swe skrzydła przypnie do mój nawy:

„Raz złączonych na zawsze, o cóż bojaźń wzruszy?

„Błądząc bez odpoczynku, pokój znajdziem w duszy.

„Przy tobie, silny w czynach, śmiały w przedsięwzię-

[ciach.

„Łąd, morze dla mnie jedno! — świat mój w twych obję-

[ciach! —

„O! niech wre wściekła fala, niech grom w maszty bije.

„Skoro ty mi tém tkliwiej rzucisz się na szyję! —

„Każda myśl, każde słowo, każde me westchnienie,

„Będzie tylko modlitwą za tve ocalenie!

„Najdziksza waśń żywiołów mniejszą trwożę wzbudzi.

„Niżbyśmy tu drzeć mieli przed przemocą ludzi:

„To skały, w pośród których nie ujdziem rozbicia:

„Tam chwile niebezpieczne — tu każdy dzień życia! —

„Precz złowrogie przecucia! — ta chwila rozstrzygnie

„Czy nas los wtrąci w przepaść, czy miłość podźwi-

[gnie?... —

„W niewielu słowach skończę powieść mojej doli,

„Twoje jedno — wnet z mocy wrogów nas wyzwoli.

„Tak! wrogów!—Czyż Giaffir nie jest wrogiem moim,
Lub Osman—co nas chciałby rozłączyć—nie twoim?”—

XXI.

Głowę Haruna by ustrzedz od kary,
Wróciłem na czas, wierny słowu memu;
Mało kto wiedział, nikt nie złamał wiary,
Zem się śmiał wykraść za progi haremu.
Odtąd choć zdala od wiernej gromady,
Rzadko omylić mogę czujne straże,
Wszystkie ich czyny, zamysły i rady,
Ja rozporządzam, kieruję i ważę:
Ja daję plany, ja wskazuję cele,
Ja godzę spory, i zdobycze dzielę —
Czas, bym sam wreście walczył na ich czele!—
„Skończyłem powieść.—Zulejko! czas nagli:
Łódź moja blisko — w chwili ją mieć mogę;
I wnet pod skrzydłem opiekuńczych żagli
Rzucim za sobą nienawiść i trwogę!
Jutro przybywa Osman—my tej nocy
Ujść ztąd musimy—lub uledez przemocy.—
Jeśli więc pragniesz oszczędzić krwi Beja,
Krwi droższej może—nie zwlekaj daremno!
W pośpiechu dla nas jedyna nadzieja:
Zulejko moja! bądź moja! pójdź ze mną!..—
Lecz jeśli słysząc tajemnic wyznanie,
Żałujesz przysięg wyrzeczonych z rana:
Zostań!—lecz wtedy i Selim zostanie —
„Ale cię żoną nie ujrzy Osmana!”—

XXII.

Rzekł—ona blada, bez ruchu i tchnienia,
Jako ów posąg i pomnik cierpienia,
Gdy wszystko tracąc, wszystko czując razem,
Matka z rozpaczy skamieniała głazem: —
W równej postawie i lica żałobie,
Stała i sercem podobna Niobie.
Lecz wprzód nim usty, nim nawet oczyma,
Wydać zdołała myśl—wyrok Selima:
Brzękły wrzeczadze u bramy ogrodu —
I z mrocznej głębi sklepionego wchodu,
Wybiegła jasność pochodni iskrząca;
Druga, i trzecia—i szereg bez końca!
W różne się strony rój ogniów rozlata:—
„Uchodź, mój! — ach! nie bracie! — lecz droższy od
brata!” —

Śród drzew, w ciemnościach, iskrzące czerwono,
Rozpierzchłe światła migają się, wioną:
Nie same światła;—w każdej prawej dłoni
Lśni od ich blasku ostrz dobytąj broni.
Dziela się, płaczą, zbiegają się razem,
Świecący ogniem, grożący żelazem.
Wśród nich Giaffir zżyma się i dąsa,
Miecz bratobójczy nad głową potrząsa.—
Już w głąb jaskini sięgają oczyma—
Maż ona stać się grobem dla Selima?—

XXIII.

On czekał śmiało:— „Co ma stać się, stanie!—
„Zulejko! uścisk i pocałowanie!
„Może ostatnie nasze pożegnanie!—
„Blisko gdzieś jednak łódź mych towarzyszy;
„Może da pomoc, gdy hasło posłyszysz!—
„I tak nas mało!—lecz ujrzym, co znaczy
„Złączona siła męztwa i rozpaczy!“—
Rzekł, i ku wyjściu groty skoczył śmiało.—
Echo wystrzału w powietrzu zagrzmiało.
Zulejka z żalu jak martwa opoka,
Ani zadrżała, ni zmrużyła oka!—
„Nie słyszą może — lub chociaż przybędą,
„Śmierci mej chyba mścić się tylko będą!—
„Strzał zwabił ku mnie nieprzyjaciół roje.—
„Teraz, mój mieczu, pokaż dzielność twoję!
„Ty ojca mego spuścizno jedyna,
„Dziś za krew jego daj pomstę dla syna! —
„Bądź zdrowa, luba!—uchodź! albo raczej
„Schroń się w głąb groty!—Chroń się! już są blisko.—
„Ojciec cię kocha, i wszystko przebaczy.—
„Chroń się! na krwawe nie patrz widowisko:
„By czasem kula zbłąkana lub strzała
„Niewinnej piersi za cel nie obrała! —
„Nie drzyj o Niego!—choć mego zabójca —
„Wolałbym zginać, niż ci wydrzeć ojca! —
„Nie!—choćby z mieczem sam na mnie nastawał,
„Choćby mi podłość na nowo zadawał!

„Ale się zgrai nie poddam tak snadnie —
„Prócz głowy Jego — każda inna spadnie!“ —

XXIV.

Skoczył ku morzu; — jak błysk piorunowy,
Miecz jego z pochew na powietrzu błysnął.
Drgająca głowa i tułów bez głowy
Padł mu pod nogi, z tłumu co się cisnął.
Padają drudzy — lecz nakształt mrowiska,
Ruchoma ciżba otacza go, ściska.
On w lewo, w prawo, tnąc ścieżkę krwawą,
Z falą już prawie spotyka się w biegu: —
O strzał już ledwo towarzysze z nawą —
Łódź bliżej jeszcze: — jak szybko, jak żwawo,
Z rozpaczłą siłą wiosłują do brzegu! —
Ach! chwila jeszcze — a zbawić go mogą!.. —
On już fal morskich dotyka się nogą —
Korsarze z czołna rzucają się w morze,
Z szablami w zębach, ze strzelbami w górze:
Zapamiętali, rozżarci, zajadli,
Już skaczą na brzeg — na bitwę przypadli... —
Ach! — Zemsta chyba teraz sił im doda! —
Krwia serca jego rumieni się woda.

XXV.

Sród kul, i mieczów, i grotów miotanych,
Bez ran, lub wcale nie czując zadanych,
Przedarł się Selim — i ku morskiej toni
Biegł spotkać odsiecz, lub ująć od pogoni.

Już wpław ku łodzi miał rzucić się bratniej,
Już podniósł ramię na zamach ostatni—
Czegóż się wstrzymał?—nieszczęsna przewłoka! —
Próżno w głąb groty chciał sięgnąć oczyma! —
Ta jedna chwila, ten jeden rzut oka,
Może go zgubić, lub w więzach zatrzyma! —
O! smutny dowód, jak serce człowieka
Trudno ostatniej pociechy się zrzeka!...—

U stóp się jego już fala rozpryska —
Pomoc tuż przed nim—już widna, już bliska!..—
Wtém razem wystrzał i głos zagrział srogi:
„Tak giną wszystkie Giaffira wrogi!“—
Czyj głos, czyj wystrzał? czyja, śród tak wielu,
Kula, zbyt bliska by chybić do celu,
Świsła w powietrzu, i plusła do fali?—
Twoja to, twoja, morderco Abdalli!
W mękach trucizny ojciec życie kończył;
Prędszą z nim śmiercią sierota się złączył!—
Wrząca krew pluszcząc wylewa się z rany,
Śnieżne nią wkoło zboczyły się piany.
On padł bez jęku — próżno usta ruszył,
Głos śmierć stłumiła, lub szum fal zagłuszył.

XXVI.

Ranek—wiatr w kłębach rozwiewa mgły nocne.—
Gdzież ślady bitwy, co tak krwawą była? —
Strzały, co echa budziły północne,
Groźby, błagania, jęki niepomocne,
Ścichły—dym opadł—krew woda obmyła—
Powietrze, morze spokojne.

Na piasku tylko gdzie niegdzie rzucone
Szczątki orężów, lub w nim wytłoczone,
W rozpacznej z wrogiem czy ze śmiercią walce,
Ślady stóp zbrojnych, i rąk krwawe palce,
Świadczą człowieka czyn — wojnę.

Z brzegu na wodzie — znać ledwo co zniosła —
Pływa pochodnia i łódka bez wiosła,
I dalej nieco, w zielska zaplątany,
Okryty pleśnią i morskimi piany,
Z falą się biały płaszcz wznosił:
Z rozrzuconemi na wodzie wyloty,
Zwykła Greckiego odzież Kandyoty —
Gdzież jest ten, który ją nosił? —
Widzisz tę plamę? — czerwona, straszliwa!
Morze jęć dotąd nie zmyło — nie zmywa!... —
Lecz kto chcesz płakać nad ciałem ofiary,
W kim los jęć litość ocuca:
Idź, kędy płócąc Sygejskie pieczary,
Podwodnym nurtem morze swe ciężary
Na brzegi Lemnu wyrzuca! —
Tam czarne ptaki nad swoją zdobyczą
Ciężkimi skrzydły podlatują, krzyczą,
Ilekróć fala, co ku brzegom dysze,
Leżącą na niej głową zakołysze;
Ilekróć, jakby strasząca ptastw chmury,
Stężała ręka, dłoń blada,
Z silniejszym wałem wzniesie się do góry,
I znów z nim razem opada!

Cóż ma obchodzić, czyli go w swém łonie
Ziemia pogrzebie, czy morze pochłonie?
Czy że szarpiące już go dzioby ptaków,
Pozbawią pastwy ryby lub robaków?...—
Jedynie serce, coby się krwawiło,
Jedynie oko, coby łzę wylało
Nad jego ciałem, lub jego mogiłą:
Serce to pękło, oko się zaćmiło,
Wprzód, niż śmierć jego ujrzało!—

XVI.

W haremie Giaffira płacz i narzekanie;
Oko niewiast zroszone, i mężczyzn twarz blada.—
Oczyż to okrzyk rozpaczy?
„Zulejko! córko moja!“—daremne wołanie!
Biada ci, tyranie, biada!
Ona ci nie odpowie—ha! i nie przebaczy!—

* * *

Zapóźno, oblubieńcze, przybywasz na gody!
Nie widziałeś—nie ujrzysz Narzeczonej wdzięków!—
Czyżeś nie słyszał, wjeżdżając w te grody,
Smutnych pieśni derwiszów i płaczennic jęków,
Że się przybliżasz tak śmieie?
Czyż te skupione przy bramach haremu
Tłumy niewieście:
Ta niewolników postać nieruchoma,
Z założonemi na piersiach rękoma:
Żal w mieście:
Nie dosyć jeszcze mówią sercu twemu,
Jakie cię czeka wesele? —

* * *

Pokój sercu dziewicy!—Allah twemu oku,
Duszy twój, najsroźszego oszczędził widoku:

Śmierci twojego Selima!—

W chwili, gdy z objąć twoich wydarł się, i w mroku
Znikł przed twojemi oczyma:

Rozpacz twe serce strętwiła.

On ci był wszystkiem!—szczęściem, nadzieją, i chluba;

Myśl że go tracisz, ustrzedz nie możesz przed zgubą:

Ta myśl—zabiła!

Usłyszano krzyk jeden—głośny, niedaleki —

Czyj?—On zgadł!—wstrzymał się chwilę;

Słucha—próżno!—Już wszystko ucichło—na wieki!—

Pokój dziewiczjéj duszy, i wczesnej mogile!

* * *

Szczęśliwaś!—jak kwiat w pełni rannego rozwicia,
Serce zwiędło—nie piło gorzkich mętów życia!

Ból ten—srogi, śmiertelny—był pierwszy, jedyny!

Nie doznałaś co gorycz żalu, wstydu, winy,

Pychy, zemsty, zgryzoty!—ach! ni tój katuszy,

Co jak wieczne szaleństwo wre w mózgu i w duszy:

Jak robak lęgnie w sercu, i na wskrós je wierci,

I nie śpiąc sam, nie daje zasnąć—prócz snem śmierci;

Każdą myślą, jak żądłem zatrutem kaleczy,

Obawia się ciemności, a światłu złorzeczy;

Jak ogień w suchém oku i we krwi się pali,

I aż w popiół obróci — wprzód się nie oddali!

* * *

Biada tobie, morderco! na dni i na lata,
W życiu, i w wieczności biada!—
Darmo tarzasz się w prochu, i sinemi usty
Klniesz siebie, i z przestraczem błagasz o odpusty —
Pokuta, rozpacz nie nada!
Dłoń, z której legł Abdalla, Selim — brat, syn brata —
Próżno będzie targała włos i szaty darła:
Zbrodni nie minie zapłata!
Chłuba twoja — rękojmia przyjaźni Osmana:
Godna, gdyby ją poznał, dzielić tron Sułtana —
Córka twoja — umarła!

* * *

Zgasła u wschodu gwiazda dziewiczej czystości,
Którą blask, noc twój chmurnej duszy rozweselał:
Jutrzienka twych nadziei, zorze twój starości! —
Któż ją zagasił? — Krew, którąś Ty przelał! —
Biada ojcu-zabójcy! tyranowi biada! —
Słyszysz ten okrzyk rozpaczy?
„Gdzie dziecię moje?“ — Echo mu „gdzie?“ — odpo-
wiada ¹⁴).
Ona mu nie odpowie — ha! i nie przebaczy! —

XVIII.

Między pomników i grobów tysiące,
Lśniących się spodem, gdy z boków i z góry,
Cyprysy mroczne, choć zieleniejące
Zimą i latem, ścielą cień ponury,
Jak myśl rzucona na groby:

Jest jedno miejsce—osobne, kwitnące,
Wiecznie zielone, rozweselające

Nawet te gaje żałoby.—

Tam jedna tylko, tchnąc samotną wonią,
Róża rozkwita—posepna i blada,
Rzekłbyś, rozpaczy zasadzona dłonią:
Tak mdła, tak słaba, że zda się wiatr lada

Liść jej po polu rozproszy;

Jednak choć wichher, choć burza się wścieka,
Kwiat jej trwa cało;—choć ręka człowieka,
Co wszystko piękne w tym kraju pustoszy,
Kwiat jej oberwie:—niepojęta władza,
Kwiat ten nazajutrz na nowo odradza:
Jakby duch jaki miał ją w swojej pieczy,
Który jej rany łzami niebios leczy,
I czarodziejską mocą swego śpiewu,
Co noc kwiat nowy wykołysz z krzewu! —

Nie dziw, że dotąd Helleńskie dziewice
Wierzą, że kwiat ten nie jest z tego świata,
Co mu ni szkodzić nie śmia nawałnice,
Ni szrony zimy, ani skwary lata:
On zawsze smutny, lecz piękny jak w maju,
Zdaje się tęsknić po kraju swym—raju.

Nad kwiatem co noc ptaszek jakiś śpiewa,
Ukryty w liściach pobliskiego drzewa:
Sam dotąd ludzkim okiem niedojrzany,
Lecz głos ma wdzięczny, jak Hurysek lutnie.
Nie jest to słowik w róży zakochany --
Słowik nie śpiewa tak czule, tak smutnie!

Ci którzy słyszą śpiew ten tajemniczy,
Doznają w duszy tak rzewnej słodyczy,
I czują w sercu taką tęskność tkliwą,
Jak gdyby czuli miłość nieszczęśliwą,
I choćby chcieli, łez wstrzymać nie mogą.
Lecz te łzy same, tak słodko im płyną,
Żal ten tak z żadną nie zmieszany trwogą,
Że się im zdaje rozkoszą jedyną:
Że się lękają promienia poranku,
Chcieliby słuchać, płakać bez przestanku —
Taki jest urok w tym śpiewie! —
Lecz skoro pierwszy świt niebo zapłoni,
Ptaszek, nie wiedzieć, znika, czy się chroni,
I śpiew zamilka na drzewie. —

Są nawet—może urok przysłyszenia —
(Lecz ci co czują, nie będą się śmieli),
Są którzy mówią, że śród jego pienia,
W najtkliwszej jego nócie dosłyszeli
Brzmienie Zulejki imienia ¹⁵)!
Bo dla niej zda się ten ptaszek tak śpiewa,
Z cyprysowego nad jej grobem drzewa;
Bo z jej to właśnie mogiły dziewiczej
Wykwita róży ów kwiat tajemniczy. —

Niegdyś kamienny grób stawiać jej chciano—
Lecz postawiony wieczorem—znikł rano.
Ni dłoń to ludzka, co go w nocnej porze,
Wyrwawszy z miejsca, przeniosła nad morze! —
Bo go tam właśnie ujrzano o świcie,
Gdzie Selim w boju dał za nią swe życie,

I z kąd go fale uniosłszy, zbawiły
Czei pogrzebowej i ziemskiej mogiły. —

I odtąd co noc, gdy księżyc lśni w górze,
Widać na białym pomnika marmurze,
Wspartą, jak gdyby dumającą z żalem,
Głowę czerwonym okręconą szalem.
Powieści o niej lud z trwogą powtarza,
I pomnik zowie „Węzłowym Korsarza.“ —
A na Zulejki mogile, jak pierwój,
Zakwitła róża—i kwitnie bez przerwy:
Smutna i blada—jak lice piękności,
Gdy słucha dziejów nieszczęsnej miłości!—

K O N I E C.

PRZYPISY AUTORA.



PIEŚŃ PIERWSZA.

1. Str. 94 wiersz 12. Zapominali o obecnej chwili
W rymach Sadego, i pieśniach Leili.

Sadi, jeden z najsławniejszych poetów perskich.—Leila i Mejnun, para kochanków, sławna na Wschodzie, jak w Europie Romeo i Julia, lub Abelard i Heloiza.

2. Str. 94 w. 13. Aż usłyszawszy głos bębna, postrzegłem:

W Turcyi uderzenie w bęben ogłasza wschód, południe i zachód słońca.

- Str. 97 w. 4. Giaur, pies pogański, Arab memu oku
Znośniejszy stokroć od jego widoku.

Turcy nienawidzą Arabów, którzy im w dziesięcioro odplacają się wzajemnością, więcej nawet niż chrześcijan. —

4. Str. 98 w. 21. Dusza, muzyka tchnąca z jej oblicza.

Wyrażenie to uległo zarzutom. Nie odpowiadając na nie krytykom „niemającym muzyki w duszy“ proszę tylko czytelnika, aby przypomniał w myśli na chwilę, rysy najpiękniejszej, jaką znał, kobiety. A jeśli wtenczas jeszcze nie zrozumie tego, co mój wiersz słabo wyraża, wyznaję, iż będę żałował nas obu.

W dziele „O Niemczech“ (Tom III roz. 10), napisaném przez kobietę, przewyższającą geniuszem kobiety wszystkich wieków, znajduje się bardzo wymowny ustęp, o podobieństwie zachodzącém między malarstwem a muzyką; i porównanie tych obu sztuk, wynikające z tegoż podobieństwa. Czyżby więc podobieństwo muzyki nie miało być większe z oryginałem jak z kopią? z kolorytem natury, jak sztuki? Wreście jest to rzecz, która się więcej daje czuć niż wyrazić. Jestem pewny, iż znajdzie się zawsze kilka osób, które to wyrażenie moje zrozumieją, a przynajmniej któreby zrozumiały, gdyby widziały twarz, której mówiąca harmonia tę myśl ni natchnęła. Wyrażenie to bowiem nie jest wzięte z wyobraźni; znalazłam je w mojej pamięci — w tém zwierciadle, które smutek rzuca o ziemię, a patrząc na jego szczytki, widzi w nich tylko pomnożone odbicie.

5. Str. 99 w. 18. Godna jest względu krew Kara-Osmana.

Karasman-Oglu, albo Kara Osman Oglu, jest najznakomitszym dzierżawcą dóbr ziemskich w Turcyi; a zarazem rządcą Magnezji. Timariotami zowią się ci, którzy niejako lennem prawem posiadają ziemię, z obowiązkiem służenia wojskowo. Służą pospolicie w jeździe, jako Spahi, i obowiązani są własnym kosztem uzbroić pewną liczbę żołnierzy, stosownie do rozciągłości posiadanej dzierżawy.

6. Str. 100 w. 7. My uczyć będziemy sułtańskie Tatary,
Jakiej nagrody warte takie dary.

Jesli Basza czuje się dosyć potężnym aby się oprzeć Sultanowi, rozkazuje pospolicie udusić posłańca, który mu rozkaz śmierci i stryczek przywozi. Niekiedy pięciu lub sześciu podobnych posłańców ginie jeden po drugim na rozkaz zbuntowanego Baszy. — Lecz jeśli przeciwnie Basza czuje się słabym, lub nieposłusznym okazać się nie chce, natenczas schyla głowę, całuje podpis Sultana, i pozwala się uduścić z pokorą. W r. 1810, wystawiono nad bramą Seraju,

głowy wielu razem Baszów, którzy podobnego losu doznali; a między innymi głowę Baszy Bagdadu, dzielnego młodzieńca, który po długim oporze przez zdradę nakoniec zamordowanym został.

7. Str. 101 w. 1. Trzykroć w dłoń klasnął.

Turcy klaszczą w dłonie wołając na sługi. Nie lubią trwonić próżno głosu, a dzwonek nie znają.

8. Str. 101 w. 2. Rzucił z rąk cybuch oprawny w klejnoty.

Cybuchy bogatych Turków, a często i same lulki, oprawne bywają w najdroższe kamienie. Munsztuczek jest tylko pospolicie z bursztynu.

9. Str. 101 w. 7. Sam Kislar-Aga na czele rzezanców.

Kislar-Aga jest to tytuł naczelnika czarnych stróżów Seraju. —

10. Str. 101 w. 16. To z koni twarde płatają turbany.

W Turcyi do wypróbowania szabel używają pospolicie złożonych w kilkoro wojłaków z pilści, albo też bardzo twardej turbanów; i żadna inna szabla, oprócz najlepszej tureckiej, nie zdoła ich przeciąć od razu. Walka na stępione dziryty, ulubione igrzysko jazdy tureckiej, przedstawia bardzo ożywiony i malowniczy widok.

11. Str. 101 w. 19. A wrzask ich „Ollah!” powietrze rozdziera.

„Ollah! Alla il Allah!” są to zwykle okrzyki Tureckie, któremi na lud milczący, zanadto szczerze szafują, zwłaszcza podczas walk na dziryty, na łowach, a najwięcej śród bitwy. Ożywienie Turków w otwartem polu, z powagą ich w izbie, przy lulce lub różańcu, zabawną wystawia sprzeczność.

12. Str. 103 w. 1. Słowik tę różę przysyła za posła.

Miłoszki słowika i róży, są ulubioném zmysleniem poetów wschodnich. —

13. Str. 104 w. 13. Nawet Azrael, on którego ramię.

Azrael. Anioł śmierci.

14. Str. 105 w. 20. Za wszystkie skarby pieczar Istakaru.

Mają to być zaklęte skarby Sułtanów, przed Adamem jeszcze żyjących. —

15. Str. 106 w. 10. Gorszego nadeń Egrippo nie wyda.

Egrippo; tak Turcy nazywają Negrepont. Według krajowego przysłowia, Turcy z Egrippo, Żydzi z Saloniki, a Grecy z Aten, są najgorszymi, każdy ze swego plemienia.

16. Str. 108 w. 24. Ach! Czokadera już widzę na drodze.

Czokader nazwisko sługi, poprzedzającego zwykle orszak znakomitych Turków. —

PIEŚŃ DRUGA.

1. Str. 113 w. 9. On, przed którym bił czołem Macedończyk młody.

Aleksander W. przed wyprawą do Persyi, zwiedził grób Achillesa, i uwieńczył laurem wystawiony przez siebie na cześć jego ołtarz. Naśladował go w tém Karakalla, cesarz Rzymski. Jest podanie, że ten ostatni otruł umyślnie przy-

zawieła swego Festusa, aby mieć powód ponowienia igrzysk, jakie niegdyś Achilles na cześć Patrokla wyprawił. Widziałem pasące się owce na grobach Esyeta i Antilocha; pierwszy z nich leży w środku równiny.

2. Str. 114 w. 4. Tu bursztynowe różańca kaliwa,
Z których woń cudna rozlewa się w ręku.

Różaniec turecki, zowie się w ich języku „Kombolojo;“ składające go ziarna bywają u bogatszych z drogich kamieni, albo z bursztynu, który potarty lub w ręku rozgrzany, wydaje z siebie wonność, nie mocną, ale przyjemną.—

3. Str. 114 w. 7. Z tekstem Koranu amulet jej święty.

Wiara w amulety, rznięte na drogich kamieniach lub w puszkach złotych zamknięte, jest dotąd powszechną na Wschodzie. Napis ich składa się z kilku wierszy Alkoranu. Noszą je zawieszane na szyi, lub zamiast bransoletek na ręku. Wiersze z drugiego rozdziału Alkoranu, opisujące własności Najwyższego, stanowią najskuteczniejsze amulety, i są najczęściej używane.

4. Str. 114 w. 12. I dalej nieco Alkoran otwarty,
Złotem barwnemi połyka się karty.

Wszystkie rękopisma wschodnie, a mianowicie Alkoran, ozdobione są z wielkim przepychem i zbytkiem. — Kobiety Greckie są pospolicie trzymane w zupełnej ciemności i niewiadomości; ale wiele młodych Turczynek odbiera bardzo staranne wychowanie; wprawdzie, nie mogące się równać z wychowaniem europejskich kobiet.

5. Str. 117 w. 20. Rzekłbyś że prosty Galjongi Grecki.

Galjongi. Majtek. Na flotaah tureckich majtkami są Grecy, żołnierzami Turcy. Ubiór Galjongich jest bardzo

malowniczy; widziałem w nim ieraz samego Kapudana Basza, który go nosił wychodząc *incognito*. — Nogi ich je-
nagie po kolana. — Opis obóvia i zbroi w tekście
jest podług stroju Arnautskiego rozbójnika, u którego mie-
szkałem w Morei; ma się rozumieć, że już był wtedy swojej
professyi zaniechał.

6. Str. 119 w. 10. I niech tak święty tekst na mém żelazie.

Na wszystkich prawie szablach tureckich znajdują się na-
pisy, czasem wyrażające tylko nazwisko robotnika lub miej-
sca gdzie były robione; ale częściej jeszcze jaki tekst z Ko-
ranu, wypisany literami złotemi.

7. Str. 120 w. 3. Strzegł mię, jak gdyby potomka Kaima.

Wiedzieć trzeba, że wszelkie alluzye tak do osób, jak
do wypadków w Starym Testamencie opisanych, równie są
powszechne u Muzułmanów, jak u Żydów. Turcy nawet
przechwalają się z tego, że wiedzą więcej o życiu Patryar-
chów, niż to, co nasze Pismo Święte o nich podaje; i nie
przystając na Adamie, mają szczegółowe biografie Patryar-
chów przed nim żyjących. — Salomon jest przez nich uwa-
żany jako największy mędrzec, mający nawet władzę nad
duchami; Mojżesz zaś, jako Prorok, niższy tylko od Chry-
stusa i Mahometa.

8. Str. 121 w. 1. Gdy Paswan-Oglu z buntownemi tłumy.

Paswan-Oglu, Basza Widdinu, pódniósł bunt przeciw Sul-
tanowi, i przez wiele lat zagrażał całej potędze Porty Otto-
mańskiej.

9. Str. 121 w. 22. Skosztował kropkę i zasnął na wieki.

W r. 1811 Giaffir Basza Scutari został otruty przez Al-
bańczyka Alego, sposobem opisanym w tekście. Trucizna

była w sorbecie, którym Muzułmani po wyjściu z łaźni ochładzać się zwykli. W kilka miesięcy po dokonanej zbrodni, Ali pojął w małżeństwo córkę zamordowanego przez siebie Giaffira.—

10. Str. 126 w. 9. Ster nasz zwabiła wysp greckich drużyna.

Turcy nie znają prawie innych wysp, oprócz Archipelagu Greckiego.

11. Str. 127 w. 10. Są to Greckiego Lambra przyjaciele.

Lambro Canzani, sławny naczelnik powstania Greckiego w 1789—90 r. Zawiedziony w nadziei wybicia się z pod tureckiego jarzma, został korsarzem, i długo był postrachem Turków, na Archipelagu. On i Riga, są dwaj najslawniejsi powstańcy Grecy, przed ostatecznym wybiciem się Grecyi.—

12. Str. 127 w. 23. Obym mógł bujać jak ów Patryarcha morza,
Lub koczować jak Tatar, wśród pustyni przestworza.

Noe.—Sposób życia koczujących Arabów, Tatarów i Turkomanów, opisany jest szczegółowo przez wszystkich podróżujących na Wschodzie, jako mający dla nich szczególniejszy powab. Młody jeden Francuz, renegat, opowiadał sam panu Chateaubriand, że ile razy, jako Farys, czwałował na koniu, sam jeden w pustyni, doświadczał zawsze niewypowiedzianej rozkoszy, która się do zachwytu zbliżała.

13. Str. 128 w. 18. Kwitnące jako w nowo stworzonym Edenie.

Januat al-Eden, tak się zowie raj Muzułmanów.

14. Str. 139 w. 18. Gdzie dziecię moje?—Echo mu „gdzie?“ odpowiada.

„Przyszedłem na miejsce urodzenia mojego, i zawołałem: Przyjaciele młodości mojej, gdzie są?—Echo odpowiedziało: „gdzie są?“ (Wyciąg z rękopismu arabskiego).

15. Str. 141 w. 19. Brzmienie Zulejki imienia.

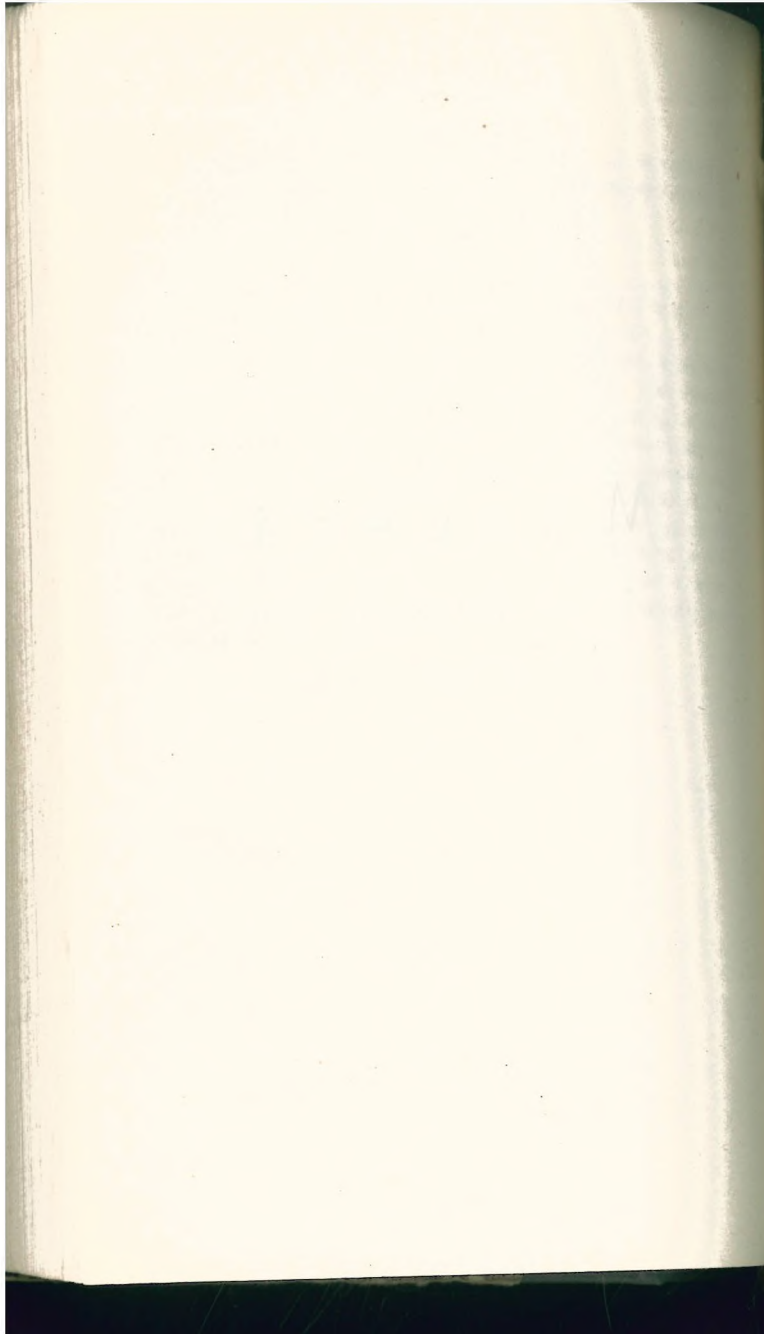
And airy tongues that syllable men's name. Milton.
(I powietrzne głosy, wymawiające imiona ludzi).

Mniemanie, że dusze umarłych przybierają niekiedy kształt ptaków, nie na samym tylko Wschodzie jest znane. Powieść o księżnie Kendal, wierzącej i przekonanej, że dusza Jerzego I, przylatywała do jej okna w postaci kruką; jako też wiele innych podobnych powieści, przekonują nas, że to mniemanie znajduje się i u nas (w Anglii).—Niejaka Lady Worcester, uroiwszy sobie, że dusza jej siostry przeszła w jakiegoś śpiewającego ptaka, całe swoje oratorium w kościele napełniła podobnemiż ptakami, zamkniętymi w klatkach. Ponieważ była to pani bogata i wiele na ozdobę kościoła łożyła, nie sprzeciwiano się jej dziwactwu.

M A Z E P P A.

POWIEŚĆ

LORDA BYRONA.



GUSTAWOWI HODENIUSOWI

NA PAMIĄTKĘ PRZYJAŹNI I MIŁYCH WIECZORÓW,

NA WSPÓLNÉM CZYTANIU POEZYI SPĘDZONYCH.

POŚWIĘCAM.

A. E. O.



DO CZYTELNIKA.

Podanie o Mazeppie, na którym się treść niniejszej powieści opiera, znane jest u nas powszechnie. Autor wziął je z historyi Karola XIIgo przez Woltera, który je za prawdziwe przytacza. Za takie też uchodziło i u nas, aż do czasów ogłoszenia znakomych Pamiętników Jana Chryzostoma Paska, z czasów Króla Jana Kazimierza, gdzie obok innych szczegółów, tyczących się piérwszej młodości Mazeppy i pobytu jego na dworze królewskim, znajduje się opis prawdziwego zdarzenia, które stało się powodem i wyjazdu Mazeppy na Ukrainę, i rozszerzonej o nim w kraju powieści. Porównanie rzeczywistój prawdy z poetycką fikcją podania, może tu ująć za ciekawą wskazówkę, jak się tworzą wszystkie tradycye gminne; to jest, jak poetycka wyobraźnia ludu, dopełniając i upiększając stopniami dany wypadek, nakoniec go całkiem przekształca.

Obszerniejsza wiadomość o dalszém polityczném życiu Mazeppy, jako naprzód Assauly, a potém Hetmana Kozaków, znajduje się w Atheneum z r. 1842, przez Aleksandra hr. Przezdzieckiego.

MAZEPPA.

I.

Było to wkrótce po dniu pod Póltawą,
Gdy los odstąpił Szwedzkiego Karola,
A wojsko jego z wstydem i niesławą,
Zaległo trupem, lub uciekło z pola.
Szczęście i chwała, jako ich czciciele,
Płochę w przemianach, w łaskach niestateczne,
Zastępom Piotra stanęły na czele,
I mury Moskwy znów stoją bezpieczne.
Aż znowu na nie, z straszliwszemi gromy
Nie przyjdzie burza: i w ich ognisk dymie
Nie zgaśnie, jako meteor znikomy,
Większa potęga, i sławniejsze imię *)!—
Groźna nauka dla ludów i tronów,
Cios dla jednego—wstrząśnienie milionów!

II.

Tak los zwykł igrać z wielkością człowieka.—
Karol raniony przed wrogiem ucieka,

*) Rok 1812.

Wczwał, dniem i nocą, po polach oblanych
Krwia swoją własną i swoich poddanych.
Bowiem tysiące poległy, ażeby
Króla z ostatniej ratować potrzeby:
Przecież głos żaden, w tylu ofiar tłumie,
Nie śmiał złorzeczyć poniżonej dumie;
Nikt się nie pomścił—choćby mógł bezkarnie
Słowem wyrzutu—za śmierć i męczarnie!

Koń jego poległ:—Gieta dał mu swego,
I na śmierć pewną został w miejscu jego.
Lecz i ten drugi, gnany bez wytchnienia,
Omdlał nakoniec, i padł z wysilenia.
I w głębi lasów—gdy wkoło na błoni
Świecą się ognie zwyciężkiej pogoni —
Król musi spocząć—pod cieniem jedliny,
Na suchych liściach: — toż-li są wawrzyny,
Co dla się z młodu polewał krwią ludów?
To-li spoczynek bohaterskich trudów?—

Skostniałe członki, krew zakrzepła w ranie,
Noc zimna, wietrzna—mrozące posłanie...
Sen, jedną ulgę dla myśli i ciała,
Krew gorączkowa z ócz mu odpychała.
Przecież, choć w mroku nie śledził go świadek,
Król po królewsku znosił swój upadek.
Pod moc swój woli podbijał cierpienia,
Jak niegdyś wrogi; a żal i westchnienia,
Milczały w jego łonie tajemniczym,
Jak niegdyś ludy przed jego obliczem.

III.

Z nim grono wodzów—o! jakże zmniejszone,
Od dnia, co dla nich miał być dniem zwycięstwa!
Lecz za toż serca w wierze doświadczone!

Los zmógł ich siłę, lecz nie zachwiał męztwa.
Smutni, w milczeniu, cugle dzierżąc w dłoni,
Każdy szerokim płaszczem obwinięty,

Siedzą przy królu, i obok swych koni.—
Nieszczęście zbliża człowieka z zwierzęty:
W niebezpieczeństwie, jeździec i koń jego

Są jakby bracią jeden dla drugiego.

Śród nich, Mazeppa, pod rozłożystemi
Gałęzmi dębu, na chropawej ziemi,
Słał sobie liście i drzewne konary.

Jak dąb ów silny, i ledwo mniej stary,
Hetman Kozaków—jak śród gromów wojny,
Śród burzy losu zimny i spokojny.—

Ale nim uległ, zwyczajem kozaka,
Opatrzył naprzód wiernego rumaka.

Otarł go burką, i głaszczał po grzywie,
Cieszył się, patrząc jak pasł się skwapliwie:

Bo nie był próżen tej jednej obawy,
Że jeść nie zechce zaroszonej trawy.

Lecz w tém koń-kozak był równy Mazeppie:

Dziki i chyży, jak wichur na stepie,
Mało dbał o to, czém wzmoże swe siły,

Byleby panu w potrzebie starczyły.

W skwary jak w mrozy, wytrwały do jazdy,
We mgle bez słońca, i w nocach bez gwiazdy,
Na krok w pustyni nie zbłądził do rana:
W tłumie tysięcy znał twarz swego pana,
I na głos jego, biegł doń pędem strzały,
I ślad w ślad za nim szedł choćby dzień cały.

VI.

Gdy tak koń paś się—Mazeppa tymczasem,
Wsparłszy o gałąź dzidy swojej drzewce,
Wyjął króćce zatknięte za pasem,
Spójrzył czy suchy był proch na panewce,
Czy ostre skałki, czy spust niezawodny.
Szablę swą potem otarł z rosy chłodnej,
Brzeszczot i pochwę; i z olster u siodła
Dobył chleb suchy i wodę ze źródła;
I jakby krajezy wśród dworskiej biesiady,
Obdzielał Króla i resztę gromady.

Król gwałtem uśmiech wymógłszy na czole,
By się zdać wyższym nad ból i niedolę,
Przyjął swój udział i rzekł:—„Wyznać trzeba,
Że choć nam wszystkim nie skąpiły Nieba
Sił i wytrwania: nikt z nas w tej pustyni,
Mniej nie rozprawia, a więcej nie czyni,
Jak ty, Mazeppo!—przykład twój co chwila,
Jak i twój zapas, nas wszystkich posila.
Od Aleksandra i od Bucefała,
Dzielniejszej pary ziemia nie widziała,
Jak ty i koń twój; a od przodków Scytów,
Godzienes jeźdźca najpiérwszych zaszczytów!“ —

A Hetman na to: „Strzeż Boże nauki,

„Jaka za młodu doszedłem tój sztuki!“ —

— „Czemu?“ — Król spytał — „twój przykład, Hetmanie,
Broni twych mistrzów przeciw twój naganie.“ —

— „Długoby o tém mówić“ — rzekł Mazepa —

A nie czas teraz; — noc mglista i ślepa

Pozwala spocząć, by jutrzejszą porą

Śpieszyć tém prędzej. — Wrogi nie za górą —

Na niebie widać ich ogniów odbłyśki.

Rano wstać trzeba; — a świat to nie blizki

Do brzegów Dniestru, nim rumaki nasze

Puścim swobodnie na turecką paszę! —

A więc, śpij Królu! — ja zastąpię strażę.“ —

— „Owszem“ — rzekł Karol — „proszę cię i każę,

Powiedz nam twoję tę powieść: a może,

Słuchając prędzej oczy do snu złożę —

Bo senność dotąd mych powiek nie klei.“ —

— „A! gdy rzecz o to: — w tój miłej nadziei —

Rzekł stary Hetman — „chętnie w mój pamięci

Odnowię przeciąg lat siedemdziesięci. —

„Mogłem mieć wtedy rok dwudziesty prawie.

Na dworze króla — Jana Kazimierza —

Siedem lat paziem przebyłem w Warszawie.

Był to Pan dobry: nie tak na rycerza,

Jako na mędrca; — jak niebo do ziemi

Z Waszą Królewską Mością! — Uczty, bale,

Książka, rozmowa z ludźmi uczonemi,

To jego rozkosz! — O wojennój chwale

Ani pomyślał; tém mniej o zaborach

Ziem i państw cudzych. — Prawda, że z swém jedném

Dość miał kłopotu!—Lecz w życiu powszedném,
Gdyby nie sejmy w ustawicznych sporach,
I gdyby w domu nie swarliwa żona,
Wiódlby dni miłe Króla Salomona.—
Lecz dwie te rzeczy—z dodaniem i trzeciej:
Zajść, skarg i dziwactw zawistnych piękności,
Co w kolej króla imały w swe sieci —
Truły mu rozkosz myśli i miłości.
Aż obmierziwszy blask świata i tronu,
Skończył dni w murach świętego zakonu.

„Ale to było potém:—za mych czasów
Król nie o fórtach rozmyślał klasztornych.
Zamek się pękał od ciągłych hałasów
Dziennych pijatyk i tańców wieczornych.
Co było wyższych z bogactw i zaszczytów,
Każdy rad nie rad kręcił się w tym wirze;
A żaki ze szkół Ojców Jezuitów.
Różnemi tony, na chropawej lirze,
Sławili cuda królewskich splendorów.
I tak ta wierszy mania uczona
Objęła wszystkich: dworzan, senatorów,
Mnie nawet w końcu; żem kilka wieczorów
Skandował żale czułego Damona!—
Djabła to warte!—A jednak bywało,
Kiedy się czasem z niechcienia, zniennaćka,
Przy teorbaniu dumkę zaśpiewało:
To jakby ogniem grała krew kozacka,
A i łez czasem popłynęły zdroje!—
Bo jak to mówią: gdzie bez kolców róże?

Gdzie człek bez troski? — a paż tak ma swoje,
Jak król i hetman. — Przy królewskim dworze,
Mieszkał w Warszawie jeden z kasztelanów.
Starosta starostw bez liku, pan z panów,
Możny, bogaty, jak mina Olkusza —
A przytęm dumna i pozioma dusza.
Zasługi przodków mniemając swojemi,
Na Ukrainie, w Litwie i Koronie,
W całym królestwie — ba! na całej ziemi,
Będził się piérwszym pomiędzy piérwszemi,
I tak się godnym czuł zasiąść na tronie,
Jak — jak, rzec prawdę — każdy z polskich panów. —
„Lecz co w obliczu nas młodszych dworzanów
Było przedmiotem i czei i zazdrości.
To żona jego: — cud, anioł piękności!
Ofiara dumnej rodziców przemocy,
Przy boku starca, jako dzień przy nocy,
Młodsza od niego lat najmnień trzycieści,
W pełni powabów i kraszy niewieścięj,
Wiodła dni w nudach i tajonych żalach.
I kto ją widział na ucztach i balach:
Blask jej klejnotów, i mgłę smutku w oczach,
Bładość w jej licach, i perły w warkoczach:
Równać ją musiał do królowej sadu,
Gdy wędnie zgięta pod ziarnami gradu.

V.

„Ja byłem wtedy — dziś to bez przechwałek
Powiedzieć mogę, gdy trzy ćwierci wieku

Dźwigam na barkach;—byłem tęgi śmiałek.
Syn Ukrainy, nie kąpany w mleku,
Z odwagą w sercu, a próżnością w głowie,
Żywy, wesoły:—nikt w czynie ni słowie,
Czy to z paniątek, czy ze szlachty braci,
Nie śmiał tak bardzo zająć w drogę Mazeppie!—
Gładkość też lica i giętkość postaci.
Nim je wiatr zwarzył i schylił na stepie,
Inaksze były niż dziś;—i na czole,
Nim je zorały losu nawałnice,
Była moc duszy; i oczy sokole
Umiały ogniem sypać na dziewice!—
Wszystko to przeszło!— prócz tój jednej mocy
Co choć już może nie błyszczy jak wprzódy,
Nie zgasła przecież:—gdy wam w takiój nocy
Jak dzisiaj, w lesie, śród wrogów przemocy.
Prawię me stare, miłośne przygody.—

„Lecz wracam do nich.—Piękność Izabelli—
To było imię żony Kasztelana.—
Zda się ją widzę—cała zda się w bieli,
Jak raz ostatni widziałem—ubrana,
Spływa z powietrza i staje przede mną!...
A jednak czuję, że chciałbym daremno
Opisać w słowach jój postać i lice,
A nadewszystko ten blask czarnych oczu,
Te pełne, duże, głębokie źrenice,
Co jak dwie gwiazdy w cichém wód przezroczu,
Zdały się pływać w strumieniu łez jasnych,
I topnieć we łzy—od promieni własnych!...

Całe w miłości—na poły w omdleniu,
Na poły w ogniu:—jakoby dwaj święci,
Co już na stosie płomieniem objęci,
Wzrok wznosząc w niebo, trwają w dziękczynieniu,
Jakby za rozkosz w śmierci i cierpieniu!—

„Czoło jój gładkie, jak przejrzysta woda,
Gdy się w niej letnia odbija pogoda,
A żaden powiew powierzchni nie zmaca,
A na dnie tylko blask nieba i słońca!—
Twarz jój i usta!...—Lecz co tu wyrazy?
Dość—jam ją kochał!—kocham jeszcze teraz!—
Dla niej to lata zniewagi, obrazy,
Zniosłem cierpliwie;—złorzeczyłem nieraz
Sobie, jój nigdy;—za nią, nie za siebie,
Ha! wziąłem pomstę:—i oby sąd w Niebie
Mnie karał za nią!—Czém w świecie i w sobie
Byłem i jestem—jój to wszystko dzieło!—
Serce Mazeppy twarde—lecz aż w grobie
Zagaśnie chyba, gdy raz zapłoneło.

VI.

„Jam kochał—wzdychał—spotykał ją w tłumie,
Milczał—a jednak czuł, że mię rozumie. —
Jest tysiąc tonów, tysiąc znaków myśli,
Co każdy pojmie, choć nikt nie określi.
Skry mimowolne wulkanicznej duszy,
Co z chmur jój uczuć, jój burz i katuszy,
Pryskają same—i jedna po drugiej,
Twarzą ów łańcuch tajemniczy, długi,
Co gdy raz tylko spoi duszę z duszą,
Już go na wieki razem dźwigać muszą,

A każde wzajem uczucie, myśl każda,
Przebiega po nim—jak piorun lub gwiazda!—
„Jam kochał—milczał—z bojaźni czy sromu?
Nie wiem;—i nawet, kiedym już w jej domu
Częstym był gościem: ilekolwiek razy
Chciałem przemówić—czułem jak wyrazy
Krzepły mi w ustach;—aż przyszła godzina!“

„Jest gra—nie pomnę nazwiska—dziecinna.
Prosta gra w karty;—do niej raz za stołem,
Nie wiem jak, z czego, zasiedliśmy społem.
Grałem nie myśląc;—ale być tak blisko
Tój, co się kocha!—twarz w twarz, oko w oku!
Każde jej tchnienie, każdy promień wzroku
Chwytać, i w jedno zlewać je ognisko!...
O! to jest rozkosz, za którą miliony
Przegraćby warto!—Myśmy o nic grali.
Lecz widząc wzajem jej wzrok zamyślony,
Jej twarz płonąca rumieńcem koralu:
I natężenie, z jakim się zdawała
Patrzeć na karty, choć nic nie widziała:
I długość czasu gry naszej, do której,
Tajemna, zda się, wiązała ją siła:—
To gdy postrzegłem—jakby piorun z góry,
Myśl nagła we mnie błysła—zaświeciła—
I z ust, i z oczu, serca tajemnica,
W łzach, iskrach, słowach, wybuchła zarazem!...—
Ona słuchała;—błędna jej żrenica
Utkwiła we mnie:—i choć nie wyrazem,
Odpowiedziała!—i od tej już chwili,
W sobieśmy tylko i dla siebie żyli.

VII.

„Kochałem—byłem kochany wzajemnie!—
Lecz jeśli prawda, co powszechne zdanie
Głosi o tobie, Najjaśniejszy Panie!
Że dotąd nie znasz co miłość;—daremnie
Byłoby kręślić dalsze mojej dzieje.
To. na co we mnie cała krew goreje,
W tobie pogardy może uśmiech wzbudzi.—
Ale cóż czynić?—nie każdemu z ludzi
Dano, jak tobie, woli majestatem
Umieć panować nad sobą i światem!—
Jam jest—lub raczej, jam też był hetmanem,
Królem tysięcy;—z sercem niezachwianem
Wiodłem je w ogień;—a przecież daremnie
Chciałem zmódz słabość natury człowieczej,
Zmódz serce moje!—Lecz wracam do rzeczy.

„Kochałem—byłem kochany wzajemnie!—
Były to chwile najszczęśliwsze w życiu!
Codzien ją mogłem widywać w ukryciu,
I żyłem tylko nadzieją téj chwili.
Czas, świat i ludzie stali mi się niczém:
Wschód mego słońca był przed jej obliczem,
Noc mojej duszy—gdyśmy się dzielili!... —
O! teraz jeszcze całą Ukrainę
Oddałbym chętnie za taką godzinę,
Za owe chwile—kiedy paż ubogi,
Na całym świata obszarze, nie miałem
Nie prócz jej serca—i nic mieć nie chciałem,
Prócz, bym ją częściej widywał bez trwogi! —

„Wiém, że jest wielu, w których tajemnica
Bronnej miłości, jój zapal podsyca.
Jam tego nie czuł;—nie było mi trzeba
Tych sztucznych podniet;—ja oddałbym życie,
By w obec świata, i ludzi, i Nieba,
Nazwać ją moją!—Przeczuwałem, zda się,
Co mię już w blizkim spotkać miało czasie,
Za to, zem tylko mógł kochać ją skrycie!—

VIII.

„Jak cień za szczęściem idzie ludzka zawisć.
W Warszawie, tłumy jój możnych czcicieli,
Szeptali o mnie, lecz wierzyć nie chcieli.
Jam drwił z ich dumy, nie dbał o nienawisć,
I latem za nią jechał na Podole.—
Tam tając imię, nieznany nikomu,
W cichym szlacheica ubogiego domu,
O miedzę z zamkiem mieszkałem przez pole.
Aż traf, czy zdrajca odkrył kroki moje.
I dnia jednego, w zbrojnych dworzan kole,
Kasztelan w gaju pojmał nas oboje.—

„O! widzieć było gniew pana i męża,
Gniew pychy jego!—Nie miałem oręża,
Lecz choćbym w zbroi był od stóp do głowy,
Musiałbym uleść tłuszczy i przemocy.—
Było to w czerwcu—już na schyłku nocy,
I nie sądziłem, bym ujrział dzień nowy!—
Zniskąd odsiecz, a sędzia we wrogu!—
Duszę więc w myślach polecivszy Bogu,

Czekałem śmiało mój śmierci wyroku,
I drżałem tylko o los Izabelli.—
Jaki był—nie wiem; wśród drzew, i w pomroku,
Widziałem tylko miganie się bieli
Szat i zasłony: gdy na wpół omdloną,
Szybko, na rękach, do zamku niesiono!—
Mąż został przy mnie—i jako złoczyńcę,
Kazał wieść w zamku zewnętrzne dziedzińce:
Kazał giestami—bo nie mógł już głosem,
Drząc cały z gniewu i pieniąc się wściekle.—
Król mógłby może pogodzić go z losem.
Ale paż!—Czułem, że rażon tym ciosem,
Kary dość dla mnie nie znalazłby w piekle!—

IX.

—„Konia tu! konia!“—spójrzę, aż prowadzą
Czarta nie konia!—czterech masztalerzy
Trzyma za uzdę—i rady nie dadzą.
Wspina się, parska, grzywa mu się jeży,
Żar iskrzy z oczu—z wściekłości i zgrozy.—
Dzień ledwo temu, jak wzięty ze stada,
Dziki syn stepów!—Przynoszą powrozy,
Do grzbietu jego wiąże mię gromada.
I nagle wszyscy, z przeraźliwym wrzaskiem,
Siekąc biczami i strasząc ich trzaskiem,
Zrozpaczonego puszczają na wolę.—
Wypadł za bramę:—wiatr, strumień wezbrany,
Grom nie tak szybki—jak on rozhukany,
Ze mną na grzbiecie, pomknął się przez pole.

X.

„Lecim i lecim—na oślepie, przed siebie,
Prosto jak strzała!—Brzask piérwszy na niebie
Posrebrza chmury, lecz jeszcze nie świeci.—
Noc, step przed nami!—koń leci i leci.
Tchu brak mi w piersiach, patrzę nieprzytomnie,
Wzrok mi się kręci:—i tylko wkoło mnie
Słyszę świst wiatru;—a ostatnie głosy,
Co długo za mną przeciągłemi echy,
Ścięgały w stepie i biły w niebiosy:
Były to wrzaski i szydercze śmiechy
Zgrai mych wrogów!—Co krwi we mnie było,
Zawrzała ogniem:—i z nadludzką siłą,
Targnąwszy głową, zerwałem ogniwo,
Co kark mój z końską zwiżywało grzywą,
I wstecz, jak mogąc, zwrócony pół ciałem,
Wzajem obelgi i klątwy miotałem.
Bezsilne klątwy!—ale i te może
Wiatr i pęd konia zagłuszył w ich uszach.
I to mię boli:—bo chciałem w téj porze
Ślad wzgardy mojej zostawić w ich duszach!—
„Potém—ha! potém!—nie próznemi słowy
Jam im odpłacił!—Podole i stepy
Pomną obrazę i zemstę Mazeppy!—
Ten gmach, te baszty, ten mur opasowy,
Co mógł uragać wojska oblężeniu —
Gdzież są?—nie został kamień na kamieniu;

Na polach jego nie rośnie źdźbło słomy;
Na gmach i pola spadł ogień Sodomy! —
Cegły, kamienie, w popiół się rozwiały:
W ognistych kroplach, jako deszcz obfity,
Stopniały dachów ołowiane szczyty,
Co go przed zemstą zakryć nie zdołały!... —

„Nikt z nich nie myślał o tym dniu odpłaty,
Gdy na grzbiet koński, jako martwe drewno,
Wiążąc mnie z wzdardą — i na zgubę pewną
Puściwszy — szydząc wznosili wiwaty! —
Nikt z nich nie myślał, że z téj saméj błoni,
Ten sam, na czele stu tysięcy koni,
I stu tysięcy dzid, szabel, mołojców,
Przyjdzie jak piorun — i nad głową zbójców,
Sprawiedliwości i zemsty zarazem,
Sąd czynić będzie — ogniem i żelazem!... —

„Bo czas nakoniec równa wszystkie rzeczy.
I byle umieć jak korzystać z pory,
Nie ma na świecie potęgi człowieczéj,
Coby ujsć mogła przed zemstą — do którój,
Bodźcem jest pamięć krzywd takich — a celem,
Tryumf przed światem nad nieprzyjacielem!

XI.

„Tymczasem daléj i daléj, bez toru,
Koń mój, jak wichur, jak błysk meteoru,
Leci i leci: — wsie, ziemia uprawna,
W tyle za nami zostały już zdawna.
Przed nami wkoło, jak oko zasięga,
Step równy, pusty — w końcu widnokręga,

Przeze mgłę tylko widać— że jak pasem,
Siny po bokach otoczony lasem.—
Niedawno jeszcze éma Krymskich Tatarow,
Wracając z Polski z jeńcami i łupem,
Dognana w pośród tych dzikich obszarów,
Przezeń ich wkoło zasłała swym trupem.
Oprócz ich mogił widzianych zdaleka,
Żadnego śladu, ni dzieła człowieka.—

„My lecim, lecim;— już przeszedł wschód słońca.
Lecz dzień pochmurny i cisza dusząca.
Słyszę świst w uszach — lecz nigdzie powiewu,
By nim choć westchnąć;— a koń chrapiąc z gniewu,
Leci i leci.— Mdłość głowy zawrotu
Owładła członki; zimne krople potu
Leją się ze mnie.— Chcę mówić modlitwy —
Próżno!— Koń leci;— myślę, że się znuży,
Że zwolni biegu; że takiój gonitwy
Nad dwie, trzy godzin, nie wytrzyma dłużej.
Próżne nadzieje!— ciężar ciała mego
Był niczem— owszem, był bodźcem dla niego.
A ruch mój każdy— skorom się odważał
Poruszyć na nim— czułem, jak pomnażał
Pęd, i strach jego, i gniew jego pychy.—
Probuję głosu:— słaby był i cichy:
Lecz na dźwięk pierwszy, jak rażony strzałem,
Koń drgnął, podskoczył, i z wściekłym zapałem
Pędził tém chyżej— i na każde słowo,
Wstrząsał się, jakby na trąbę bojową. —
Powrozy w ciało coraz głębiej grzeźły,
Aż krew pryskając zboczyła ich węzły;

A jakby ognia żywego płomienie,
Pierś mi i usta paliło pragnienie.

XII.

Las tuż przed nami:—od brzegu do brzegu,
Wszereż horyzontu step zda się przelega.
Las drzew odwiecznych, których nawet czoła
Huragan stepu uchylić nie zdoła.
Lecz te gdzie niegdzie:—a pomiędzy niemi,
Gęstwa zarośli z gałęzmi wiotkiami,
W całym bogactwie liści i zieleni
Siat swoich letnich:—nim wichur jesieni
Przyjdzie z za morza, i w dzikim poświście
Rozmiecie w stepie zecerwieniłe liście,
Gdzie już z pod szronów, przy słońca zabłyску,
Lśnią, jak krew skrzepła na pobojowisku,
Gdy je okrywszy cień nocy zimowój,
Posrebrzy mrozem niegrzebane głowy,
I tak je stwardni, że próżno dziób kruka,
Z dzwoniącym echem, w zmarzłe twarze stuka!—
„Była to ciemna, zielona dąbrowa
Młodszych zarośli:—dąb, sosna masztowa,
Z rzadka gdzie niegdzie:—o! i gdyby nie to,
Las tenby dla mnie ostatnią był metą!—
Lecz wiotkie krzewy, nie szarpiąc zbyt srodze,
Łatwo przed nami rozdały się w drodze.—
Zamknąłem oczy, ku grzywie przypadłem,
I więzom moim dzięki, że nie spadłem.—
Koń mknął jak piorun:—bo z tyłu gromadą,
Ścigało wilków rozjuszone stado.—

W stepie nas jeszcze zajrzeli przed lasem,
I zewsząd z wściekłym opadli hałasem.
Koń przez ich środek przeleciał jak strzała,
A ślad w ślad za nim biegła ruja cała. —

„Nie mogąć dójrzeć, z obudwu wciąż boków,
Słyszałem w lesie trzask, szelest ich kroków;
I czasem tylko przez krzewy cieniste
Migał grzbiet bury, lub oczy ogniste. —
Lecz gdy las rzednieć zaczynał ku błoni,
I coraz bliżej brzmiał cwał ich pogoni,
Podniósłszy głowę, spojrzełem z obawą. —
O strzał zaledwo pędzili się ławą,
Jak stado owiec, a chyżej niż charty! —
Tak czy tak, czułem, że śmierć mię nie minie;
Lecz iść na pastwę bestyi rozżartej —
Myśl ta straszliwa, w tej nawet godzinie,
Wszystkie me włosy zjeżyła na czole;
I wszystkie inne obawy i bole,
Umilkły przed nią. — Całe me nadzieje
Były z początku, że koń mój zwolnieje,
Że padnie w końcu; — teraz tylko o to
Drżałem, by nie padł; — i głosem, i ruchem,
Chciałem go, zda się, przeniknąć mym duchem,
I wzmódz mą siłą, i natchnąć ochotą.
By ujść przed rują! — Lecz strach mój był marny!
Koń, zda się, z trwogą, wziął i chyżość sarny.
I z mniejszym pędem, pieniać się fala,
Z porohów Dniepru, w dół z góry się zwała,
Jak on wciąż pędził w niepojętej sile —
Aż las i wilcy zostali się w tyle.

XIII.

„Lecim i lecim:—już blisko południa,
A krew mi ścięło jakby zimno grudnia,
I z nową mdłością przyszedł zawrót nowy.
Zwisłem w dół głową jak potok zimowy.
Brzemie mych cierpień złamało wytrwałość.
I gdy dziś jeszcze przypomnę ich całość:
Wstyd, wściekłość, rozpacz, strach i przerażenie,
Więzy i nagość, ból, głód i pragnienie,
I myśl o wrogach i mojej zniewadze:
Dziwię się własnej mocy i odwadze,
Żem zniósł to wszystko—a nie że na chwilę
Ciało duchowej nie sprostało sile.
Wzrok mi się zaćmił, a członki bezwładne
Zwisły ku ziemi;—zdało się, że spadnę,
Ale nie!—mocno trzymały powrozy.—
Czułem przez chwilę dreszcz śmiertelnej zgrozy.
Ale wnet pamięć, i myśl, i pojęcie,
W jednym się mglistym zmięszały odmiecie.
Step, ziemia, niebo, i ja z niemi społem,
Zdały się szybkim obracać się kołem:
Aż wzrok mój ciemna powłokła zasłona,
I w piersiach serca konwulsyjne drgania
Ustały nagle.—Człowiek co już kona,
Nie może mocniej czuć chwili skonania,
Jak jam czuł wtedy.—Jak żeglarz w rozbiciu,
Na kruchój desce, gdy hucząca fala

Niesie go, miota, głuszy i przywala,
W głąb szedłem zda się;—czułem żem był w życiu,
Lecz życie było jak sen gorączkowy,
Wątki, znikomy: a jednak się zdaje,
Że w nim przytłacza głąz ciężki, grobowy,
Co ni się ocknąć, ni spocząć nie daje.—
Jeśli przy śmierci są takie męczarnie,
Nie dziw, że przed nią natura się trwoży!—
Przy śmierci nawet może jeszcze gorzej,
Nim wieczność całkiem człowieka ogarnie.—
Mniejsza! jam wtedy raz już oczy moje
Oswoił z śmiercią—toć i znów oswoję.

XIV.

„Jak długo trwały te mdłości—nie zgadnę;
Myśl z ciałem były zarówno bezwładne.
Przytomność pierwsza wróciła.—Gdzież jestem?
Czuję chłód jakiś:—serce się porusza,
Krew uderzyła—ożywia się dusza:
Słuch jakimś dziwnym napełnion szelestem.
Otwieram oczy—oglądam się—ciemno!
Koń parska—słyszę—lecz czy koniec jazdy?
Nie czuję biegu.—Spójrzę, aż pode mną
Woda—i w wodzie niebiosa i gwiazdy!—
Zamknąłem—znowu otwieram powiekę:
To nie sen!—rumak mój płynie przez rzekę.—
Wzdęta i bystra!—a rozlana fala,
Przed i za nami połyska się zdala;
Głąb wre i szumi: a my wśród jej prądu
Do nieznanego sterujem się ładu.—

Chłód świeżej wody zbudził mię z omdlenia.—
Koi silną pierś porze nurt strumienia,
Parska—a piana, jak płachtami śniegu,
Posrebrza fale.— Dopływamy brzegu —
Lecz cóż port dla mnie za różnicę czyni?
Tamby śmierć w głębi, a tu śmierć w pustyni!
A gdzieby prędeż, i jak lżej umierać:
Anim pomyślał, anim mógł wybierać.

XV.

Zmokły, zziajany, z dymiącemi boki,
Trzesąc się z zimna, koi na brzeg wysoki
Wspiął się, wyskoczył.— Przed nami równina,
Jak w nocy zajrzeć, zamglona i sina,
I w lewo, w prawo, w mdłym świetle miesiąca,
Zda się gdzieś w przestrzeń przedłużać bez końca! —
My lecim, lecim.— Czasem w mgłę poziomą
Miga coś biało; czasem się coś czerni,
Jak drzew gromada;—byłyżby to domy?—
Nie dojrzeć pewnie nie da blask znikomy—
Lecz sąż to sady, czy zarośle cierni?
Bo nigdzie żadne światełko zdaleka,
Żaden głos zniskąd nie wróży człowieka.
Ognik się nawet nie zerwie z pod ziemi,
By choć urągać przed oczyma memi.
Blaskby mi jego nowój dodał siły!
Bo choćby nawet łudził mię — już dosyć
Byłoby dla mnie, gdybym mógł choć wnosić,
Bo już tu przecie są ludzkie mogiły!—

XVI.

„Lecim wciąż naprzód;—lecz coraz i coraz
Słabiej konia moc nieokrócona.

Robiąc bokami i piersią, raz po raz

Utknie—i zda się upadnie, i skona.

I znów się wzmaga.—Dzicię go w tój porze

Wstrzymaćby mogło!...—Cóż mi to pomoże?

Nie mam rąk wolnych—a choćby i były,

Może już na to nie miałbym dość siły!—

„Ostatek jednak wyteżam—azali

Nie zerwę więzów;—niestety! daremnie!

Powrozy tylko wpijają się we mnie,

I ból się zdwaja.—Koń dalej, i dalej,

Pędzi—lecz czuję, że chwieje się w pędzie,

Że musi upaść!—lecz cóż ze mną będzie?...—

A już od wschodu, u brzegu przestrzeni,

Piérwszy brzask świtu srebrzy się, rumieni —

Lecz jakże wschodzi powoli!

Jak tu noc długa! jak leniwe słońce!—

Wzywam go, czekam—jak mego obrońcę,

Jak kresu mojej niedoli!—

I już, już coraz jaśniej i czerwieniej

Wschód się zajmuje, i smugi promieni

Buchają na niebios sklepie;—

I wnet krąg tarczy, napoły widomy,

Wyrzał nad ziemię—i blask jój poziomy

Piorunem strzelił po stepie.

XVII.

„Słońce pogodne—i tuman kłębamii
Zwija się, wznosi;—przed nami, za nami,
Stepy, pustynia, równina jak morze!
Końca nie dójrzeć!—lecz w całym przestworze,
Nigdzie człowieka ni ręki, ni śladu.
Powietrze nawet bez głosu i ruchu:
Nigdzie śpiew ptaka, nigdzie brzęk owadu,
Szmer nawet wiatru nie ozwie się w uchu.
Cisza i martwość!—Koń milę po mili,
Dyszając, że zda się pierś pęknie co chwili,
Pędzi, i resztą tchu robi bokami.
A wciąż jesteśmy—lub zdajem się sami.—
„Wtém jedną razą, rozległ się po błoni
Głos jakiś cudzy:—czy to rzenie koni?
Czy wiatr w gałęziach widomój dąbrowy?—
Nie, nie! to tentent—to tabun stepowy!
Widzę już, widzę, jak całe ich stado
Z lasu na pole wybiegło gromadą,
I wczwał, na przełaj, zabiega nam drogę!—
Chciałbym zawołać—próbuję—nie mogę.—
Ziemia się wstrząsa od echa ich biegu.
Pędzą, jak jazda w bojowym szeregu.
Lecz gdzież są jeźdźcy?—Wglądam się zdaleka:
Koni jest z tysiąc—żadnego człowieka!—
Z grzywami na wiatr, podjąwszy ogony,
Chrupiąc nozdrzami, harcują w przegony.
Rzędy po rzędach, na stepów przestworzu,
Czernią się, huczą, jak fale na morzu,

I w całym pędzie mkną ku nam przez błonia. —
Widok ich, zda się, wzmógł moc mego konia.
Pomknął się, zarżał — i jak martwe brzemię.
Zachwiał się — zarył — i runął o ziemię.

„Z dymiącym nozdrzem, tocząc piany białe,
Leżał — i nogi wyciągał zmartwiałe.

Skończył swój zawód pierwszy i ostatni! —

Kołem go zewsząd obiegł orszak bratni.

Patrzą się na mnie — zbliżają się — stają,

Parskną — odskoczą — i znowu wracają;

Znać że się dziwią i boją zarazem. —

A wtém — jak gdyby za danym rozkazem,

Wszystkie za jednym — znać wodzem ich stada.

Czarnym, roślejszym niż cała gromada,

Chrapiąc, parskając, kopnęły z kopyta!

W chmurach kurzawy, co z pod nóg ich wzbita,

Z hukiem stu gromów, tłum w stopy ucieka,

Jakby z instynktu przed twarzą człowieka! —

„Jam został jeden — z rozpaczą w mej duszy,

Na martwym koniu, co już się nie ruszy,

I chcąc się z niego odwiązać daremnie! —

Chłód jego śmierci przenikał aż we mnie,

Razem ze straszną pewnością, że społem

Popiół mój z jego zmiesza się popiołem. —

XVIII.

„I tak od rana do późnego mroku,

Leżałem pastwą mych myśli natłoku;

Żyjąc jak na to, by okiem gasnącém

Z ostatniem mojem pożegnać się słońcem,

I zająć z niem razem—tylko że na wieki!—
Od wszelkiej ludzkiej pomocy daleki,
W samej pewności straszliwego losu
Znalazłem siłę na zniesienie ciosu,
Przed którym serce i natura ludzi
Truchleją równie;—choć ich już nie ludzi
Świat; chociaż mdlejąc od pracy i znoju,
Nie chcą innego szczęścia—prócz pokoju,
Którego, wiedzą, że nie ma na świecie,
Że w grobie tylko znaleźć go;—a przecie,
Tak drżą przed grobem, i mijają kołem,
Jakby grób tylko był zdradzieckim dołem,
Co go się ustrzedz i uniknąć można,
Byle roztropność i bacność ostrożna!—
I śmierć—choć nieraz zwana głosem jęku,
Nieraz szukana z krwawym mieczem w rękę,
Śmierć, gdy się zbliży—w jakąkolwiek porę—
Człowiek w niej zawsze obaczy potworę.

XIX.

„A jednak dziwna! że nieraz piastuny
Szczęścia, przepychu, zbytku i fortuny,
Co z wiecznym uśmiechem na czole i ustach,
Godują w świecie i toną w rozpustach,
Konają nieraz spokojniej i śmieliej,
Od tych, co tutaj nie prócz łez nie mieli!—
Bc człowiek w szczęściu, któremu niczego
Nie brakło nigdy, i który wszystkiego
Słodycz i gorycz poznał po kolei,
Cóż ma do żądy, i co do nadziei,

Prócz chyba przyszłych, niezmiennych radości,
Gdy mu je wiara zwiastuje w wieczności?
A bez nadziei i żądy, cóż znaczy
Życie na ziemi?—Nieszczęśnik inaczej.
Wtrącony w przepaść, z wszystkiego obrany.
On zawsze jakiś spodziewa się zmiany,
Ulgi, pociechy;—i choćby dlań w świecie
Śmierć była ulgą jedyną:—on przecie,
Widzi w niej wroga, który mu w zawięzi
Chce owoc szczęścia strząść z rajskiej gałęzi!—
Jutroby może był panem dostatku,
Otrząśł się z cierpień, podniósł się z upadku:
Jutroby pierwszym być mogło ogniwem,
W paśmie dni jego nowém i szczęśliwém,
Nagrodą długich i mąk i wytrwania;
Jutroby może dopiął panowania,
Władzy, potęgi; zawistnych prześcignął,
Starł nieprzyjaciół, przyjaciół podźwignął;
Od jutra może spodziewać się tyle —
Maż mu to jutro świtać na mogile?—

XX.

„Zachód już blisko:—jam leżał jak z rana,
Licząc minuty, aż śmierć pożądana
Przyjdzie ból skrócić i uspić na wieki.—
Przez gwałt ku niebu podniosłem powieki,
I na powietrzu, między mną a słońcem,
Ujrzałem kruka—jak skrzydłem świszczącym
Krażył i krakał:— zdało się, że czeka,
By razem z koniem mógł żreć krew człowieka.

I coraz, coraz spuszczać się niżej,
Coraz mię kołem oblatywał bliżej.
W zniierzchu, widziałem, jak wisiał nade mną,
Świszcząc skrzydłami; a gdy już wpół-ciemno
Było na stepie—raz tak blisko z góry
Smignął koło mnie—że szorstkimi pióry
Rozwiał mi włosy i omusnął skronie.
Byłbym go schwytał, gdyby wolne dłonie! —
Lecz samo drgnienie przestachu i zgrozy,
I skrzyp, co przez nie wydały powrozy,
I głos—jeżeli zwać głosem chrypanie,
Com ledwo z piersi wydobyć był w stanie—
Spłoszyły wreście krwiożercę. —
Co dalej—nie wiem;—tylko jeszcze jedno
Pomnę jak przez sen:—jakąś gwiazdkę błędną,
Jakieś światółko w iskierce:
Co gdzieś, daleko, przed mglistem spójrzeniem,
Migało bladym, niepewnym promieniem,
I przeświecało aż w serce.
I to, co w sobie w tój chwili doznałem,
Czując niksącą moc woli nad ciałem:
Jakąś mdłość, senność, lodowate mrowie,
Jakiś ból w sercu, jakieś iskry w głowie,
Coś nakształt trwogi dziecięcój:
Coś nakształt myśli, że to jest konanie;
I znów ból, zimno, konwulsyjne drganie,
Westchnienie—i już nic więcej!—

XXI.

„Budzę się—cóż to? czy jeszcze marzenie?
Czy wzrok mój ludzkie spotyka wejrzenie?—
Wkoło-ż mnie ściany wiejskiego mieszkania?
Toż-li węzłowie miękkiego pośłania?—
Jestże śmiertelnym, ten wzrok tak promienny,
Milszy mojemu od jasności dziennęj,
Co tak z czułością wpatruje się we mnie?—
Drzę, by się jeszcze nie ludzi daremnie.
Wyteżam oczy, poglądam ciekawie —
Nie! to nie mara!—nie! widzę na jawie.
Młoda dziewczica, kształtna i wysoka,
Siedzi opodal, nie spuszczać oka.
I gdy ujrzała żem odzyskał zmysły,
Czarne jęj oczy jak ogniem zabłysły,
I usta nagłym zadrgały uśmiechem. —
Powstawszy, ku mnie przybiegła z pośpiechem.
I widząc z ruchu ust moich, że chciałem
Przemówić do nięj, lecz głosu nie miałem:
Palcem na ustach, i wstrząsając głową,
Dała znak milczeć: bym niewczesną mową
Strzegł się nadużyć wracającęj siły,
Ażby się same powoli wzmocniły.
I rękę moję ujawszy swą dłońią,
Drugą węzłowie podniosła pod skronią,
I ledwo stopą dotykając ziemi,
Poszła na palcach, krokami prędkimi,
I stojąc w progu, przez drzwi w pół przemknione
Szeptala zeicha;—a słowa tłumione,

Rajskimi dźwięki grały w mojem uchu. —
Patrzałem na nią— a ona bez ruchu
Postawszy chwilę—gdy widać uspieni
Ci, których zwała:—wnet sama do sieni
Wyszła—lecz piérwój, wyraźniój niż słowy,
Twarzą i ręką dała mi znak nowy,
Bym był spokojny i czekał.—Gdy znikła,
Taka mię żałość objęła niezwykła,
Taka tęsknota:—że mi się zdawało,
Że życie za nią przez pół uleciało.

XXII.

„Wróciła z matką i ojcem kozakiem. —
Cóż mówić więcéj?—jako mię przed nocą,
Znaleźli w stepie z nieżywym rumakiem,
I z chrześcijańską śpiesząc się pomocą,
W dom swój przenieśli rękami własnymi —
Mnie—com miał kiedyś hetmanić nad niemi!—

„Tak ów okrutnik, co w swój zemście ślepój,
Chcąc zwiększyć boleść i męczarnie skonu,
Myślał, że na śmierć posłał mię na stepy,
Drogę mi tylko otworzył do tronu!—
Nikt z ludzi nie wie, co mu los przeznaczą—
Lecz téż niech żaden darmo nie rozpacza!
Co dziś złém zda się, na dobre wyjść może. —

„I byle prędzój ranne ujrzyć zorze,
I konie nasze pokrzepić noclegiem:
W czas staniem jeszcze nad Dniestrowym brzegiem!—

I wyznać muszę, że nigdy wśród spieki
Jeleń się chciwiej nie kwapił do rzeki,
Jak ja, by za nią ujsć wrogów przemocy. —
Lecz dość już bajać.—Bracia! dobrej nocy!“—

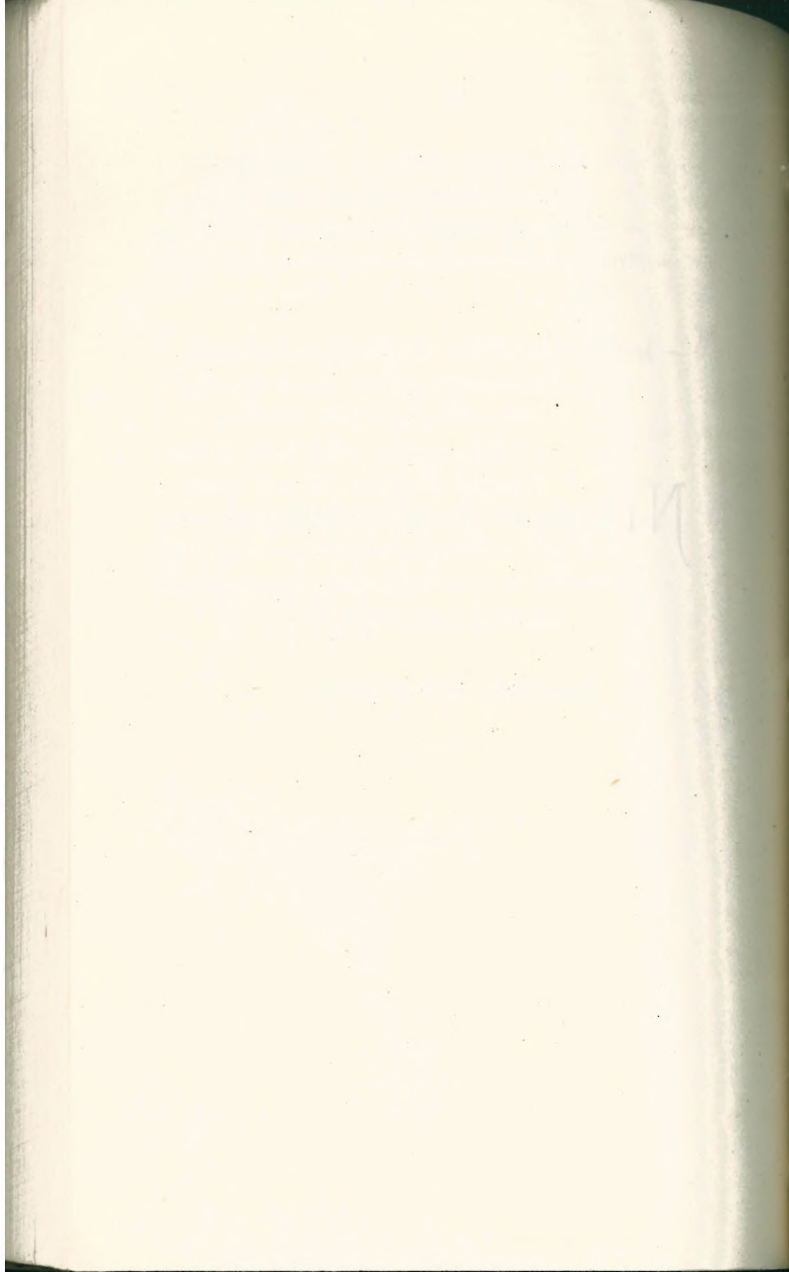
Skończył—i dłonią ku słuchaczom skinął —
Pogłaskał konia, burką się obwinał,
I na posłanie, dla niego nie nowe,
Legł, o pień dębu opierając głowę,
I zasnął wkrótce jak wśród Ukrainy.—
Lecz gdy się może dziwicie, dla czego
Król nic mu nie rzekł o powieści jego?
Przyczyna prosta!—Król spał od godziny.

K O N I E C .

NIEBO I ZIEMIA.

DRAMA LIRYCZNE

LORDA BYRONA.

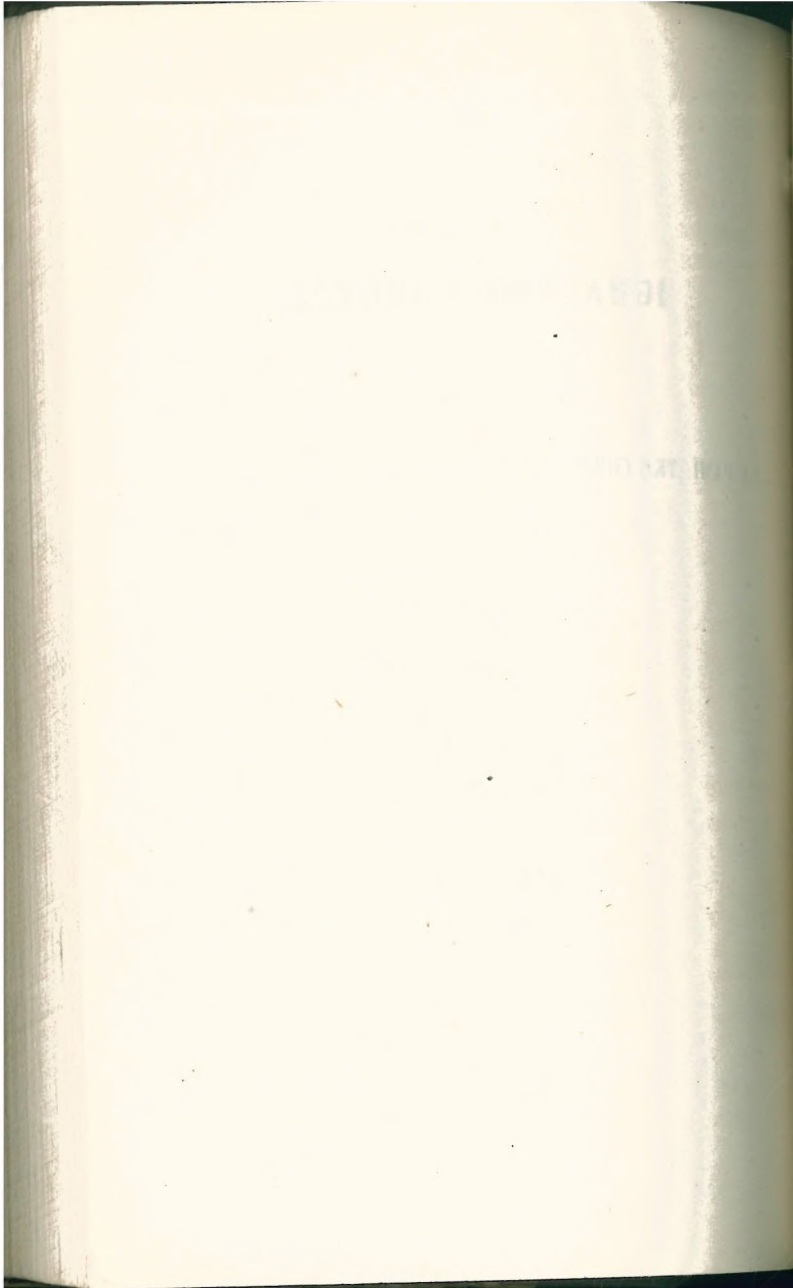


IGNACEMU CHODŹCE

NA PAMIĄTKĘ CHWIL TYLU, Z NIM I PRZEZ NIEGO MIŁYCH.

POŚWIĘCAM

A. E. O.



Treść niniejszego poematu oparta jest na następujących słowach Pisma Świętego, w księgach *Genesis*, w rozdziale VI.

„A gdy się ludzie poczęli rozmnażać na ziemi i zrodzili córki; widząc synowie Boży córki ludzkie iż były piękne, wzięli sobie żony ze wszystkich, które obrali.

„A olbrzymowie byli na ziemi w one dni.

„A widząc Bóg, że wiele było złości ludzkiej na ziemi, a wszystka myśl serca była napięta ku złemu po wszystkiek czas, rzekł: Wygładzę człowieka, którego stworzyłem, z obliczności ziemi. i t. d.“

Poema to liczone słusznie do najcelniejszych utworów swego autora, odznacza się nadto od wszystkich innych dzieł jego, oprócz może „Manfreda,“ osobnym stylem i tonem; i to jest, co mię zwłaszcza skłoniło, że je do tłumaczenia wybrałem. Nie wiem jak krytycy moi, nawykli zapewne do okrągłego toku wiersza i śpiewnego odbijania rymów, zniosą w niniejszym przekładzie różną nieco jego budowę, i ciągle prawie w dyalogu zacieranie się tychże. Nie sprzedając wcale ich sądu, winienem wszakże oświadczyć, iż jedno i drugie uważałem właśnie za główny warunek zachowania charakterystycznych cech oryginału.

OSOBY.

RAFAEL, Archanioł.

AZAZIEL, }
SAMIASA, } Aniołowie.

NOE.

SEM, }
JAFET, } Synowie jego.

IRAD, przyjaciół Jafeta.

ANAH, }
AHOLIBAMAH, } Siostry, z rodu Kaimitów.

Chór Duchów. — Chór Ludzi.

Rzecz dzieje się przed potopem.

SCENA I.

*Okolica górzysta i leśna w bliskości góry Araratu. —
Północ.*

Wchodzą ANAH I AHOLIBAMAH.

ANAH.

Ojciec nasz usnął;—siostró! oto pora
Gdy kochankowie nasi na obłokach
Zstępują ku nam!—Patrz, jak dziś ta góra
Nawisła mgłami! jaki szum w opokach!...
Serce mi bije.

AHOLIBAMAH.

Kolej dziś na ciebie,
Zacznij wezwanie!

ANAH.

Siostró! ja się trwożę.

AHOLIBAMAH.

Ja też—lecz tylko gdy myślę, że w Niebie
Moc jaka wyższa zatrzymać ich może.

ANAH.

Aholibamah, siostró moja droga!
Nie wiem dla czego głos się nie ośmiela
Wyjść z piersi moich;—niepojęta trwoga
Ziębi mię dreszczem.—Wiész, Azaziela
Jak kocham—siostró! kocham więcej może
Niż kochać wolno;—więcej niż—o! Boże!
Cożem rzec chciała?—jaka myśl bezbożna!...

AHOLIBAMAH.

W czém jest bezbożność?—Miałaby być zdrożna
Miłość Aniołów? —

ANAH.

Lecz jest głos, co woła
W głębi méj duszy: że mniej kocham Boga,
Odkąd ujrzałam blask jego Anioła!—
Nie! to nie dobrze!—nie! Aholibamah!
To nie jest dobrze!—i choć często sama
Nie wiem w czém grzeszę—ten strach źle mi wróży.

AHOLIBAMAH.

A więc dla czego masz się dręczyć dłużej
Związkiem z duchami?—raz jedno wybieraj!
Jafet cię kocha—kochał od lat wiele—
Idź zań! prządz, pracuj, ródź proch, i umieraj!

ANAH.

Nie!—jednak czuję, że Azaziela,
Choćby był równie śmiertelnym—ja przecie

Równiebym zawsze kochała!— choć lepiej,
Lepiej że nie jest;—nie będę na świecie
Płakała po nim!—Jak mię ta myśl krzepi!
I gdy pomyślę, że przyjdzie czas, kiedy
On nad mym grobem roztoczy swe skrzydła,
I będzie wiecznie pomniał o mnie:—wtedy
Śmierć traci dla mnie swą postać straszidła,
Chciałabym umrzeć—i tylko drzę o to,
Że końca jego nie będzie rozpaczy,
Że nieśmiertelną, jak on sam, tęsknotą
Trawić się musi wiecznie!

AHOLIBAMA.

Myśl więc raczej,
Że znajdzie drugą, którą, nim też skona,
Kochać jak ciebie będzie wiarołomnie.

ANA.

Niechby tak było! byleby go ona
Kochała wzajem:—wolę, niż by po mnie
Płakać miał wiecznie.

AHOLIBAMA.

Nie pojmuje ciebie!
Gdybym tak miała myśleć o kochanku,
Choćby sto razy był Aniołem w Niebie,
Dziśbym go jeszcze wzgardziła na wieki!—
Lecz śpiesz się, siostrze!—czuję woń poranku —
Śpiesz się z wezwaniem—dzień już niedaleki!

ANAH.

Serafinie!

W gwiazd krainie,

Gdzie bądź skrzydło twoje wionie:

Czy wesoły

Z Archanioły

Przy Wiecznego czuwasz tronie:

Czy w przestrzeni nieskończonój

Jasných światów miliony

Wiedziesz nynie:

Serafinie!

Ja cię wzywam:—usłysz w Niebie,

Pomyśl o mnie—ach! przynamnie:

Żem choć niczém jest dla ciebie,

Tys, Aniele, wszystkiém dla mnie!

Ty nie czujesz—ach! i oby

Nikt ich nie czuł, prócz mnie samój!—

Tych łez trwogi i żałoby,

Co tu ludzie wylewamy.

Tys syn chwały, co bez końca;

Twoja piękność—promień słońca,

Istność—duch nieskazitelny,

Niezrodzony, nieśmiertelny!—

Cóż równego znajdziesz we mnie,

Prócz miłości—co daremnie

Tłumiąc, czuję że zuchwała:

Jakiéj żadna z córek ziemi,

Ni doznała, ni oblała

Jak ja łzami rzewniejszemi?—

Tys stróż tronu TEGO, który,
Tak cię równie w blask swój odział,
Jak pomiędzy swemi twory
Mnie najlichszej łzy dał w podział!—
Cierpię jednak, i nie winię
Na me losy, Serafinie!
Bo ty kochasz mię—pocieszysz,
Usłyszysz mię, i pośpieszysz!—
Pośpiesz, pośpiesz! bo czas płynie—
Mnie, nie tobie, Serafinie!
Mnie nie tobie chwila droga,
W której sercu grzech i trwoga
W każdej chwili walczyć śmieją
Z mą miłością i nadzieją!—

Lecz przebacz jęk boleści!
Boleść jest żywioł ludzi.
Rozkosz u was się mieści,
Nas tylko sen jęć ludzi.—
Zstąp, zstąp! nimi czas upłynie,
Luby mój, Serafinie!
Rzuc gwiazdy!—gwiazdy w Niebie
Świecić mogą bez ciebie:—
Ja biedna, ja nie mogę
Żyć nawet;—łzy i trwogę
Twój chyba wzrok ukoi.—
Zstąp, zstąp! niech tve przybycie,
Chwilą wieczności twojej
Moje rozjaśni życie!

АНОЛІВАМАН.

Samiaso! gdzie bądź w górze
Dzierżysz władzę: czy gromami
Zbrojny, toczysz bój z duchami
Nieczystymi, co w oporze
Śmia się mierzyć z Niezrównanym?
Czy za światem obłąkanym
Pędzisz w pogoń: co w przestrzeni,
Za wskazany tór i krańce
Wybiegł, i sam, i mieszkańce,
Jak my na śmierć przeznaczeni,
Lecą w przepaść wiecznej zguby?
Czy to łącząc głos z Cheruby,
Których twoją gasisz krasą,
Śpiewasz Panu, co na Niebie?

Samiaso!

Wołam ciebie, czekam ciebie, kocham ciebie!—
Inni niech ci biją czołem,
Ja nie będę; — lecz jeżeli
Dość ci na tém — zstap! i społem
Duch twój z moim los niech dzieli!—

Chociam ja córka ziemi,
Ty syn promieni,
Jaśniejszych, niż któremi
Wschód się rumieni:

Nie możesz mi nic dać więcej
Prócz uczucia—ni goręcej
Czuć, jak czuję ja!—bo we mnie
Jest też promień, choć ukryty,

Lecz zatłony tam, z kąd i ty
Blask swój wzięłeś!—I daremnie
Śmierć, pierwszego grzechu córa,
Grozi mi: ja się nie trwożę,
Nie!—czuję w sobie moc, która
Zwalczy śmierć!—Śmierć nas nie może
Rozłączyć — bośmy oboje
Nieśmiertelni!— W mojej duszy
Czuję nieśmiertelność moją,
Potężniejszą od katuszy
Wszystkich trosk i cierpień ziemi;
W sercu mém, jak grom daleki,
Głos brzmi słowy proroczymi:
„Będziesz, musisz żyć na wieki!“—
Lecz czy w szczęściu?— nie wiem tego,
Ani chcę badać wyroku,
Co skrył w tajemnic obłoku
Źródła dobrego i złego. —
ON wie tylko, ON, co w Niebie!—
Lecz ON sam nawet nie może
Zniszczyć nas: ni mnie, ni ciebie!
Nie może—bo dał nam z Siebie
To, co wszelką moc przemoże:
Duch swój!— we mnie skazitelną,
Jak w NIM samym nieśmiertelny!—

Z tobą mogę bez bojaźni
Dzielić nawet wieczność kaźni,
Tak! boś ty się mógł ośmielić
Ze śmiertelną życie dzielić! —

I choćby mię zmije wkoło
Opasały:—choćbyś w zmiję
Ty się zmienił:—ja wesoło
Cierpiałabym, i na szyję
Twą upadłszy, sama w sobie
Śród mąk, czułabym rozkosze:
Że je za miłość ku tobie,
I razem z tobą ponoszę!—

Samiaso! wzywam ciebie,
Czekam cię!— Lecz jeśli mniemasz,
Więcej szczęścia doznać w Niebie,
Niż tu sprawisz, i otrzymasz—
Zostań!

ANAH.

Siostro! patrz do góry!
Co za nagły blask!

AHOLIBAMAH.

To oni!—
Pół nieba w zorzach się płoni!—
Widzę ich, jak po nad chmury
Jasnemi szybują pióry!...

ANAH.

Cóż, gdy ojciec blask zobaczy?

AHOLIBAMAH.

Pomyśli, że wschód księżyca,
Co na klątwe zaklinaczy
Wszedł dziś wcześnięj i przyświéca.

ANAH.

Patrz, patrz! już są blisko ziemi!

AHOLIBAMAH.

Śpieszmy!—obym skrzydła miała,
Na powietrzu jeszcze z niemi
Spotkać się!—

ANAH.

Co za wspaniała
Jasność! jak łuna szkarłatu
Nad zachodem gorejąca!—
Patrz! nad szczytem Araratu,
Tęcza, jakby z gwiazd tysiąca,
Lśni, iskrzy, mieni się, pali,
Rozszerza się—jak na fali
Wzruszona z dna morska piana,
Ślad drogi Lewijatana,
Gdy cały wzdłuż roztoczony
Igra sam po wód płaszczyźnie,
I w przepaści niezgłębionej
Tonąc, gwiazdom w oczy bryźnie!—
Lecz patrz, patrz! już coraz w zmierzchu
Ślad ich ćmi się i zagasa —
Patrz! już stoją na skał wierzchu!—
Azaziel!

AHOLIBAMAH.

Samiasa!

(wybiegają).

SCENA II.

Wchodzą IRAD I JAFET.

IRAD.

Nie płacz, bądź mężem!—po co między góry
Milezeniem swoim mnożysz ciszę nocy,
Lub tak ku gwiazdom wlepiasz wzrok ponury?—
Gwiazdy ci żadnej nie dadzą pomocy.

JAFET.

Tak! lecz mnie cieszą.—Któż wie czy i ona
Nie patrzy na nie teraz?—Mnie się zdaje,
Że każda piękna istota stworzona,
Patrząc na piękność, piękniejszą się staje,
Na wieczną piękność rzeczy nieśmiertelnych.—
O! moja Anah!

IRAD.

Wszak nie kocha ciebie.

JAFET.

Ach!

IRAD.

Znam ja gorycz uczuć niepodzielnych.
Mnie też jój siostra odpycha od siebie.

JAFET.

Wiem i boleję nad tobą.

IRAD.

Nie boleję!

Jesli mię ona poświęca swęj dumie,
Moja téż duma jęj wzgardę znieść umie. —
Z czasem i na nią przyjsć może taż kolej.

JAFET.

Czy się tém cieszysz?

IRAD.

Ni cieszę, ni smucę.

Kochałem szczerze—kochałbym był szczerzej,
Gdybym mógł mniemać, że wzajem ocucę
Miłość w jęj sercu;—lecz widząc że mierzy
Wyżej—zostawiam ją jęj przeznaczeniu,
W które snąć wierząc łudzi siebie sama.

JAFET.

W co wierząc?

IRAD.

Wnoszę, czytam w jęj spójrzeniu
Że kocha.

JAFET.

Anah?

IRAD.

Nie! Aholibamah.

JAFET.

Kogo?

IRAD.

Ja nie wiem; znasz, czy ją kto zbada!—

JAFET.

Anah to chyba kocha Boga w Niebie;
O to spokojny jestem.

IRAD.

Cóż ci nada,
Kogo bądź kocha? dosyć że nie siebie.

JAFET.

Prawda, lecz ja ją kocham.

IRAD.

Jam też kochał.

JAFET.

Jestżeś szczęśliwszym, żeś przestał, jak mniemasz?

IRAD.

Czyliż nim byłbym, gdybym jak ty szlochał?

JAFET.

Żałuję ciebie.

IRAD.

Mnie?— Czemu?

JAFET.

Że nie masz
W sobie już tego, co mnie w rozpacz wprawia.

IRAD.

Dziwnyś! — w tych słowach znać szał jej przemawia. —
Wierz mi, Jafecie! za żadne nagrody
Czuć, co ty czujesz, nie chciałbym na chwilę;
Nie! choćbyś wszystkie ojca mego trzody
Zważył, i za nie dał mi syklów tyle *),
Owego kruszczu potomków Kaima,
O którym plemię ich tak wiele trzyma,
Że nas chce przezeń wciągnąć w handel z niemi: —
Jakby za podły piasek, wyrzut ziemi,
Za żółty proszek, co z wierzchu migoce.
Warto dać w zamian chleb, węgnę, owoce,
Lub inne rzeczy, któremi nas praca
Rąk naszych, albo natura zbogaca! —
Lecz pójdź, Jafecie! dość patrzeć na chmury,
I przeraźliwie wzdychać, jak wilk, który
Patrząc na księżyc całą noc wyc gotów. —
Ja idę spocząć.

JAFET.

Szczęśliwy, kto może! —

Bądź zdrów!

*) Waga dawna hebrajska.

IRAD.

Nie wracasz ze mną do namiotów?

JAFET.

Nie!—pójdę jeszcze do jaskini w górze,
Przez którą, mówią, że duchy z pod ziemi
Wychodzą zwykły na świat.

IRAD.

Cóż ci do niej?

JAFET.

Miejsce to zgodne z myślami mojami:
Żal dziki w dzikięj zmniejsza się ustroni.

IRAD.

Ale czyż nie wiesz, jakie o tój dobie
Widma, jak mówią, wstępu do niej strzegą? —
Ja pójdę z tobą.

JAFET.

Zostań, dzięki tobie!

Nie mam złych myśli, nie boję się złego.

IRAD.

Ale złe duchy tём więcej ci mogą
Szkodzić, żeś nie jest z niemi.—Weź mię z sobą,
Lub zostań ze mną!—nie gardź mą przestroga!

JAFET.

Nie! sam iść muszę.

IRAD.

A więc pokój z tobą!

(odchodzi).

JAFET (*sam*).

Pokój!—szukałem go gdzie znaleźć mogłem,
W miłości—sercem, co jęj warte było.
Cóż ztąd?—daremnie siły duszy zmogłem,
Serce osłabło, w myślach się zaćmiło:
Dni nieprzebyte, nieuśpione noce,]]
Oto są całe mych starań owoce!—

Pokój! gdzież pokój?—w martwości zniszczenia?
Czy w ciszy lasu, co od dnia stworzenia
Stopą nietknięty, innego odgłosu
Nie zna prócz burzy, gdy go ta druzgota?
Bo w nich jest wierny obraz mego losu,
Gdy mię żal tłoczy albo rozpacz miota. —

Świat zabrnął w zbrodnie; — głuchy na głos Boga,
Nie wie o gniewie Jego, ni o zmianach
Strasznych a blizkich;—daremna przestroga
Grózb i złowieszczych wrózb!—O! moja Anah!
Gdy przyjdzie straszna godzina, że morze
Jak lew ryczący wyprze się z łożyska,
I wpadnie na świat:—jakbyś ty w tój porze
Ujść mogła zguby! i po nad zwaliska
Świata, objęciem mojem osłonią,
Po świat niszczących bujać oceanach!
Świat mój byłby w twém sercu, a obrona
Twoja, w miłości mojej!—Moja Anah!
Gdybyś ty chciała być moją!—Daremnie!
Serc snąć i losów nikt zmienić nie może.
I moje wiecznie krwawić musi we mnie,
Teraz i wtedy, gdy już ty...—O! Boże!

Nad nią przynajmniej zmiękcż srogość wyroków!
Bo ona czysta pomiędzy grzesznemi,
Czysta jak gwiazda, co choć w mgle obłoków,
Nie gaśnie jednak, ni spada ku ziemi! —

O! gdybyś była moją! lub przynamnie,
Gdybym cię wolną od twych ojców winy,
Jedną przynajmniej zbawić mógł! — nie dla mnie —
Nie! — byleś żyła: — gdy ocean będzie
Mogila ziemi, i tych, co dziś żywi
Pchną ją do zguby: — a jego jedyny
Pan i mieszkaniec, niewstrzymany w pędzie,
Nie spotykając ni skał ni mielizny,
Sam Lewijatan z przestrachem się zdziwi
Nieskończonością swych państw i ojczyzny!

(odchodzi).

SCENA III.

Wchodzą NOE I SEM.

NOE.

Kędyż jest brat twój Jafet?

SEM.

Wyszedł w pole,
Zejsć się, jak mówił z Iradem... Lecz pewnie
Błądzi, jak co noc, w swém zaklętém kole,
Wkoło namiotu Anah, kwiląc rzewnie,
Jak ptak nad pustém gniazdem; albo może —
Z czém, wiem, że nie rad powierzać się bratu —

Poszedł, jak nieraz, o północnej porze
Dumać w jaskini wśród skał Araratu.

NOE.

Po co on do niej? Na całym złym świecie,
To miejsce jest najgorsze; bo w niem duchy
Gorsze od ludzi goszczą. — O! Jafecie!
Czemużes wybrał, na głos ojca głuchy,
Niewiastę, której, choćbyś był kochany,
Pojaćbyś nie mógł? — Ach! serce człowieka!...
Gdy syn mój własny, wraz ze mną wybrany,
Znając złość świata i los co go czeka,
Mógł tak daleko zabrnąć i niepomnie! —
Pójdźmy go szukać.

SEM.

Ojcze! nie idź dalej!

Ja go sam znajdę.

NOE.

Nie lękaj się o mnie!
Kogo Pan wybrał, nad tym nie uczyni
Nic moc piekielna! — Będziem go szukali.
Pójdź!

SEM.

Do obozu sióstr?

NOE.

Nie! do jaskini.

(*odchodzą*).

SCENA IV.

Góry—jaskinia—skały Araratu.

JAFET (*sam*).

Dziki pustynie! lochy, co się zdacie
Bez dna i granic! i wy dumne góry!
Tak niezachwiane w swych skał majestacie,
I tak wspaniałe w swój krasie ponurój:
W płaszczach z mgły białej, lub w zielonój szacie
Drzew, jak wy wiecznych, i jak wy nad chmury
Czołem wiejących! Któżby waszój sile
Nie ufał? w wieczne nie zawierzył trwanie?—
Przecież za kilka dni—może za chwilę,
Może w tej chwili—cóż z was pozostanie?
Gruz!—czcze igrzysko wód! co te otchłanie,
W piekiel aż zda się idące głębiny,
Po brzeg wypełnią, i gdzie swe posłanie
Miał lew, skaczące naniosą delfiny!—
A ludzie—ludzie! bliźni, bracia moi!
Któż z was zostanie, coby nad szerokim,
Jednym was wszystkich grobem—gdy was w swojej
Głębi pochłonie morze—z łzawem okiem
Wspomniał przynajmniej o was?—Przyjaciele!
Ziomkowie moi! jestem ja tak wiele
Lepszy lub gorszy od was, że koniecznie
Przeżyć was muszę—wszystkich!—ach! i wiecznie

Tęsknić i płakać po was?—O! ty świecie!
Czyliż cię poznam, gdy po tylu zmianach
Wyjdiesz znów z grobu?—Gdzież wtedy będziecie
Miejsca rozkoszne! gdzie marzył o Anah,
Gdym się spodziewał serca jój: lub one,
Dziki, lecz niemniej miłe mojej duszy,
Jaskinie, lasy, gdzie łyż niedzielone
Lał na jój srogość, lubując w katuszy?—

(Patrząc ku górze).

Być-że to może, aby ten szczyt skały,
Gdzie chmury niegdyś skrzydła swoje dały,
Co sam jak gwiazda lśni wśród gwiazd—by wały
W głąb go zbić mogły, i w swych wirach starły:
Że jutro może zadziwione słońce
Próżno go jasnym szukać będzie okiem,
By jak dziś, naprzód na jego wysokiem
Czole, zwyciężać noc i jej mgły śpiące:
Lub przed zachodem, wieniec swych promieni
Zawieszać na nim: by nad światem wzbity,
Jak lampa świata świecił się w przestrzeni,
I zstępującym Aniołom swe szczyty
Dzierżył za pierwszy stopień, gdy zesłani
Schodzą na ziemię lub w przepaść otchłani?—
Być-że to może, ażeby te słowa,
Straszne, okropne słowa: „już go nie ma!“
Tyczyć się miały tego skał olbrzyma,
I wszystkich rzeczy—prócz tych, co Jehowa

Rozkazał w arce zbawić ojcu memu?—
Możeż on zbawiać co chce? a jaż czemu
Nie mógłbym zbawić jednej—co bez zmaży,
Co najpiękniejsza z wszystkich córek ziemi?...
Nie miałbym zbawić jéj—gdy sprośne płazy,
I zjadłe żmije z towarzyszymi swemi
Ujść mają zguby—by i przyszłą ziemię
Tchem swym zarażać, i na ludzkie plemię
Syczeć, i kęsać, i w grząskich bagniskach
Czołgać się, które na świata zwaliskach
Długo stać będą i dymić—aż w końcu,
Z zgnilizny tego, znów jaki świat nowy
Wyjdzie, i wyschnie, i stwardnie na słońcu,
Razem mogiła i pomnik grobowy
Świata przeszłego: gdzie dziś jeszcze tyle
Mirjad żyje—a jutro, za chwilę,
Tyle mirjad umrze?—O! ty świecie!
Tak piękny i tak młody! w pełnym kwiecie
Życia i kraszy! Jak ja kocham ciebie!
Jak mi żal ciebie! gdy co dnia, co nocy,
Liczę twe kwiaty, twe gwiazdy na niebie,
I krótkie chwile twoje!—Nie mam mocy
Ratować ciebie, jak i Jéj nie mogę,
Jéj—co najbardziej wiąże mię do ciebie:
Lecz jak syn prochu twego, żal i trwogę
Czuć tylko muszę—jakich od stworzenia
Żaden nie doznał i doznać nie może,
Prócz mnie, co jeden z mojego plemienia
Wiem straszną przyszłość, i sam w lada porze,

Jeden, mam płakać na wszystkich pogrzebie!—
O! Boże! mógłżeś?...—

(Łoskot w jaskini i śmiechy.—Duch przelatuje).

JAFET.

W imie JEGO!

Kto tu?

DUCH *(śmieje się)*.

Cha, cha, cha!

JAFET.

W imię Wszechmocnego!

Mów, ktoś jest?

DUCH *(śmieje się)*.

Cha, cha!

JAFET.

Przez potop i ziemię,
Co ma być pastwą morza! przez głąb, z której
Morze się wyprze! przez niebo, co brzemię
Chmur swoich zrzuci i zaleje góry!
Przez TEGO, który
Stworzył i zniszczy świat ten poziomy!
Ty nieznajomy!
Ty niewidomy!
Duchu nieczysty! mnie nie ustracha
Śmiech twój szydarczy!—Czego się śmiejesz?

DUCH.

Czego łyzy lejesz?

JAFET.

Nad ziemią, i nad jój dziećmi.

DUCH (*odlatując*).

Cha, cha, cha!

JAFET.

Jak duch nieczysty urąga z rozpaczy
I żalu mego! jak się cieszy z końca
Nieszczęsnej ziemi!—nad którą krąg słońca
Wejdzie, i nigdzie życia nie zobaczy!—
Jak cicho wkoło!—Ziemia śpi—i ludzi,
I wszystkie twory sen objął—jak cichy,
Jak snać spokojny!—i może ich łudzi
Długą przyszłością szczęścia, chwały, pychy!...
Cóż, gdy się zbudzą i ujrzą śmierć?...

(*Łoskot w jaskini*).

Kto tu?

Kto? mów! co w nocy czając się zakryciu,
Szepecz i migasz tylko jak śmierć w życiu?—
Mów! bo się twego nie boję łoskotu!

(*Duchy wylatują z jaskini*).

JAFET.

Co za szum!
Z dołu i z góry,
Co za tłum!
Lecą jak chmury!

CHÓR DUCHÓW.

Radość nam!
Ohydne plemię,
Z rajskich wygnane już bram,
Że dało zwieść się nam,
Że chciało zrównać nam,
Mądrością bez naszej mocy:

Traci nynie
I tę ziemię,
I tęj nocy
Całe plemię
Zginie, zginie!
Radość nam!

nie czas ich, nie nędza, nie mór, nie żelazo,
Nie troska po jednym wydusi;

Wszyscy za jedną razą,
Co żyje, zginać musi!—

Świat i lud
W głębi wód!

Dziś ich ostatni wschód!—
Cha, cha! tak chce ON sam!

Tryumf nam!
Ocean z swoich tam

Wyjdzie i zajmie glób,
Ich świat, ich tron, ich grób.

Jak oni, trup!—

Cha, cha! będziem słyszeli,
Ich jęk, i ryk topieli,

Lecącej z wszystkich stron:

Cha, cha! ujrzym ich zgon!

I dzień, gdy ich nie będzie!—

Śmierć wszędzie!

I nigdzie tchnienia, prócz wichrów zhukanych,

I nigdzie ruchu, prócz fal rozdąsanych,

I nigdzie nawet wierzchołka skał,

By ku nim Anioł zstąpić gdzie miał.

By pomoc dał:

Cha, cha! niechajby chciał!

Lub niechby tam sami z rozpaczą się wdarli,

By widzieć, co wszędzie

Na ziemi:

By widząc jak drudzy, jak wszyscy wymarli,

Przeczuwać, co będzie

I z niemi!

Cha, cha! mieć będziem dość!

Potop—śmierć—czegoś—

To świata gość!

Z południa na północ, z zachodu na wschód,

Nie prócz wód!

Od końca do końca, od dołu do szczytu,

Nie oprócz obłoków i fali błękitu!...

Świat barw, pstry w różny wzór,

Kwiat łąk, cedr gór.

Dąb, i skał zrąb,
Pochłonie głąb!—
Któż widząc zgadnie
Co znikło na dnie
W jój toni?
Komu da dociec,
Albo odsłoni,
Ten, co sam władnie,
Co będzie po niej:
Świat? złom?—
Kto się ośmieli
Na jój topieli
Wznieść dom?

JAFET (*występując*).

Mój ojciec!
On z swą rodziną!—
Nie ludzkie plemię,
Żli tylko zginą,
Co każą ziemię:
To Pański sąd! —
Słyszycie? precz więc ztąd!
Sprośni szatani!
W przepaść otchłani
Precz w wieczną noc!
W NIM, nie w was moc
Karać za grzechy
Świat nasz i nas;
Czcze wasze śmiechy!
Waszój pociechy
Nie przyszedł czas!—

Precz więc, precz do swych jam!
Aż was i tam,
Potop dosięże,
I jako węże
Na wierzech wypławi:
Byście noszeni
Wiatrem w przestrzeni,
Czuli moc Pana,
Co stał szatana,
A nas choć skarał—wybawi!

DUCH.

Synu Noego!
Gdy ty z rodziną,
Jedni z całego
Rodu waszego
Ujdziecie żywi,
Gdy wszyscy zgina,
Będziecież lepsi albo szczęśliwi?—
Nie!—nowy świat i ludzie,
W grzechu i trudzie
Jak dziś żyć będą: lecz pośledniejsi,
Słabsi i mniejsi
Od tych olbrzymów, co dziś zuchwale,
Dumni w swój chwale,
Depcą tę ziemię:
Aniołów plemię
Z matek ziemianek;—wy ich dziedzicie,
Prócz tej różnice,
Weźmiecie tylko po nich—trosk brzemię.

Czyż się nie będziesz rumienić,
Sam jeden na wszystkich grobie,
Jeść, pić, zalecać się, żenić,
I płodzić proch równy sobie?

Arceem tak nizkiem, z tak bezwstydnem czołem,
na sam obraz takiego zniszczenia,

masz dość męztwa ni żalu, by społem
nieć zginać raczej, niż szukać zbawienia!

aby chciał przeżyć wszystkich braci swych?

Kto? prócz głupich lub złych? —

My nienawidzim was,

Bo ród nasz różny od siebie:

Lecz patrzaj! każdy z nas

Wyrzekł się tronu w Niebie,

niż żeby obojętny świadek,

Patrząc na braci upadek,

bał się z nimi podzielać męczarnie! —

Idź, nędzny! żyj i giń marnie!

A gdy świat potop ogarnie,

że ON nawet spojrzawszy na ziemię,

zdręgnąć się musi nad woli swój czynem:

rdz ojcem swoim, że przeżył swe plemię,

I sobą, żeś jego synem!

CHÓR DUCHÓW (*wylatując z jaskini*).

Śpieszmy się, cieszymy!

Dziś nasz czas!

Śmiertelnik podły

Swojemi modły

Nie spłoszy nas!

Nie będzie cził,
Proch, pył!

A my, co nigdy nie czeili
TEGO, co tak chce czi,
Że zwłokę jednej chwili,
Wiecznością kary mści:

My, my obaczmy wyparcie się toni,
Aż jeden żywiół czynić będzie dzieło
Wszystkich w chaosie.— A oni, a oni!
Czeze zlepki gliny, dumni z swęj nicości,
Którym się niebo osiągnąć pragnęło,
Zginą!—a wiatrem rozwiane ich kości,
Bielić się będą po mrocznych przepaściach,
Po niedostępnych gór i skał urwiskach,
Gdzie głęb w swych coraz srożając napaściach,
Ścigać ich będzie w ostatnich łożyskach;
Gdzie nawet dzikie bestye w popłochu
Zbędą srogości, jak w pierwszych dniach świata,
I przy jagnięciu tygrys w tymże lochu
Kryjąc się legnie, jakby obok brata,
I zginą razem;—aż znów wszystkie rzeczy
Będą jak były: martwe, niestworzone,
Prócz niebios w górze!—którym niech zlorzeczy
Ten, co zostanie: gdy z nim przymuszone
Zawrze sojusze śmierć;—śmierć, co ocali
Tę błahą resztkę dawnego stworzenia,
Na przyszły zasiew żniw swych;—i gdy słońce,
Z osiadłych mułów potopowej fali,
Wypiecze nowy świat: — z tego nasienia
Wzejdą dla czasu nowych lat tysiące,

we istoty, i dawne cierpienia,
drość, nienawiść, praca i niewola.
pki...—

JAFET (*przerywając*).

Przedwieczna Wola
wytłómaczy ludziom snu tego,
wikłanego dobrego i złego:
od wszechmocnej skrzydło opieki,
I wszystkie wieki,
I wszystkie rzeczy,
I ród człowieczy,
zawszy, odkupi—i moc piekielną
Zwalczy na wieki!
pokutnicy, ziemi skruszonej.
pierworodny wdzięk przyrodzony,
Raj nieskńczony,
ręci, z litości nad skazitelną;
nie czek, czcząc w sobie duszę nieśmiertelną,
e zdoła więcój jak niegdyś przewinić,
nie zły duch nawet będzie dobre czynić!

DUCH.

Cha, cha! i kiedyż to cudo nastąpi?

JAFET.

Gdy Zbawca zstąpi!
Naprzód w ubóstwie,
A potem w chwale.—

DUCH.

Tymczasum w mnóstwie
Nędz swych, zuchwale
Klnąc tylko na nie, cierpcie nikczemnie,
Aż świat wasz w proch się rozwieje!
Walczcie z sobą, i z Niebem, i z piekłem—daremnie,
Aż niebo poczerwienieje
Od krwi dymiącej z waszych bitew pola!—
Zmieniają się czasy, rzeczy, kraje, ludy,
Lecz pozostaną bez nowój pociechy,
Też same grzechy,
Łzy, troski, trudy,
Zbrodnie—i matka ich: wasza zła wola!—
Też same burze
Serc, jak w naturze
Wichry i gromy,
Szaleć w was będą; i ten poziomy
Świat wasz i plemię
Pochłoną—jak potop ziemię!—

CHÓR DUCHÓW.

Cieszmy się, duchy!
Śmiertelny! bądź zdrow!—
Słyszmy już, słyszmy, jak wałów szum głuchy
Wzmaga się, rośnie, jak ryk głodnych lwów.
Wichry, jak orły, podnoszą swe pióra,
Kaźda swe źródła napełniła chmura,
W dole i w górze,
Niebo i morze

Trwały swoje upusty;—a ludzie!

Słupi, jak byli

Od pierwszej chwili,

Trwają w ułudzie!

Nie widzą znaków złowieszczych; nie słyszą,

Co my słyszymy: po nad ziemską ciszą

Gromadzących się gromów; jak z obłoku

W obłok przechodzą, i hasła wyroku,

Na wpół zatlone, czekają—i drzemią.

Płacz, płacz! o! ziemi!

Grób twój jest bliższy, niż niedawna jeszcze

Kolebka twoja!—Drżycie! o! wy góry!

Chwila wybija—gdy morze i deszcze

Szczyt wasz zaleją; a morskie potwory,

Poziome płazy, i konchy ślimaków,

Czepiać się będą, gdzie dziś króle ptaków

Gniazda swe ścielą!—O! jakże zakraczą

Z żalem, z rozpaczą:

Spłoszone same, i próżno do góry

Zwąc swe piskłeta nieodziane pióry.

I słysząc tylko z ich krzykiem pospołu

Szum fal rosnących!—a człowiek od dołu

Patrząc na nie, zazdrościć im będzie

Skrzydeł szerokich—niezdalnych im na nic!

Bo gdzież je zwiną? kiedy tylko wszędzie

Śmierć i grób—woda—bez dna i bez granic?

Cieszmy się! tryumf nam!

Z przepaści jam

Do chmur,

Radośny wzniesmy chór,

Nad ruiną
Świata tego!—
Wszyscy zginą!
Prócz jednego,
Szczepu Seta pokolenia,
Zbawionego od zniszczenia,
Na cierpienia!
Lecz ród Kaima,
Olbrzym w olbrzyma,
Lecz córki jego, chlubne urodą,
Zalegać będą martwe pod wodą,
Lub na wznak na niej—z rozpuszczonemi
Włosy długimi,
Martwem obliczem będą się żalić
Na srogie Nieba: co ich ocalić,
Co nie raczyły mieć w swój obronie,
Istot tak nawet pięknych po zgonie!—
Darmo! ON, Przeznaczenie,
Co rzekł, nie przeinaczy;
I po ogólnym jęku rozpaczy,
Ogólne śmierci milczenie
Ogarnie łąd! —

Nam czas, czas lecieć ztąd!
Świt się już bieli,
Mgły nocne bladną.
Lećmy weseli!
Nim słońce strzeli,
Ujrzym, jak zbladli
Iść będą na dno
Wściekłej topieli!—

Myśmy upadli,
Oni upadną!
Lećmy weseli!

(Duchy wznoszą się w górę i znikają).

JAFET (*sam*).

Bóg sam obwieścił przeznaczenie ziemi,
Enoch niem groził w księgach *), których słowa,
Jak gromy w chmurze, grzmiały po nad grzesznemi;
I rady ojca mego, i budowa
Arki Przymierza, i same złe duchy,
Czyniące z naszych klęsk urągowiska,
Głoszą je światu—a świat jak był, głuchy,
Wprost leci w przepaść; co choć już tak bliska,
Tak nieuchronna: zatwardziałej duszy
Ludzi nie wzrusza—jak jęk ich nie wzruszy
Sprawiedliwości Boga, i wylewu
Wód, spełniających dzieło jego gniewu!—
Jak cicho wkoło! na całej przestrzeni
Nie widać jeczczę żadnych groźnych znaków;
Brzask, jako zwykle, tli się, i rumieni
Chmury, strzegące swoich zwykłych szlaków.
I słońce wkrótce po nad dniem zniszczenia
Wejdzie—jak weszło w czwartym dniu stworzenia,

*) Księgi Enocha, zachowane u Etyopczyków, miane są przez nich za przedpotowe.

Gdy Stwórca rzekł mu; „świeć!“ i zaświeciło—
Nie ludziom jeszcze—ale obudziło
Słodszy od głosu ludzkiego, głos ptaków:
Co jak Anioły, swobodnemi pióry
Wznoszą się w niebo, i jak oni sami,
Łącząc swe pieśni w napowietrzne chóry,
Dawcę dnia, codzien witają przed nami!—

I oto chwila—gdy śród chmur i lasu
Pieśń ich wnet zabrzmie; i jasny krąg słońca
Wejdzie, nieświadom tak bliskiego końca
Istot, które ożywia, ani czasu
Który im mierzy!—Ptaki z wdzięcznym głosem,
Nóćąc, zapadną w głąb bez dna i brzegu;
Słońce, po jasnym krótkich dni obiegu—
Ha! wejdzie!—ale nad czém?—nad chaosem,
Co był przed czasem, i dziś przed obliczem
Słońca odrodzon, czas znów czyni niczém.—
Bo czas bez życia, cóż jest?—nicość! sprzeczność!
Czas dla stworzenia jest tém, czém jest wieczność
Dla Stworzyciela—co sam nieskończony!
Wieczność bez Niego, stałaby się czerzością;
Czas bez człowieka, dla niego stworzony,
Kona z człowiekiem;—i równie wiecznością
Pochłonię zginie—jako ludzkie plemię
W bezdennęj głębi wód chłonących ziemię!—
Ktoś idzie?—ludzie, czy niebieskie duchy?—
Jak piękne!—twarzy nie widzę—lecz ruchy,
Lecz ich postaci na tle czarnej góry!—
Idą w mgle, jakby płynęły!—Po sprośnych
Duchach, co wiążąc swe piekielne chóry,

Z łez mój boleści, szyderczemi śmiechy,
Tryumfowały w urąganiach głośnych:
Widząc ich, czuję jak promień pociechy!—
Któż wie, czy nawet—o com razy tyle
Błagał za światem:—czy nie niosą może
Wyroku łaski, zwłoki—choć na chwilę —
Na chwilę skruchy i żalu?—O! Boże!
To Anah!

SCENA V.

Wchodzi SAMIASA *), AZAZIEL, ANAH I AHOLIBAMAH

ANAH (*postrzegając Jafeta*).

Jafet!

SAMIASA.

Adamita!

AZAZIEL (*do Jafeta*).

Po co,

Zkąd tu przyszedłeś? sam, tak późną nocą,
Gdy bracia twoi śpią wszyscy?

JAFET.

Aniele!

Cóż mi odpowiesz, gdy się wzajem siebie
Twojami słowy zapytać ośmieję:
Po coś jest tutaj, gdys powinien w Niebie?

*) Czyt. *Samijasa*.

AZAZIEL.

Cóż to? nie pomnisz? nie wiesz, że w podziele
Na nas przypadło, mieć w straży twe plemię
I świat?

JAFET.

Nie dzisiaj!—gdy występną ziemię,
Nie tylko dobre duchy, co ją strzegły,
Ale złe nawet z przestraczem odbiegły,
Wiedząc o strasznych i blizkich jej zmianach.
Wy tylko jedni...—Anah moja! Anah!
Tak próżno, chociaż tak długo i stale
Kochana przez mię! po coś ty tu z niemi,
Gdy żaden dobry duch nie jest na ziemi?—

ANAH.

Jafecie! nie śmiem mówić—ale, ale...
Przebacz mi!

JAFET.

Obyć przebaczone w Niebie,
Gdy już przebaczać nie będą nikomu!—
Bo w błąd cię wiodą.

AHOLIBAMAH.

Dość! precz ztąd do domu,
Dumny proroku! nie chcemy znać ciebie.

JAFET.

Przyjdzie czas może, że mię poznasz lepiej,
A siostra twoja pozna, jakim byłem
Dla niej, i dla was:—gdy głusi i ślepi
Posłyszają—ujrzą—pojną, co mówiłem.

SAMIASA.

Słuchaj mię, synu Patryarchy? który
Czysty był zawsze przed Bogiem! Zkąd w tobie
Gniew, jakby ku nam, i żal tak ponury?
Człameśmy mogli, ja lub on, w tój dobie
Krzywdę ci zrobić?

JAFET.

Krzywdę! ach! i jaką!—

Ale nie! — Czuję, że choć równie ze mną
Stworzona, równie śmiertelna: wszelako
Nie wart jój byłem, i nigdy wzajemną
Miećbym jój nie mógł.— Anah! bywaj zdrowa!
Nieraz z ust moich słyssałaś te słowa,
Lecz dziś ostatni raz słyyszysz.— Anieli!
Lub ktobądźkolwiek jesteście! o jedno
Pytam was tylko: czy będziecie chcieli,
Czy macie władzę, przed zgubą niezbędną,
Zbawić ją—zbawić obie?

AZAZIEL.

Jaką zgubą?

JAFET.

Cóż to? nie wiecie? Czyliżbyście mieli,
Dzieląc grzech z ludźmi, dzielić téż ich grubą
Ślepotę i jój karę? lub przynamnie
Smutek mój? —

SAMIASA.

Smutek?—Mógłżem wróżyć sobie,
By proch miał mówić zagadkami dla mnie?

JAFET.

Jeśli ich Pan twój nie rozwiązał tobie,
Biada wam! i im z wami!

AHOLIBAMAH.

Niech tak będzie!
Jeśli kochają, tak, jak są kochani,
W nas znajdą Niebo—byle z nami wszędzie,
Jak my je z nimi znajdziem—choć w otchłani!

ANAH.

Ach! siostró, siostró! nie mów tak!

AZAZIEL.

Dla czego?—

Boisz się przy mnie?—

ANAH.

Ach! o ciebie tylko!
Bo chętnie resztę szczęścia śmiertelnego,
I życia oddam, byle smutną chwilką
Nie zaćmić nigdy twój wieczności koła!

JAFET.

Toż więc dla niego? tak jest! dla Anioła,
Zrzekłś się, widzę, serca Adamity!—

Ale to mniejsza!—byleście, on i ty,
Wzajem dla siebie nie zrzekli się Boga!
Bo przed Nim związki duchów z śmiertelnemi
Nie znajdą łaski; bo cel nasz i droga
Różne są od ich:—nam praca na ziemi,
I śmierć; im Niebios gwiazdziste pobyty,
Rozkosz i wieczność!—Biadaż! jeśli niemi,
Wzgardzą dla prochu! a proch w dumę wzbity,
Dla nich, załsniony promieniem ich czoła,
Zapomni Boga!—Lecz jeśli cię może
Anioł ten zbawić:—zostań z nim w tej porze,
Gdy moc niebieska chyba zbawić zdoła.

ANAH.

Ach! on nam wróży śmierć!

SAMIASA.

Śmierć?—nam śmierć wróżyć,
Lub tym co z nami?—Gdyby nie łyzy twoje,
Śmiertelny! śmiać się musiałbym, nie trwożyć.

JAFET.

Śmiej się!—O siebie ja też się nie boję,
Ani nad sobą płaczę!—jam bezpieczny:
Nie dla mych zasług—lecz dla cnót rodzica,
Co prosty w drogach życia, i stateczny
W wierze przed Panem, sprawił, że prawica
JEGO dziś z nami.—Lecz oby wam dano
Moc zbawiać drugich!... lub gdybym zamiana

Życia mojego za Jój—która sama
Wiąże mię tylko do życia—mógł dla Niój,
Najniewinniejszej z wszystkich cór Adama,
Okupić miejsce w arce, gdy wybrani
Synowie Seta wejdą w nie!...

AHOLIBAMAH.

Zuchwały!

Toż więc śmiesz mniemać, że my, krew Kaima,
Pierworodnego w raju; że my córy
Takiego ojca: że mybyśmy chciały
Mięszać się z wami? ze krwią Seta? który,
Ostatni owoc skrzepłej krwi rodziców,
Dziedzie ich tylko tułatwa i hory,
Tak z ojcem naszym nie wspólnego nie ma,
Jak raj z tym światem: jak wdzięk naszych liców
Z wdziękiem cór waszych: albo jak postaci
Młodzieńców naszych, z wzrostem twoich braci?
Nie! nigdy, nigdy! chociażby od tego
Zależać miało ocalenie świata!—
Ród nasz był zawsze zdala od waszego:
Wszystko nas dzieli—strach pewno nie zbrata.

JAFET.

Aholibamah! przecz się wzruszasz gniewem?
Nie z tobą mówię.—Zbyt wiele z Kaima
Wzięłaś z krwią jego, coć tak w pychę wzdyma,
Jakby ją wsławił bratniej krwi rozlewem!—
Ale ty, moja Anah!—Zwę cię moją,
Choć nią nie jesteś!—ach! bo z tym wyrazem

zstać się wtedy—gdy i z tobą razem
zstać się muszę—nie śmiem;—lecz na twoją
łosć się spuszczam, że mi to przebaczy.—
moja Anah! ty, którąby raczej
rać córką Abła; takeś niepodobna
co cór Kaima; chyba że nadobna
icem jak one!

AHOLIBAMAH.

Dość niewczesnej mowy!
chcesz jak wąż w raju, pochlebne słowa,
rzelać w jej duszę jad, co płonie w twojej.—
Ja, gdybym miała podzielać twe zdanie,
Gdybym myślała, że w niej, siostrze mojej,
jest coś z krwi Abła!...—Lecz precz ztąd, szatanie!
wsisz mię!—kłótni szuka twoja zawieść.

JAFET.

Córko Kaima! zazdrość i nienawiść
Kaim wszczał pierwszy.

AHOLIBAMAH.

Kaim nie był wrogiem
Ojca twojego; nie zabił mu synów.
Przecz chcesz być sędzią innych jego czynów,
Które są tylko między nim a Bogiem?—

JAFET.

Prawda! zbłądziłem. Pan go sądzić będzie.—
Anibym mówiąc wspomniał, że przewinił,

Gdybyś się sama, w gniewnych słów zapędzie,
Nie zdała chełpić z czynu, co uczynił;
A nawet... —

AHOLIBAMAH.

On jest ojcem ojca mego,
Syn pierworodny sił ludzkiej natury,
Przed jej upadkiem; — miałabym się jego
Wstydzic? lub zaprzec rodu mego, który,
Wszystko czem słynie po nim odziedziczył? —
Patrz! któż śmie z nami stanąć w porównanie:
Z pięknoscią w twarzach? z wzniosłością w postaciach?
Z długością naszych dni?

JAFET.

Pan je policzył!

AHOLIBAMAH.

Niech i tak będzie! lecz póki ich stanie,
Chlubić się będę w oju mym i braciach!

JAFET.

Ród Seta w Bogu tylko szuka chluby. —
A ty, o! Anah?

ANAH.

Co bądź Bóg przeznaczy,
Bóg jeden nad wszystkimi — wiem, że trzeba
Znieść bez szemrania — oby bez rozpaczy! —
Lecz gdybym mogła, w dniu powszechnej zguby,
Co ma przyjąć, mówisz, prosić o co Nieba:

Wiedzącą prośbą byłoby, bym sama
Nie pozostała w życiu: gdy nikomu
Z mego plemienia, rodziny i domu,
Pan nie przepuści. — O! Aholibamah!
Cóżby był dla mnie świat, lub inne światy,
Lub sama wieczność? bez miłej przeszłości —
Bez ciebie, ojca; bez waszjej miłości,
I bez tych wszystkich rzeczy, co jak kwiaty,
Rozkoszną ziemię stroiły przedemną;
Albo jak gwiazdy, świecące w noc ciemną,
Ciągnęły oczy by w Niebo spojrzeć? —
Ach! jeśli dla nas Niebo nie z kamienia,
Siostró! prosz, módl się! błagaj przebaczenia! —
Śmierć tak jest straszna — gdy ty masz umierać!

AHOLIBAMAH.

Cóż to? czyż słowa płonnych marzycieli,
Co swoją arką siebie tylko straszą,
Zachwiały ciebie? — Patrz! czyż nie Anieli
Czuwają przy nas? dzielą miłość naszą? —
A nawet bez nich — czyżby już innego
Nie było środka, jak u stóp Noego
Zebrać o życie? Wolałabym raczej!... —
Lecz po co wznawiać dzikie jego mary,
Twór niewzajemnych uczuć i rozpaczy,
Albo wyziewów téj mrocznej pieczary? —
Patrz! któżby z posad wzruszył te opoki,
Tę całą ziemię? albo te obłoki
W ocean zmienił? albo z ziemi morze
Podniósł ku niebu? — Patrz! zważ! kto to może?

JAFET.

Ten, co to wszystko jednem słowem stworzył.

AHOLIBAMAH.

Kto słyszał słowo te?

JAFET.

Świat, co niem ożył.—
Śmiejesz się?—spytaj twój o obrońcy!
Jeśli jest Anioł—stwierdzi prawdę Jego.

SAMIASA.

Aholibamah! Bóg jest wszechmogący!

AHOLIBAMAH.

Jam zawsze czcila Boga—stworcę mego:
Boga miłości, nie smutku.

JAFET.

Niestety!

Czyż miłość sama nie jest także smutkiem?
Nie tylko miłość męża i kobiety,
Trwająca krótko w życiu naszym krótkim:
Lecz sam Przedwieczny, gdy w łonie miłości
Swojej świat począł: czyż nie miał przyczyny
Smucić się wkrótce: gdy na jego syny
Wzniósł—bo wznieść musiał—miecz sprawiedliwości?

AHOLIBAMAH.

Tak powiadają.

JAFET.

Tak jest bez wątpienia.

SCENA VI.

CIŻ, NOE I SEM (*wchodzą*).

NOE.

Tużesz, Jafecie? i w jakiej potrzebie
Przebywasz społem z dziećmi zatracenia?—
Drżyj! by ich wyrok nie dosiagnął i ciebie.

JAFET.

Ojczy! czyż grzechem byłyby me chęci,
By dźwigać z grzechu dzieci wspólnej ziemi?—
Patrz! nie chodziły między występniemi,
Kiedy je strzegą Aniołowie święci.

NOE.

Święci?—czy raczej nie z tych, co swe chóry,
I jasny Niebios rzuciwszy przybytek,
Zachodzą, zwabieni licem Kaimitek,
Synowie Niebios, pojąć ziemi córy?

SAMIASA.

Tys rzekł.

NOE.

O! biada! biada! trzykroć biada,
Podobnym związkom!—Czyż Bóg nie zakreślił
Granic Niebu i ziemi? nie obmyślił
Ludziom i duchom, gdzie którym posada?—

SAMIASA.

Tak! ale czyliż nie na obraz Siebie
Stworzył człowieka? Czyż go nie miłuje
Sam, i nie każe drugim?—Pytam ciebie:
Możeż być winnym, kto Go naśladuje?

NOE.

Jam tylko człowiek; Pan mię nie postawił
Sędzią nad ludźmi—cóż nad syny swemi?—
A wszakoż z tego, co mi Sam objawił,
Wiém, że te zejścia na padoły ziemi
Duchów niebieskich—i to jeszcze w chwili
Skarania świata—nie są dobrém wcale.

AZAZIEL.

Co? nawet wtedy, gdybyśmy zstąpili
Zbawiać?

NOE.

Archaniół w całej swojej chwale,
Nie zbawi, kogo Pan zgubić umyśli. —
A zaś, gdybyście za Jego rozkazem,
Jako snać mówisz, ludzi zbawiać przyszli:
Litośćby wszystkie objęła zarazem,
Nie te dwie tylko; co choć niezrównane
Licem—są równie grzeszne, i skazane
Na śmierć.

JAFET.

Ach! ojcze! nie mów tak!

NOE.

Jafecie!

Jeśli cię trwożą wina i zatrata:
Zapomnij o nich!—o nich, i o świecie,
Że był i zginął;—ty, przyszłego świata
Dziedzic wybrany!

JAFET.

Obym zginąć raczêj
Mógł z *tym*, i z *temi*!

NOE.

Wartbyś za to słowo;
Lecz Pan obietnic swych nie przeinaczy.

SAMIASA.

Przeczeby nad twą i nad jego głową
Bóg czuwał więcéj, niż nad *temi*, które,
On, syn twój własny, przenosi nad siebie?

NOE.

Zapytaj *TEGO*, który twą naturę
Uczyił wyższą od mojej, a ciebie
Wyższym odemnie: a zarówno obu
Poddał Swój woli, i nie dał sposobu
Zbadać jej przyczyn!—Lecz patrz!... goniec Jego!—
W proch, w proch przed Panem! słuchajmy co powie.

SCENA VII.

CIŻ I RAFAEL ARCHANIÓŁ.

RAFAEL.

Pokój sprawiedliwemu!—Aniołowie!
Przecześnie zeszli z oczu Przedwiecznego?
Aza nie wiecie, że ziemia bez stróża
Ma dziś być przed NIM?—Lecz jeszcze czas skruchy!
Wam tylko, duchy!
Wam tylko dany.—Wielka jest moc Boża!
Tam, u podnoża
Stolicy JEGO, ukorcie się społem
Z Siedmiu wielkimi!—Czołem Panu, czołem!

SAMIASA.

O! najpiękniejszy! największy z niewielu!
Cześć Panu w tobie!—Lecz odkądże wzbronik
Duchom zstępować na świat?—Rafaelu!
Tyś zstąpił po nas;—On Sam czyż nie skłonił
Nieraz oblicza i stóp swych ku ziemi?
A ile razy skrzydły pośpiesznemi
Nas wysłał ku niej: mów, cóżeśmy, jeśli
Nie miłość JEGO i nie dary nieśli:
Wielbiąc Go w każdym jój tworze: bo każdy
Tchnął JEGO mocą i miłością dla niej;
Ciesząc się blaskiem tej najjaśniejszej gwiazdy,
Mając ją kiedyś zwałobyś noc otchłani;

Lub strzegąc, aby ród, co ją dziedziczy,
Nie śmił jój światła łaski tajemniczój?—
Cóż dziś? że smutek nad nią w twém spójrzeniu?
Cóż w ustach twoich mowa o zniszczeniu?—

RAFAEL.

Biada wam, że nie wiecie!— O! Anieli!
Gdybyście oba z pobratniemi chory,
Czystością śmieli,
Nieśli dziś Panu hołd czci i pokory:
Tambyście w ogniu żyjącym wryte,
Nad Jego tronem, i na Jego czole,
Czytali sami sądy Jego skryte,
Pojęli wolę;
Nie jój szukali we słów moich echu.—
Lecz niewiadomość towarzyszka grzechu,
A dumą nawet émi się duchów wiedza:
Bo zaślepienie upadek poprzedza.
O! zaślepieni! przeczście się dali
Uwikłać w sidła żądzy skazitelnój?
Niepokalani! jakżeście skalali
U stóp śmiertelnych swój blask nieśmiertelny!
Lecz litość JEGO bez granic!— Słyszycie?
Wróćcie i czcijcie!
Tam!— bo gniew JEGO straszliwy!— Raz jeszcze,
Wróćcie!— lub drżycie!
Bo gniewu JEGO wyrok wam obwieszczę.

AZAZIEL.

Straszny gniew Pana!— Lecz ty, coś osądził
Nas, żeśmy wiśni: mów, czyżes nie zbliżył
Sam, żeś tu z nami?

RAFAEL.

Pan mną rozporządził;
Zstąpiłem po was.—Słowem wszechmogącym,
I w imię JEHO; sercem kochającym,
W imię miłości mojej: Samiaso!
Azazielu! wołam was ku NIEMU!

Tak! przyszedł koniec rodzajowi złemu.
Występna ziemia, z całą swoją krasą,
I z ludźmi, zginie!—Lecz czyż przy ostatku,
Jak przy początku, ma, jakby koniecznie,
Niebieskie duchy ciągnąć do upadku,
Których jak istność, każn musi trwać wiecznie?—

O! bracia! wyście jeszcze nie upadli,
Lecz przypomnijcie Szatana, jak w chwale
Stał po nad nami; a którzyż nie zbladli
Widząc, czem stał się: gdy wołał zuchwale
Wyzwać moc Pańską, niż uznać w pokorze?
A czyż mu człowiek—że go łatwo skusi,
Rozkoszą złego nagrodzić dziś może
Niebo, co stracił, i pamiętać musi?—

Jam go miłował;—bo i któż nad niego
Był, oprócz Pana, co w nim szukał chluby?
Archaniołowie przed obliczem jego
Gaśli jak gwiazdy przed słońcem; Cheruby
Cześć mu śpiewali; aż sam w swojej pysze,
Wstydząc się, zaparł, że jest tworem Boga. —
Stało się! upadł;—lecz wam, towarzysze!
Z upadku jego niech będzie przestroga! —
Od was zawisa wieczność z nim, lub z Panem!—
On was nie kusił; bo mu nie jest danem

...się niebieskie duchy; lecz niestety!
...łowiek usłuchał jego—wy kobiety:
...knej zaprawdę, lecz w której uśmiechu
...yje się urok zdradniejszy od węża:
...wąż zwyciężył proch—ona zwycięża
...was, duchy Niebios, i wiedzie do grzechu.
...O! uciekajcie, dopóki czas macie!
...y nie możecie umrzeć: ale one
...tak cień przeminą; a żal po ich stracie
...Truć będzie wasze lata nieskończone!
...Zważcie! jak istność wasza ich plemieniu
...Nie jest podobna w niczém—prócz w cierpieniu;
...Przeczeń je tylko chcecie dzielić z niemi?—
...Poczęte w grzechu, w boleściach zrodzone,
...Zrzucające w troskach i łzach, przeznaczone
...Na pastwę śmierci—królowej ich ziemi:
...Chociażby nawet Pan, tchem Swego gniewu
...Dni ich nie skrócił: przeszłyby za chwilę,
...Tak nagły zakręt mglistego powiewu,
...Proch i łzy tylko zostawując w tyle.

AHOLIBAMA.

...O! tak! uchodźcie! bo jak w jego mowie,
...Słyszę w méj duszy głos, co nie omyła,
... Że przyszła chwila,
...Ze musim umrzeć—nie tak, jak ojcowie:
...Gdy jako nowy ocean, chmur brzemię
... Spadnie na ziemię,
...A wały morskie, jak obłoki z ziemi
...wzniosą się w górę, i spotkają z niemi. —

O! siostró moja! są, co ujdą zguby,
Jako się zdaje: lecz nie z krwi Kaima.
Nie! próżne nasze modlitwy i śluby!
Bóg nas Adama za dzieci swe nie ma!
Po cóż go trudzić daremnie?— O! raczěj,
Zrzeczmy się same, co ma być wydarte—
Miłości naszěj!— a bez niěj, cóż znaczy
Życie śmiertelne lub śmierć?— Gińmy warte
Cjca i rodu swego; bez rozpaczy,
Gdy nie bez żalu; płacząc, nie nad sobą,
Lecz po nad tymi, co zostawszy sami,
Śmiertelni czy nieśmiertelni, obaczą
Ziemię-pustynię, okrytą żałobą,
I płakać będą nad miryadami,
Co mrąc płakały— lecz już nie zapłaczą!—

O! Samiaso! śpiesz, uchodź co prędzěj,
Z padołu nędzy

W sfery niebieskie! gdzie już nie dosięga
Wicher, ni woda, ni śmierci potęga!
Nasz wyrok, umrzeć; wasz, jest żyć bez końca.
Lecz co lepszego? czy wieczność żyjąca
Czy martwa?— na to ON chyba odpowie,
ON, Pan życia i śmierci.— Aniołowie!
Bądźcie posłuszni! jak i my będziemy;

Nie że musimy,

Nie! lecz że nie chcę żyć dnia ni godziny
Wbrew woli JEŃO; tak, jakbym nie chciała,
Nawet za wolność od kary i winy,
Co ma być dana dla Seta rodziny,
By kara nasza i na was spaść miała.

Śpieszcie! nim minie czas!

Lecz gdy nad chmury

Jasnemi pióry

Wzbiei spójrzycie

Na świat i nas:

O! Samiaso! pomnij, że me życie

Duch mój przeżyje; i gdziekolwiek będzie

Żył swoją wieczność: miłość twoja wszędzie

Trzymać go będzie wyższym nad rozpaczę. —

Patrz! nawet teraz nie płaczę,

Bo płacz nie przystał wybranój Anioła. —

Żegnam was! —

Teraz, przyjdź śmierci! dotrzymam ci czoła.

ANAH.

Ach! czyż koniecznie trzeba

Umrzeć? — Azazielu!

Nicze nie zmięczy Nieba? —

Umrzeć, i stracić ciebie!... —

Siostro! czyż Bóg nasz w Niebie

Zgubi razem tak wielu?

O! serce, serce moje!

Nie próżne snąć twe były

Trwogi i niepokoje;

Teraz wiem, co wróżyły.

Boże! dodaj mi siły

Znieść — co wiem, że nie minie! —

Lecz ty, ty Serafinie!

Uchodź, śpiesz! jeśli bezkarnie

Zostać nie możesz! — Lecz czyli?.... —

Nie, nie! śpiesz!—Moje męczarnie,
Choć straszne—skończą się w chwili;
Twoje—trwałyby bez końca:
Gdybyś mnie nędznej obrońca,
Gniew Pana ściągnął na siebie:
I z tronu chwały na Niebie,
Jak ów, co w nasze rodzice
Tchnął żądzę wiedzy, wyzuty,
Z swój Archanielskiej stolice,
Spadł w kraj nieznanęj pokuty!—

Nie, nie! i tak już zbyt wiele
Ważyłeś dla mnie, Aniele!
Czas, bym ofiarą wzajemną,
Zrzekła się ciebie—dla ciebie!—
Uciekaj! nie płacz nade mną!—
Ach! nawet chciałbyś daremno!
Łzy, udział dzieci Adama,
Nie ulżą duchów rozpaczy.—
Uchodź! zapomnij więc raczej
O tej, dla której śmierć sama,
Mniej straszna, niż to rozstanie!—
Lecz uchodź, uchodź! nie zwlekaj!
Nie bacz łez moich!—uciekaj!
Bez ciebie, śmierć mi się stanie
Ulgą, nie karą.

JAFET.

Nie mów tego, Anah!—
Ojciec mój! Archaniele!
Czyż ten łagodny pokój na twém czele

nie wróży łaski?—Patrz! możesz—zmiękczyć dla niej,
niej i dla mnie—zmiękczyć wyrok i Sędzię:
niech w arce z nami, ujdzie wód otchłani,
ab ja z nią razem niech zginę w bałwanach!

NOE.

Przestań, niebaczny! przecz w żalu zapędzie,
Jeśli nie sercem, usta bluźnisz Pana?—

Zkąd ci moc dana

Władzić sąd Jego?—Żyj, póki dozwoli,
Przemyśl, gdy każe: lecz wbrew Jego woli
Nie szemrz, jakobyś skarżył Pana w Niebie!—
Niebaczny! chcesz, by się Bóg dla ciebie
Grzechu dopuścił?—bo grzechem byłoby,
Gdyby dla krótkiej, dla ziemskiej żałoby,
Zmieniał przedwieczne sądy Swoje Boże. —
Bądź mężem, synu! i znoś, chocia boli,
Do ród Adama znieść musi—i może!—

JAFET.

Ojcze! a kiedyż zostaniem

Sami nad głębią siną:

Gdy i kraj miły, co był nam mieszkaniem,
Cała ziemia, z wszystkiem co ją krasi,
I milsi stokroć bliźni, bracia nasi,

Wszyscy w niej zginą:

Kto wstrzyma wtedy łzy swe i jęczenia,
Lub znajdzie pokój w ciszy spustoszenia?—
Boże! bądź Bogiem! zbaw!—któż ci zaprzeczy?
Zbaw, póki pora!—Czyż rodzaj człowieczy

Nie dość już poczuł sprawiedliwość Twoję
Wygnanie z raju?—Lecz go tylko dwoje
Składało wtedy: dziś jest na przestworzu
Ziemi liczniejszy, niż fale na morzu,
Niż krople deszczu, co ma zalać ziemię:
Krople mniej gęste, niżby na niej były
Ludzkie mogiły,
Gdyby choć groby mieć mogło ich plemię!—

NOE.

Szalony! przestań! w każdym twojem słowie
Brzmi rozpacz dumy, co gniew Pana budzi.
O! Archaniele! przebacz!

RAFAEL.

Aniołowie!

Żal i namiętność mówi z ust tych ludzi.
Lecz wy! wy czyści, lub coście być niemi
Powinni, bracia! postrzeżcie się w błędzie.
Wracajcie ze mną!

SAMIASA.

Zostaniem na ziemi,
I znosić będziem, cośmy zasłużyli.

RAFAEL.

Azazielu?

AZAZIEL.

On rzekł; niech tak będzie!

RAFAEL.

Oba?—A więc od tej chwili,
Z mocy niebieskiej obrani,
Z miejsc, któremiście wzgardzili,
Z przed Boga, coście zdradzili,
 Bądźcie wygnani!
Biada wam!

JAFET.

Gdzież się podzieją?—
Lecz przebóg! w przepaściach góry,
 Co za ponury,
Co za straszliwy szum, łoskot, hałasy!
 Skały i lasy
Wstrzęsły się, szumią—jakby czuły przyjście
Wichrów łamiących, choć jeszcze nie wieją;
 A wszystkie liście
 Drżą, zda się, chwieją;
 Kwiaty więdną,
I opadają;—wschód znów się zaciemia;
 A cała ziemia,
Jak pod ciężarem, jęczy w swych wnętrznościach!—

NOE.

Słyszysz? Krzyk ptastwa morskiego! jak w chmury
 Ucieka, i nad szczyt góry,
Kędy w najsroższych morza nawałnościach,
Uchodząc fali wzbijać się nie śmiało,
Utata krzycząc—jakby przeczuwało
Nawałność sroższą od wszystkich, wśród której,

Ten szczyt im tylko może być zachroną —
Aż i ten fale pochłona! —
O! biada, biada ziemi! —

JAFET.

Słońce! słońce!
Wschodzi—lecz jakie! jak przerażające,
Jak krwawe!—Jak śród płomieni
Miedź—błyszczący, lecz bez promieni;
A ciemność, jak czarna tęcza,
W kształcie obręcza,
W krąg je otacza;—słońce i noc razem!
Jakby obrazem
Być chciały życia i śmierci, w tej chwili,
Ostatniej świata!—Biada tym, co byli
Warci, by jej dożyli,
By ją przeżyli! —

NOE.

Ha! błyskawica, grom!—hasło zniszczenia!
Stało się! Pan nie odmienia
Wyroków swoich:—wielka jest moc Boża!—
Słyszysz? szum deszczu, ryk morza!
O! biada, biada dzieciom zatracenia!
Przyszła godzina!—My śpieszmy na wzgórze,
Gdzie arka nasza;—z której jeszcze wczora
Szydźli dumni, a dziś k'niej ramiona
Wyciągać będą, widząc, że nas ona
Zbawia jedynie!—Śpieszmy, póki pora!

JAFET.

Ojczy! stój chwilę! zlituj się! przyjm do niej
Anah!—niech w zgubnej nie zaginie toni.

NOE.

Czyż w niej nie zginą wszyscy?—Pójdź!

JAFET.

Nie mogę.

NOE.

A więc gin z niemi! głuchy na przestrozę
Ojca i Boga!—Patrz na te złowieszcze
Niebo i znaki! będziesz-li śmiał jeszcze
Chcieć zbawiać kogo z rodzaju, na który,
Wszystkie potęgi stworzonej natury,
Ze słusznym gniewem Stwórcy, co go karze,
Powstały razem? —

JAFET.

Razem?—O! mój ojczy!
Możesz iść wściekłość ze słusnością w parze?—

NOE.

Bluźniesz! — w tej chwili!... — zuchwały mój ojczy!
Drzyj!

RAFAEL.

Patryarcho! pohamuj się w gniewie!
Boleść i rozpacz usty jego władnie,
Lecz serce nie wie

O tém, co mówi;—i on nie upadnie,
Jak ci synowie Niebios; i nie zginie,
Jako te córki ziemi; lecz gdy minie
Szał namiętności, będzie godnym ciebie.

AHOLIBAMA.

O! co za burza!—Na ziemi i niebie,
Wszystko się łączy ku naszej zagładzie.—
Panie! nierówna walka między nami!
Chcesz, a zginiemy;—bo któż w równi kładzie
Moc naszą z Twoją?

SAMIASA.

Moc nasza jest z wami!
Pod skrzydłem naszej opieki,
W świat jakiej gwiazdy dalekiej
Uniesiem was, aż ujdziecie
Świat wasz niszczącej topieli.
A tam bezpieczne—jeżeli,
Przystając na naszych losach,
Przez miłość dla nas, będziecie
Mogły zapomnieć o świecie,
My zapomnim o Niebiosach.

ANAH.

A mójże ojciec! a mój kraj rodzinny!
A mojeż pola, i góry, i lasy,
Gdzie mi tak słodko zszedł mój wiek dziecinny!
Zdołamże kiedy zapomnieć ich krasy,
I pieszczołót ojca, i siostr mych ziemianek,

...y je pochłonie głąb?—Któż w mojej duszy
...rze ich pamięć? kto me łzy osuszy?

AZAZIEL.

Ja, twój kochanek!—
Nie bój się! chociaż wygnaniec
Z Nieba—w przestrzeni bez granic,
Są światy godne Anioła,
Zkąd mię nikt wygnać nie zdoła!—

RAFAEL.

...ochu występny! jakżeś stał się lichy,
...k ciemny! jeśli samego już ludzi
Kłamstwo twój pychy.
...yż miecz, co z raju wygnał pierwszych ludzi,
...yż piorun, w przepaść co stracił Szatana,
Przed tronem Pana
Dotąd nie błyszczy?—

AZAZIEL.

Piorun nie zniszczy,
Miecz nie zabije nas!—Proch strasz zniszczeniem,
Biało orężem: nie nas nieśmiertelnych!—

RAFAEL.

...oznasz za chwilę sił twoich tak dzielnych,
...za cię zbawią przed JEGO ramieniem?—
Biada ci! grzech ściga kara,
Moc cię twoja omamiła:
Nie wiedziałeś, że nią była
Pokora twoja i wiara.

SCENA VIII.

CIŻ I CHÓR LUDZI,

(Wbiegających zewsząd i szukających zachrony).

CHÓR LUDZI.

Niebo i ziemia, obłoki i morze,
Łączą się razem na zgubę nas biednych!
Cóżeśmy winni?—O! Boże nasz, Boże!
Słuchaj, wysłuchaj! nie nas tylko jednych.
Pola i lasy brzmią bestyi rykiem,
Wyciągających ku Niebu swe szyje;
Ptastwo świst wichrów zagłusza swym krzykiem;
U stóp nam syczą wijące się żmije,
Jakby chcąc wsparcia, o które my sami
Żebrem cię, Panie! płaczem i jęczeniem.
Zmiłuj się, zmiłuj! nie tylko nad nami,
Lecz nad naturą i wszelkiem stworzeniem!

RAFAEL.

Żegnam cię, ziemio!—Wy, dzieci jęj gliny!
Nie śmiem, nie mogę—choć chciałbym was wspierać.
Pan sprawiedliwy—musicie umierać;
Pan miłosierny—śmierć odkupi winy.
(ulatuje).

AZAZIEL.

Pójdź, Anah! rzućmy ten chaos żywiołów,
Ani się lękaj łoskotu ich waśni;
Pod tarczą skrzydeł Aniołów,
Uleż bezpieczna i zaśnij,

Jak orlę niegdyś w macierzyńskim gniaździe! —

Na słońcu jakim, lub gwiazdzie,
Znajdziem świat lepszy od ziemskich padołów,
I życie wartsze anielskiej natury! —

Czarne te chmury

Nie są jedynem niebem! —

(AZAZIEL I SAMIASA *ulatuja, unosząc z sobą*
ANAH I AHOLIBAMAH).

JAFET (*patrzac za niemi*).

Ulecieli! —

Znikli w zamęcie skazanego świata! —

I czy z nim razem zaginą w bałwanach

Wścieklej topieli:

Czy żyć gdzie będą nieskończone lata —

Stało się! nigdy nie ujrzę już Anah! —

CHÓR LUDZI.

O! synu Noego! miej litość nad nami,

Nad ludźmi, nad braćmi twojemi!

Czyż dasz nam zaginać w zapasach z falami,

Sam w arce bujając nad niemi?

MATKA (*podając dziecię*).

Zbaw, zbaw to dziecię!

W bolach mych wzięło życie,

Lecz ach! ileż pociechy,

Gdy się z swemi uśmiechy

Tak do mych piersi tuliło!

Na cóż się urodziło?
Czém przewiniło
Niemowlę moje, by ściągnąć gniew Boży?
Czy z piersi moich ssało takie grzechy,
Że za nie ziemia i Niebo się sroży
Na moje dziecię?—
Zbaw je! zbaw, o! Jafecie!
Lub bądź przeklęty—ty, i twa rodzina!
I ON!...

JAFET.

Niebaczna! stój!—toż jest godzina
Przeklęstw nie modłów?—

CHÓR LUDZI.

Modłów?!—Gdzież te modły
Zwrócim?—Do Niebios? co się tak obwiodły
Chmurami od nas?—Czy do chmur? co same
Buchają morzem?—Czy do morza? które
Rwie swoją tamę
I wzdyma się w górę,
Że piaski pustyni mienia się w odmęty?—
Nie, nie!—Przeklęty
Pan twój i zbawca!—Wiemy, że daremnie
Kląć Go, jak błagać;—lecz mamyż nikczemnie
Hymny Mu śpiewać, lub podłęk kolaniem
Czołgać się przed Niezbłaganym,
By nas odepchnął na dno zgubnej toni?...—
Jeśli ON stworzył ziemię—niech się płoni,

świat stworzył na męki!—Ha! już ryczą,

leczą, widzimy, rozhukane wały!

onią za nami, jak lew za zdobyczą.

ich czarna jak otchłań — a ich biały

czyt zapieniony, jak śnieżyste góry

Piętrzy się w chmury,

chmur jak potok, jak wzdęta kaskada,

Rzuca się naprzód — zlewa!...—

Biada nam! biada! —

Lasy i drzewa,

owienne z rajem — nim złudzona Ewa

erwała owoc wiedzy i niedoli,

Adam wydał pierwszy jęk niewoli —

ak niebotyczne, z tak jeszcze zieloną

Liści koroną,

kną — i wszędzie tylko siność fali! —

Głąb coraz wyżej

Rośnie, i dalej,

I coraz chyżej

Ku nam się wali!..—

Biada nam!...—Synu Noego!

Śpiesz, uchodź! i tam w swęj łodzi,

Przy boku ojca twojego,

Szydź z naszych łez i powodzi!

gdy obaczysz na tle oceanu,

rupy twych braci i wszego stworzenia:

Wznies twemu Panu

Hymn dziękczynienia!...—

JEDEN Z LUDZI.

logosławiony! kto w NIM ufność złożył,

I w NIM ufając żył!

Ginąc, nie będzie się trwożył,
Bo ON mu doda sił
Cierpieć i znieść! —
Cześć Panu! cześć!

ON dał mi życie—ON bierze co dał.
Będę się chwiał
Wrócić mu dar Jego ręki? —
Nie!—i nim wieczna noc wzrok mój zaciemi,
I nim śmierć wiecznie me usta oniemi,
Cześć jeszcze Panu, i dzięki!
Za to, co było,
Za to, co nynie!
Bo w NIM, jak żyło,
W NIM wszystko ginie,
Bo ON początkiem i końcem wszystkiego.
Wszystko jest JEGO!
Czas, przestrzeń, życie, świat—wszystko poczęte.
Pojęte i niepojęte —
Wieczność i nieskończoność—ON uczynił,
ON chce, i może zniweczyć! —
Ja proch—jaż będę go winił?
Ja grzesznik, śmiałybym złorzeczyć
Panu i Bogu mojemu? —
Nie! żyłem ufając JEMU,
Umrę ufając!—ani się zachwieję,
Widząc runący świat; ani się strwożę:
Bo wiem, kto w NIM ma nadzieję,
Na wieki zginąć nie może.

CHÓR LUDZI

uciekających przed falą.

I gdzież się obrócim, gdzie znajdziem schronienie?

Na skał-li tych wędzem się strop?

Gdy wszędzie z nich lecą wezbrane strumienie,

By morze napotkać u stop.

Ozy w dzikich pod niemi, rozpadlin skróś ziemi

Ukryjem się sklepy kamienne?

Taż powódź potopu, jak sięgnie do stropu,

Napełni otchłanie bezdenne!—

MŁODA DZIEWCZYNA (*biegnąc za drugiem).*

Nie opuszczajcie sieroty,

Mnie nieszczęśliwój, mnie młoděj!

Ojciec, i ojca namioty,

Bracia, i braci mych trzody,

I pola, gdzie szły na paszę,

I sady, i wszystko nasze,

Wszystko zalano!—

Dziś jeszcze rano,

Ze wzgórza, idąc do zdroju,

Spójrzałam—wszystko tak było

Ciche! tak spało w pokoju! —

Serce me błogosławiło

Bogu, i miejscu lubemu. —

A teraz!...—Czemuż, ach! czemu

Było mnie nędznój rodzić się na świecie?—

JAFET.

By umrzeć!—umrzeć w lat kwiecie!...—
Szczęśliwszaś wszakże! niż gdybyś tak jedna
Skazaną była—gdy otchłań beze dna
Pochłonie wszystkich—płakać nad wszystkimi!

I jak ja, na pustej ziemi,
Żyć, nie chcąc; cierpieć, nie śmiać się uzalać!...—
Panie! gdy wszystkich tracisz, po cóż mnie ocalać?

(Fale morza wpadają z łoskotem. Chór Ludzi rozpierzcha się w różne strony po górach: wielu tonie zajętych falą. JAFET jeden zostaje na skale; w odległości ukazuje się arka, zmierzająca ku niemu).

KONIEC TOMU III.



SPIS RZECZY

W Tomie trzecim zawartych.

	<i>str.</i>
Korsarz.	1
Narieczona z Abydos.	89
Mazeppa	158
Niebo i Ziemia.	181









Biblioteka WSP Kielce



0062634